

BEZIMIENNA.



BEZIMIENNA.

CZĘŚĆ DRUGA.

NOWE ŻYCIE.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

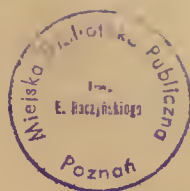
B. BOLESŁAWITĘ.

WE LWOWIE.

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

DRUK J. I. KRASZEWSKIEGO W DREZNIE.

1869.



I.

Namiotem nazwać nie było można tego... schronienia jakiegoś, zlepionego z desek, płótna, gałęzi, z części wojskowego wozu i kupy jakichś pakunków pułkowych; ale że pierwiastkowo był tam rozbity namiot, który żołnierze, od wiatru go chroniąc, osłonili czém mogli... w języku urzędowym mianowano to namiotem...

Gdyby nie obwarowanie, namiot smagający wiatr byłby dawno obalił i rozniósł. — Ale w pałacyku maciejowickim nie było dość miejsca na pomieszczenie wszystkich dygnitarzy, a generał Puzonów nie ze wszystkimi też był w takich stosunkach, by się o nich chętnie ocierał. Służbowe i pozasłużbowe zajścia przeróżne, zrodziły kwasy, nieporozumienia i najprzykrejsze w świecie położenie to, w którem człowiek czuje się otoczonym nieprzyjaciołmi, a musi ich witać jak druhów.

W takiem położeniu był generał Puzonów, a nie chcąc brać udziału we wrzawliwych tryumfach Ferzenowskich towarzyszków, stał przed swoim namiotem, sparty o słup, za dumany, patrząc w czarną noc... Dwie łzy ciekły mu po twarzy... Co wiatr je osuszył, to powieki podsycaly strumień, który spływał po ogorzałych policzkach... Stał tak zdrgę-

wiały — chłodny wiatr obwiewający go, ledwie rozżarzonego znużeniem i bólem mógł ostudzić.

Przed namiotem kiedy niekiedy przesunął się żołnierz, przewlokła śpiewająca banda opilców, witając dowódcę krzykiem ochrypłym, generał nie widział nic, nie słyszał, nie rozumiał... w oczach jego na tle téj ciemności malował się ciągle blady, żółty, okrwawiony trup kobiety, ubranej po żołniersku, z uciętymi włosami, ze zboczoną skronią i na pół otwartymi usty jakby do ironicznego uśmiechu... przez którego zsiniałe wargi, perły białych zębów błyszczwały...

Niekiedy chwycił się za włosy i targał je, szarpał na sobie odzienie, załamywał ręce, to znów oparty o słup, sam kamiennym zdawał się słupem... Ale z odrętwionych powiek ciekły łzy nie męzkie... Przy jego postaci dzikićj, przy wyrazie siły malującym się w całym człowieku, łzy te były fenomenem niepojętym... Pierwszy może raz ten niedźwiedź nauczył się płakać z bólu, którego ani pomścić, ani mu poradzić nie mógł... Bezsilność wyciskała te łzy...

Pięści mimowolnie się zwijały, jakby chciał bić się z losem, zgrzytały zęby... spoglądał w niebo czarne... a na całunie nocy, czytał niewidzialnymi głoskami wypisaną... tylko rozpacz... Nie śmiał się odwrócić po za siebie...

W głębi namiotu... przy słabém świetle dwóch latarni postawionych na ziemi... widać było... pokrytego oficerskim płaszczem bladego trupa, z obnażoném czołem krwawem i w tył odrzuconemi bujnemi włosami...

Żołnierze, którzy go tu na noszach przynieśli, postawili, nie śmiejąc tknąć, na ziemi... Jedna ręka ściśnięta

jeszcze z odłamkiem szabli, zwieszona spoczywała na płaszczu, a po niej łatwo poznać było, że nie stworzona została do żołnierskiego rzemiosła...

Niekiedy wicher z pobojuwiska wdzierał się przez otwór do namiotu, którego ściany drżały, drżały od niego światła w latarniach i włos na skroni trupa się poruszał.

Jenerał stał i płakał.

Nagle rzucił się naprzód, ujrzawszy żołnierza swego, który ze zdjętą z daleka czapką, kroczył mierzonym chodem po za niemłodym mężczyzną opiętym w płaszc, zdążającym do namiotu.

Twarzy przybywającego rozeznąć nie było można, świeciła tylko blade, jak wyżółkła skóra pargaminowa...

— Müller! zawołał jenerał.

Przybywający stanął potrząsając głową.

Puzonów pochwycił go, jak długo oczewikaną pastwę, rzucając obie ręce na ramiona.

— Müller, powtórzył głosem drżącym łkaniem przerywanym — tyś był mojem przyjacielem... Müller oddaj mi życie!... zaklinam cię...

— Co ci jest Dymitrze Wasiljewiczu! co ci jest, na miłość Bożą, uspokój się... czyś ranny?..

— Ja! ranny! ja jestem zabity! ratuj, zaklinam, tyś lekarz, ty masz w ręku śmierć lub życie...

— Tak! uśmiechnął się Müller, którego twarz odbłask słaby światelka oblał i pokazał maskę pomarszczoną i smutną — tak! śmierć! to prawda jenerale, mamy ją w ręku... ale życia!! Bóg jeden życie daje i trzyma.

— Bóg! zawołał Puzonów... i umilkł.

Wyraz ten rzucony rozpaczliwie w noc ciemną, jakby pytanie, jak szyderstwo, jak wątpliwość, odbrzmiął długo, dziwnie i jakby zaklął wichry, na chwilę po nim panowała jakaś cisza przerażająca.

— Jenerale — przerwał Müller, biorąc za rękę zadumanego, jenerale, ja czasu nie mam. Na pobojuwisku rannych pełno, w pałacu kilkunastu polskich jeńców porąbanych... wołają mnie na wszystkie strony...

— Ja cię nie puszczę! odurzyknął Puzonów — i porwał go gwałtownie za rękę, ciągnąc za sobą. Ale w chwili, gdy mieli przestąpić próg namiotu, zawahał się Puzonów, spuścił głowę, zląkł się rozpacz, która go czekała u łóża... i jakby wysiłkiem ostatnim szybko wpadł wewnątrz, nie mówiąc słowa...

Doktor Müller wszedł za nim, rozglądając się, oko jego padło natychmiast na ciało wśród namiotu rozciągnięte, nie potrzebował już tłumaczeń żadnych... Wpatrzył się w wybladłą twarz, w zranione czoło, zbliżył...

— Stój, rzekł jenerał... tysiąc, dwa, trzy tysiące dukatów, wszystko co mam, jeśli do życia przywrócisz te zwłoki...

Müller potrząsł głową.

Jenerał oczy sobie zakrył i upadł na kolana...

II.

Doktor tymczasem z tą zimną krwią człowieka, który więcej ma do czynienia z umarłymi i umierającymi, niż z żywymi, schylił się ku ciału...

Słaby okrzyk wyrwał mu się z piersi, gdy zbliżywszy się, rozpoznał — kobietę... Ruszył ramionami i zamruczał coś po niemiecku o Polakach... Potém rękę przyłożył do czoła, do oczów, do ust... do piersi i serca...

Cisza była, wiatr tylko znowu wył w dolinie trupami usłanej...

Je nerał pytać nie śmiał... doktor krzątał się powoli, z flegmą prawdziwego Niemca około trupa... dobył z kieszeni bincech, otworzył, bardzo ostrożnie wysunął z niego lancet, poprobował go na palcu, pugilares złożył w miejscu bezpieczném, aby mu go wiatr nie zniósł, i rozdarłszy rękaw... zabierał się probować... krwi puszczenia...

Ale za ciemno było na tę operację, Müller przysunął latarnię, umocował ją, wygodnie przysiadł, poczém dopiero wyszukawszy miejsce, ciął lancetem...

Krew się nie pokazała, tylko wargi rany powoli się zarumienily... Müller patrzył, głowę poruszał i cięcie powtórzył...

W téjże chwili krzyk dał się słyszeć... krew trysnęła i strumień jój oblał zbliżającego się generała, który zachwiał się i padł na wznak.

Szczęściem stojący nieopodal żołnierz poskoczył i utrzymał go na rękach.

Müller pocichuteńku między zębami, patrząc nań, szepnął jakby do siebie:

— Trzy tysiące dukatów...

I ironiczny uśmiech przebiegł po bladych jego ustach.

— Tak! rzekł w duchu, a drugie trzy da potem, żeby się od téj heroiny uwolnić. Zawszem go miał za bardzo rozsądnego człowieka, ale każdy człowiek raz w życiu szaleje... *'s muss so sein!!*

I otarłszy powoli lancet, a poglądając na płynącą krew, zawołał na żołnierza, aby generałowi twarz wodą pokropił.

Sam z niewzruszoną flegmą, powoli, ostrożnie, jął wszelkimi środkami przywoływać do życia istotę, którą on sam w początku miał już za trupa. Po chwili poruszyła się pierś i westchnienie bolesne wyrwało się z piersi... powieki rozwarły się lekko i zamknęły znowu.

Puzonów ocucony ścisnął Müllera nie mogąc mówić... a Niemiec odpychał go powoli.

— To potem, rzekł zinnno... potem... a teraz trzeba nie tego naniotu, ale ciepłej izby i spokojnego kąta... a kto wie! kto wie! twój żołnierz — dodał z uśmiechem ironicznym, może jeszcze żyć będzie...

Wargi zaś mruknęły niewyraźnie:

— *Saperment! Drei Tausend! Mein Compliment!*

III.

W kilka tygodni po bitwie maciejowickiej widziano na opustoszałych gościńcach męczeńskiej Polski... sznurami długimi ciągnące partje niewolników, których żołnierze gnali w zamarzłą głębinę piekła carów...

W rozgrzęzłym błocie, przemieszaném ze śniegiem, tężącem od mroźnego wiatru, nieszczęśliwi, niemi, odarci, poosłaniany łachmanami, zsiniali od zimna, szli jeńcy powiązani sznurami, popychani kolbami śmiejących się żołdaków... Starcy z siwymi głowami wlekli się obok niedorosłych dzieci, przez łachmany wielu z nich sączyła krew ran nieopatrzonych... ciężej rauni jęczeli na wozach, z których słonianej pościeli, gdzieniegdzie wyglądała twarz biała i świeciła osłupiałemi oczyma... Z tym jękiem dziwnie mieszała się pieśń umyślnie nucona ruskiego żołdactwa, któremu kapral zawodzić kazał hymnu zwycięstwa...

Wśród tłumu pieszych widać było to zamkniętą kibitkę, to powóz jednego z droższych jeńców otoczony przez kozaków.

Starszyzna moskiewska jechała karetami porabowanemi w Polsce, a w niejednej z nich migała twarzyczka kobieca,

łup ulic warszawskich, których śmiecie zbierali łakomi niewieściego uśmiechu rabusie...

Pochód to był prawdziwie żałobny — ale straszny, jak mściwej Bożej prawicy dzieło, rozpusta obok heroizmu, sztyderstwo z jękiem razem... bohaterowie i dzicz bez serca, obok łachmanów karety. — Na stacjach jedni marli, drugim dobywano butle wina i przysmaki... W szeregach jeńców wszyscy bracia, podpierał jeden drugiego, żywił, ale nikt pocieszać nie śmiał. Czuli wszyscy, że dla Polski pociechy nie było i być nie mogło — bo wybiła godzina krzyżowa...

Po drodze gdy osłabły padł trupem, chwilę go kolbami do życia przywrócić próbowano... a potem żołnierze odarli — towarzysze pocałowali w czoło zmarłe i kareta jenerała przejechała trupa, który wśród drogi pozostał... Śnieg przykrywał białym całunem zwłoki a wiatr odmówił mu pogrzebową modlitwę...

W jednym z tych długo rozwijających się łańcuchów boleści, na gościńcu ku Moskwie, szła powoli za tłumem odartych żołnierzy, oddzielona od nich kozaków garścią — wielka podróżna kareta szczelnie zamknięta, którą ledwie ośm koni uciągnąć mogło.

Za nią szedł drugi mniejszy powóz i trzeci jeszcze ze służbą i pakunkami.

W drugim przez boczne okno wyglądała kiedy niekiedy pargaminowa twarz doktora Müllera, który od zimna obwinięty był w ogromne, widocznie na inną budowy człowieka uszyte, futro.

Doktor przypatrywał się krajowi i poziewał... Obok

niego w lżejszym ubraniu siedział generał Puzonów, któremu na jego żądanie dano dowództwo nad oddziałami jeńców prowadzonych z Polski do Moskwy.

Puzonów był namarszczony, surowy, chmurny, milczący, Müller choć zwykle gadatliwością nie grzeszył — tym razem byłby się chętnie nieco rozgadał, nudził się bowiem śmiertelnie. Nudów przyczyną było, że Polski cierpieć nie mógł, a nawykł był do regularnego życia przy szpitalach i podróż była mu zawsze wstrętliwą...

Ale kazano... jechać musiał.

Wśród milczenia przypadkiem oczy dwóch podróżnych się spotkały.

— Nieznośna podróż, odezwał się Niemiec, nieznośny kraj i obrzydliwa pora.

— Bylebyśmy się z Polski wydobyli, rzekł generał, u nas zastaniemy zimę i wzięwszy sanie, pojedziemy całe inaczej.

Müller głową pokiwał, jak gdyby nie śmiał przeczyć, choć co innego myślał.

— Zobaczycie...

Niemiec spojrzał z ukosa, ruszywszy ramionami.

— Wiesz, generale, odezwał się nagle rozpieczętowując usta, wydziwić się ja wam nie mogę. Męczycie się i zarzynacie siebie i mnie... aby... aby... sobie biedę kupić.

Puzonów spojrzał, marsowa jego twarz złagodniała jakimś uczuciem politowania, westchnął.

— Müller, rzekł żywo, tyś się nigdy nie kochał.

Niemiec popatrzał mu w oczy ruszając ramionami.

— Jakto? nigdy nie kochał!! ale ba! dwadzieścia cztery

razy najmniej, ino po ludzku i jak się należy, nie po szalonemu, nie po waszemu... Kochał! co mi to za kochanie... kobieta na pół żywa... chora, a do tego... ona was nie kocha!!

— Ona mnie *musi* kochać! zawołał Puzonów. — Łaj mnie, owszem, pozwalam, śmiej się, miej mnie za szaleńca, wszystko ci wolno, boś mi ją ocalił, i wszystko ci wolno, bo po twojemu będziesz miał słusność.

Myślisz, że ja sam siebie rozumiem? Kiedy człowiekiem choroba owładnie, czy jest on panem siebie? czy wie co czyni? Otóż ja — jestem pod panowaniem takiej choroby, obłąkania czy namiętności... Nerozumiem siebie, nie poznaję... powtórzył generał — ale się zwyciężyć nie mogę...

— To jest prawda — po cichu odparł Müller, że te Polki dla was Moskali mają taki urok niepojęty, widziałem tego nie jeden przykład... W tem jest pewno nie czar żaden... ale jakaś przyczyna fizyczna, ale coś ukrytego w naturze waszój i ich! Jakiś nowy, inny świat mówi przez ich oczy do waszój duszy.

— Co tam Polki! przerwał generał — wszystkie, wiele ich tam jest, oddałbym za ją jedną; takiego przywiązania bezmóznego, jak moje, nie widziałem, nie wierzyłbym w nie, gdyby mi się w piersi nie wjadło... Ona ze mnie innego robi człowieka! ja przed nią drzę, jak student, ona...

Müller przerwał mu mowę śmiechem.

— Powiedz mi, pochwycił żywo Puzonów, czy nie ma dla niej w tój podróży niebezpieczeństwa.

Milczenie długie odpowiedziało z razu... doktor od-

wrócił twarz, zamyślił się, dobył tabakierki i począł z wolna zawijać rękaw od futra, aby sięgnąć po hiszpankę.

— Nie mogę za nic odpowiadać, rzekł, jeśli mnie słuchać nie będziecie... Trzeba jechać z wolna, trzeba odpoczywać często, i nie zbliżać jęj do tych karawan więźniów, których widok czyni na jenerałowej wrażenie okropne... Po co śpieszyć!

— Ale ja bym jednęj godziny rad ją z tego... z tego piekła wyrwał i chciał widzieć w Petersburgu... radbym z przed jęj oczów usunąć wszystko, co Polskę przypominać może, oderwać ją od tęg ziemi, od tych ludzi, otoczyć staraniem... zatrzeć przeszłość.

— A tymczasem, dodał doktor, potrzeba słabe jeszcze zdrowie oszczędzać... należy w tęg porze roku, w męczącej zawsze podróży, mieć wzgląd na rany, na osłabienie, na moralny stan.

— Tak! ale ty nie wiesz... mam ważne powody do pośpiechu... Myśmy tu wszechmogący w Polsce, to prawda, wszelako póki ją otaczają ci ludzie, ten kraj, ją spokojnym... zupełnie spokojnym nie będę. — Znam ją, to kobieta mężna i zuchwała, nie mogę ręczyć za nic, byle najmniejsza zřeczność, ona mi się wymknąć może!

Müller znów począł się śmiać, zażywając tabakę.

— Wymknąć! powtórzył, doprawdy, tracicie rozwagę, tak was zaślepia namiętność! Ona ledwie chodzić może... nie spuszczaamy jęj z oka... strażę wojskowe do koła, z nikim najmniejszej komunikacji, sama niewie w której części kraju się znajduje... Jenerale!! to śmieszność.

— Nie znasz kobiety, kraju i... naszej przeszłości.

— Jest twoją żoną... sam mówiłeś mi, że rodziny bliższej nie ma.

— Rodziny — podchwycił generał, ale w Polsce są teraz wszyscy jakby jedną rodziną, a zwłaszcza dla tych, którzy są w naszych rękach!

— Nie, nie, to ci się śni jenerale... i możesz być spokojnym, zupełnie spokojnym. Nie ma się co spieszyć i zdrowia nadewszystko należy oszczędzać.

Müller wyjrzał oknem, śnieżysta zamieć z czarną chmurą i gwałtownym wichrem zbliżała się od północy, w tumanach jój wkrótce znikł cały tabor podróżnych.

IV.

Nim z pod Maciejowic wyruszyli zabrani jeńcy, między którymi naczelny wódz, ostatnia kraju nadzieja — się znajdował, wiedziała Warszawa cała o klęsce, a rodziny nieszczęśliwych, skazanych na losy niebrachowane... o ile ówczesne położenie dozwalało... usilowały opatrzyć na drogę zabranych i przynieść im choć nie wielką ulgę.

Dla Kościuszki przysłano powóz jego z Warszawy... innym, co kto mógł i co Moskale pozwolili. Te dary ginęły po większej części w drodze, a zresztą po 10. Października nie długo nastąpił krwawej pamięci 3. Listopada i Suwarowska rzeź Pragi... strumieniem krwi oddzielona była Warszawa od reszty kraju i od gościńców krzyżowych wygnania.

Wśród tego upadku, gwałtów i znęcania się nad Polską, serca były może żywiej jeszcze, może goręcej niż kiedykolwiek dla pozostałych braci...

Z pobojowiska maciejowickiego przychodziły do stolicy wieści... wiadano co się tam działo po 10. Października, i jaki los spotkać miał ukochanych. W ten sposób z ust do ust podawana, na skrzydłach wiatru przysłała do Warszawy wiadomość z pobojowiska, że na niém zna-

lezione śmiertelnie ranną, długo za umiarłą poczytywaną kobietę, która okazała się przebraną żoną generała rosyjskiego. Mówiono, że sam mąż znalazł trupa na pobojuwisku i że cudownie ocalił wielkiem staraniem, miłością wielką kobietę, którą miał wywieść z sobą do Rosji. Wiedziano, że ta bohaterka Polką była, a niektórzy utrzymywali nawet, iż równie miłość dla ojczyzny, jak dla Kościuszki, poprowadziła ją na pole bitwy... Historia ta, miała cały pozór legend, które nazajutrz po strasznych wypadkach. legną się w kałużach krwi i wylatują ze zgliszczów... Niedowiarkowie śmieli się ze źle wymyślonej bajki, ale były osoby, na których ona czyniła wrażenie tajemniczego prawdziwego dramatu.

Jedną z tych była wdowa po Wojewodzie, zamieszkująca w Warszawie, która od śmierci męża nieustannie zajmowała się odszukaniem znikłej Heli. Nowe położenie, wyswobodzenie z pod groźby rozwiązało jęj serce ściśnięte dotąd trwogą... ale poszukiwania wszelkie były niedostateczne. — Dopiero nierychło po bitwie maciejowickiej, dowiedziała się Wojewodzina o losie żony generała, o jęj życiu i o tém, że w głąb krajów moskiewskich uprowadzoną być miała. Zręczna pośredniczka, zawiązała stosunki pomiędzy osamotnioną rezydencją bogatęj pani, a ubogiém schronieniem Ksawerowęj. I miłosierna kobieta wzięła do siebie dla pielęgnowania te dwie istoty nieszczęśliwe, które długo żyły z Helą, a od nich dowiedziała się reszty dziejów i uczuć biednej wygnanki. Nie było więc dla nięj wątpliwości najnniejszëj, że generałowa własną wolą nie poszłaby za mężem, że zmuszona, wleczona jak niewolnica,

jechała za nim. — W sercu Wojewodzinéj zrodziło się pragnienie gorące uwolnienia. Powiedziała sobie, że bądź co bądź powinna to uczynić.

Zadanie wprawdzie było niesłychanie trudne, nawet wśród polskiego kraju, bo kozacy i konwój strzegli jenerałowę, a Puzonow się lękał, sam niewiedząc czego i nie spuszczał jéj z oka; ale miłość macierzyńska nie zna niczwyciężonych zapór, bo nie ma granicy poświęceń.

Jak tylko można było się upewnić, że istotnie jenerałowa żyła i wiezioną była przez męża, choć w największej tajemnicy, Wojewodzina gorączkowo poczęła się troszczyć o wyrwanie jéj z rąk nienawistnego męża. — Wysłano na zwiady szpiegów a ci przynieśli szczegółowe o choréj wiadomości i prawdopodobną skazówkę drogi, którą wiezioną być miała.

Natychmiast potém postrzeżono, iż mieszkanie Wojewodzinéj zostało zamknięte i właścicielka jego, jak mówiono, miała na wieś wyjechać... Ksawerowa jéj towarzyszyła.

V.

Tabór więźniów na pograniczu już ziem polskich, wieczorem smętnego dnia późnej jesieni, zatrzymał się w małym miasteczku, w którym zawczasu opatrzone dlań były kwatery. Nie dla więźniów zaprawdę, bo ci ostawieni strażą, mogli noc spędzić w jakim ogrodzonym podwórzu lub szopie i nikt się nie zatroszczył o to, że po zimnej lub słotnej nocy z posłania na barłogu połowa się już nie podniosła... ale dla dworu generała i kilku towarzyszących mu oficerów, oczyszczono porządniesze domy bez ceremonji precz z nich wyganiając mieszkańców. Poszanowanie człowieka i własność dziś jeszcze wpoić się nie może w Moskali. Dawniej gocale nie było. Wyrzucano chorych, rozpędzano ludności, gdy potrzeba było urzędnika umieścić wygodnie, a w niedostatku paliwa, rąbano sprzęty na opał.

Miasteczko wołyńskie, wysunięte ku Podolowi już, w którym tabor się ów zatrzymał, nie leżało właściwie na drodze oddziału, ale szło ich naówczas tyle wszystkimi gościńcami, były tak opustoszone stacje, tak niewygodne noclegi po przejściu kilku partji, iż generał dla wygody chorągwi umyślnie sobie wybrał jak najmniej uczęszczaną drogę...

Na dwa dni wprzódyczyszczono jedyną w miasteczku kamienicę, a na poblizkim cmentarzu, do którego przypierały zabudowania gospodarskie proboszcza, mieli się mieścić więźniowie. Liczba ich od wyjścia z pod Warszawy uszczupliła się znacznie — pomarło wielu, uciekło trochę, wykupili się niektórzy, obłożnie chorych pozostawiono przy różnych komendach i lazaretach. Jednakże gdy ta garść nieszczęśliwych w półkożuszkach danych im przez litość, lub pokupywanych za grosz ostatni, w siermięgach i łachmanach, z twarzami w płachty poobwijanemi, zjawiała się na rynku miasteczka, ze wszystkich domostw zbiegł się milczący tłum, który żołdacy rozpędzać gwałtem musieli. W najtwardszych ludziach, nawykłych do walk z pierwszemi życia potrzebami, z głodem i mrozem, z chorobą i nędzą bez pomocy, widok tych jeńców obudzał uczucie zgrozy i litości. Oba one były zbrodnią w oczach Moskali, a że ciekawość kryć w sobie mogła jedno i drugie, kozacy uwijali się z pikami w dół spuszczonemi i wiskiem strasznym płoszyli mieszkańców chroniących się do swych domostw...

Dla jenerała oczyszczony dom żydowski, był wcale przestronny i porządny. On jeden wznosił się o piętro wyżej nad inne, nizkie po większej części, nędzne zajazdy, wśród których ledwie para nieco szlachetniej wyglądała.

VI.

Po za rynkiem, na małym wzgórku, wznosił się stary zamek, który generał byłby zajął chętnie, ale książę dzie-dziec był tak położonym w Petersburgu, miał stosunki tak wielkie, iż się na jego własność targnąć nie śmiano. — Żołnierze tylko kleli, że im się tam w pustych korytarzach i obmurowanych dziedzińcach nie dano swobodnie rozpo-sażyć...

Wiatr dał ostry od zachodu skracając się ku północy, niebo zaczynało się nieco rozjaśniać, ale mróz widocznie groził, a dla jeńców ledwie odzianych ten mróz to była za-powiedź śmierci. Nikt jednak się tém nie przestraszał — śmierć była jeszcze jedną z najłagodniejszych ostateczności tego losu w moskiewskiej niewoli — powolne męczeństwo więcej przerażało...

Zaledwie powozy Puzonowa zatoczyły się w dziedziniec gospody, a chorą panią przeniesiono z wielkiemi ostrożno-ściami do izb ogrzanych, nie pozwalając jéj iść saméj, cho-ciaż na to dość miała siły — doktor Müller zaleciwszy spo-czynek i ciszę, wymknął się na ganek.

Tu stanął w swojém ogromném futrze, w czerwonawém blasku wieczora usiłując rozpoznać położenie miasteczka,

które zapewne po raz pierwszy musiał oglądać. Przyłożył dłoń do czoła i długo na wszystkie strony rozpatrywał miéscinę, zamek, rynek, tłum naostatek, który wystraszony najazdem uspokoić się nie mógł, wciąż kupiąc do koła kamienicy i cmentarza.

Ale tłum ten bojaźliwy był i milczący. Kozacy pozsiadali już z koni i poczynali myśleć o żłobach dla nich.

Gdzieniedzie żołdat za ucho lub włosy grzecznie prowadził pochwyconego człowieka dla informacji do pana oficera... Chłopskie wozy, które wiozły rannych i chorych, koczowały ze znużonymi ludźmi i szkapami w pośrodku rynku... Woźnice ich nie lepszego od więźniów doznali losu, milczeli wszakże, rozglądając się tylko, jakby wymknąć do domu...

Jenerał wyszedł powoli na ganek i uderzył po ramieniu zamysłonego Müllera, który drgnął podchwycony niespodzianie.

— Co ty tu robisz! zawołał, idź, rozgrzej się i spoczniij... musisz być zmęczony, nic tu ciekawego nie zobaczysz, miéscina licha... szczęściem, że moi kwatermistrze choć dla mnie jaki taki kąt znaleźli.

— Tak, odparł doktor, ale wiele rzeczy braknie mi dla choréj, a że tu dniówka być musi, co najmnij dniówka — powtórzył — muszę się przecie postarać... rozpatrzyć.

— O co?

— O co? powtórzył doktor... o wszystko, począwszy od materaca do garnuszka. Znam tu w zamku rządzcę, jeśli się nie mylę, dodał, był on dawniej w innych dobrach.. nie zły człowiek, myślę pójść do niego.

Jenerał spojrział zdziwiony.

— Jakim sposobem go znacie?

— W téj chwili dopiero, rzekł zimno Müller, przypomniałem sobie, iż tu objął obowiązek, był wprzód u Brannickich, jakiś czas mieszkał w Warszawie. — Zresztą nie szkodzi spytać i spróbować, aby naszój chorój trochę dać wygody, którój potrzebuje. Myślę pójść do zamku.

Puzonów słuchał milczący.

— Weźże żołnierza z sobą, bo jakkolwiek cię widzą moi i znają, nie mogę ręczyć, żeby wracającemu szuby nie zdarli. Nabrał byś się niepotrzebnego strachu. Myślisz iść doprawdy?

— A tak! rzekł doktor.

Jenerał krzyknął na ludzi i wyznaczył doktorowi towarzysza, który się temu nie opierał.

— Będę wyglądał, zawołał śmiejąc się, jak jeden z więźniów prowadzony pod strażą.

— Wierz mi, jeszcze ci z tém będzie bezpieczniej, szepnął Puzonów.

— A wy — dodał ciszój doktor, nie chodźcie do pokoju jenerałowej, dajcie jój spocząć... Wiele na tém zależy... dusza mi nie daje ciała wyleczyć.

Zmartwiony Moskał nie odpowiedział nic, Müller podał mu rękę, futrem się osłonił i powoli puścił się w rynek ku zamkowi.

VII.

Stary gmach nadrujnowany ale mieszkalny, leżał nieco opodał. Było to niegdyś zamczysko obronne, ale fosy zaniedbane zasunęły się, mosty zwodzone zastąpiono nowemi, a narożne bastjony świeciły pustkami. W pośrodku tylko korpus sam był jeszcze zamieszkany. Wielka brama otwarta na rozcież wiodła do wewnętrznego dziedzińca, ostawionego w kwadrat budowlami w różnym stanie zachowania. Niektóre części wyglądały na składy i okna miały deskami zabite, w innych widać było znaki życia i zaludnienia. W podwórzu było pusto, gdy doktor, za którym się włókł żołnierz, wszedł rozglądając się powoli... Zatrzymał się tu chwilę, obejrzał, podniósł głowę do góry i wahał, co dalej pójść, gdy chłopczyk ubrany z kozacka wybiegł z bocznych drzwi i stanął jakby czekając zapytania.

Müller zawołał go.

— Mieszka tu pan Krajski? rzekł cicho.

Kozaczek głową skinął potakująco.

— Zostań tu — odezwał się do żołnierza doktor — i czekaj na mnie.

Prowadź mnie do Krajskiego — dodał żywo do chłopaka ..

Żołnierz się obejrzał i wybrawszy najzacisznější kąt, do muru przytulił z rezygnacją. Doktor mu znikł z oczów. Szedł on za swym przewodnikiem korytarzami, w których samemu nie łatwo się było zorjentować. Stary zamek przebudowywany w różnych epokach, dziwnie wyglądał wewnątrz, gdzie się cechy jego przeznaczeń różnych najlepiej zachowały. — Była to lepionka najnieregularniejsza w świecie, w której jak w labiryncie zgubił się każdy nieznający jej tajemnic. — Grube mury miały przejścia wąskie, schody do góry kute w kamieniu, spuszczające się w dół, ciemne a ciasne framugi beze drzwi... potem długie chodniki jakby klasztorne, a wszystko to tak się z sobą plątało, iż zdawało się zbudowane umyślnie na to, aby wtargającego nieprzyjaciela obalamować.

Müller już się zaczął niecierpliwić, gdy kozaczek na drugiem piętrze drzwi mu otworzył i wprowadził go do przedpokoju sklepionego, a prawie natychmiast drugie boczne odemknęły się i barczysty, wąsaty mężczyzna wyjrzał przez nie badawczym wzrokiem wpatrując się w przybysza.

— Doktor Müller? spytał nieśmiało.

— Doktor Ernst Müller, tak jest!... pan Krajski.

— Do usług, proszę pana...

Zmierzyli się oczyma, doktor zrzucił ogromne futro i wsunął się do pokoju, a drzwi zamknęły za nim natychmiast i kozaczek swawolnik pochwycił zostawioną szubę, aby spróbować, czy się w nią zmieści z głową i nogami, co mu się doskonale udało.

Chociaż doktor upewnił jenerała, że znał rządzcę zamku, z przywitania domyślić się tego było trudno....

Gdy oba weszli do mieszkania dość starannie ale staroświeckim sprzętem zastawionego, p. Krajski się skłonił i znizywszy jeszcze głos, powtórnie zapytał.

— Doktor Müller...

— Tak jest, tak jest, odparł równie cicho przybyły.

— Odebrał pan list?

— Inaczéj bym nie wiedział o panu, naturalnie... ani o Wojewodzinie, która musi tu oczekiwać na mnie.

Krajski z obawą popatrzał nań.

— Ale nie lękaj że się waćpan, dodał doktor, ja czasu nie mam, i jeśli kto obawiać się może, to ja... nie wy...

— Wy! wy jesteście cudzoziemcem... a tu Polska... a Moskale w niej gospodarują jak u siebie — żadnego z nas głowa nie jest bezpieczną, ani życie pewne do jutra. Nie dziwuj się pan ostrożnościom... Chce pan usiąść.

— Ja siedzieć tu ani odpoczywać nie mam czasu... prowadź mnie do Wojewodzinéj.

Krajski pomyślał jeszcze chwilę, czapkę wziął ze stołu i rzekł opatrując kieszeń, w której brząknęły klucze.

— Proszę za mną!

Nie powiódł już doktora przez izbę, którą weszli, ale w głąb mieszkań zdających się ciągnąć bez końca po tém ogromném zanczysku. Komnaty stare pustkami stały niemal wszędzie, rzadko gdzieś natrafili na ślad życia... Krajski otwierał i zamykał za sobą drzwi, ostrzegał o ciemnych wschodach i gdy się spuścili na dół w narożnéj wieży odemknął wreszcie podwoje, przez które wprowadził doktora do ogromnéj sali... Tu dał mu znak, aby poczekał chwilę a sam zapukawszy do drzwi bocznych, zniknął.

Sala niegdyś wytwornie przyozdobiona bogatą sztukaterją w części wyłaczaną, na tle niebieskiem, miała wspinały pozór lecz smutny. Ogromny komin marmurowy podpierały dwie karjatydy czerwonawe... od sufitu zwieszał się porcelanowy pajak opylony, do koła przy ścianach symetrycznie ustawiony był sprzęt wypłowiały, a kilka owalnych portretów z epoki Wazów, jedne ożywiały nieco chłodną i milczącą jak grób pustkę. Doktor zmarzły zacierał ręce, ciekawie przypatrując się tej wspaniałości umarłej, a każdy jego ruch głośniejszy, każde stąpienie rozlegało się dziwnie wśród ciszy. Zaczynało mu być i do zbytku zimno i nudno, bo mrok coraz ciemniejszy zalegał salę, gdy Krajski się ukazał milczący, dał znak i przez oszkloną galerję doprowadził go do drzwi, które otworzył, wpuścił go, a sam zewnątrz pozostał.

VIII.

Müller zziębły poczuł cieplejszą atmosferę i w gabinecie małym, oświeconym parą świec woskowych, ujrzał przed sobą w czarnej aksamitnej sukni stojącą kobietę, która nań z oczyma wlepionemi we drzwi, czekała.

Niemiec zbliżył się ku niej i z pokłonem pocałował ją w białą rękę, którą wyciągnęła ku niemu.

Na twarzy kobiety malował się wyraz napróżno tłumiony, nadziei, obawy, niecierpliwości.

— Doktorze! zbawco mój!... mów! ona tu jest!

— Jest, szepnęła oglądając się do koła Müller... ale na miłość Boga! ostrożności! nie gubcie mnie i jój.

— Ciebie i ją wyratuję, przerwała kobieta, mów, mów, co mamy czynić? co poczynać?

Niemiec spuścił głowę, zadumał się, westchnął.

— Niewiem, rzekł, poradzimy się, zobaczymy... Księżna zapewne nie masz pojęcia, jak ja go nie miałem, co to za twardy a razem namiętny człowiek, jak przywiązany do niej i przez nią opanowany, jakimi otacza ją ostrożnościami, jak się lęka, ażeby mu jój nie wydarto.

— Jakto? miałżeby się domyślać! zawołała księżna.

— Domyślać się, nie — ale przeczuwać chyba — nie

wiem, mówił doktor, to pewna, że przyspiesza podróż, że chciałby co najprędzej wywieźć ją z Polski.

— A ona?

— Ona jest zlaną i bezsilną...

— Czy wie o wszystkiem?

— Jenerał zaręczył ję, że Kościuszko nie żyje, że zabity. Od tęg pory nie sprzeciwia się niczemu, zobojętniała na wszystko.

— Ale wie o mnie i o moich staraniach, o zamiarach. Müller zafrasował się widocznie.

— Jeśli mam być szczerym, rzekł, powiem, że nie śmiałem dotąd o tęg ję wspominać. Obawiałem się, ażeby to nie uczyniło na nię zbyt widocznego wrażenia.

— Ale na Boga! doktorze, przecież mi przyrzekłeś!

— A! tak! dałem słowo, nie rozmierzając trudności wykonania... dałem słowo, przez litość nad wami, nad nią....

— I macie słowo moje, że utratę miejsca i przyszłości nagrodzić wam potrafię... Znajdziecie posadę odpowiednią na saskim dworze... a zresztą...

Müller nie dał ję mówić więcej...

— Mówmy o pilniejszym, odezwał się zakłopotany... Pani trwasz w zamiarze?

— Nieodmiennym.

— Wszakże plan jest zły i zmienić go musimy.

— Jakto? podchwyciła Księżna — w jaki sposób? dla czego?

— Bądź pani cierpliwą, pozwól mi mówić... Wszak nikt słyszeć nas nie może.

— Nikt w świecie.

— A! westchnął Müller, gdyby się przedwcześnie wydało to, co on zdradą moją nazwać może, w pierwszej chwili, jestem pewny, zabił by mnie.

— Mówże doktorze.

— Na polskiej ziemi my tego dokonać nie potrafiemy, on jest nazbyt ostrożnym. Gdyby się nawet udało, gdzież ją ukryć? on poruszy niebo i ziemię, splądruje kraj, wyśle pogoń... to człowiek szalony, a ma w ręku wojsko całe.

Księżna milczała chwilę.

— O ukrycie jęj, nie obawiam się wcale, myśmy tu u siebie, oni są najeźdźcami, nikt nie wyda, a szukać i znaleźć... to dwoje! Znaleźć... ją! odebrać mi! a! nie! nigdy!

— Ale nawet uprowadzić tu... nie podobna! przerwał doktor — zważcie tylko, dom, sieni, rynek, miasteczko pełne żołnierzy. On sam wartuje przy drzwiach.

— Powiedz mi waćpan, nie chcąc go słuchać prawie, przerwała Księżna, wszak ta partja, którą on prowadzi, ma wyznaczone dni i długo w miejscu zatrzymywać się nie może, ja to wiem, tak bywa zwykle. On jest zmuszony jechać z nią... gdyby był sposób zatrzymania jęj parę dni dłużej, tu pod twoim nadzorem.

— O! wybuchnął Müller, on od niej nie odstąpi krokiem, choćby miał się na największą odpowiedzialność narażać, to nie podobna.

— Ale podobna, zniecierpliwiona odparła Księżna — dla zdrowia żądać spoczynku i wstrzymać ją tu, wstrzymać koniecznie.

— Dla czegoż tu?

— Tu... bo ja tu mam stosunki, mam przyjaciół, mam ułatwienia. Doktorze, zawołała podnosząc się i chwytając go za ręce — klęknię przed tobą... Ratuj!

— Ale W. Ks. Mość widzisz, że chcę, że usiłuję, że się narażam... trzeba się wszakże rachować z możliwością.

— Jeszcze tysiąc!! szepnęła księżna.

— Ja to czynię, wierz mi pani, przez... przez miłość ludzkości! łykając słowa, wyjąknął Müller, nie mogę jednak nad siły obiecywać. Będziemy próbowali.

A po chwili zapytał:

— Jaki pani masz plan?

— Nie mogłam innego ani lepszego obmyśleć, odczuwała się Księżna ze łzawym głosem wyrazem. — Potrzeba uspić, oddalić chwilowo, odwrócić Puzonowa, przygotować ją do ucieczki... a gdy raz będzie u mnie i ze mną, żadna w świecie siła wydrzeć mi jęj nie potrafi.

— Ale w ucieczce dogonią.

— My nie potrzebujemy uciekać.

— Zamek spalą.

— Nie zostaniemy w zamku!

— Więc cóż? spytał ciekawie doktor.

— Potrafiemy się ukryć — szepnęła Księżna... oddaj mi ją tylko... oddaj mi ją, powtórzyła gwałtownie.

Müller chwycił się za peruczkę nieostrożnie, począł chodźć po pokoju.

— A! no! zawołał — spróbuję ją tu wstrzymać dłużej, zagrożę chorobą, śmiercią... zrobię co mogę, zrobię nad siłę i możność.

— Będiesz mym zbawcą! zawołała drżącym głosem kobieta.

— Nadewszystko — najmniejszego znaku życia ze strony pani... niech nikt nie wie tu o was! nie posyłajcie ludzi do mnie. Sam dam znać! Jenerał jest podejrzliwy i gwałtowny.

— I dziś jeszcze jój powiedz o mnie.

Müller skinął głową.

— Muszę odejść, rzekł, dłuższy mój pobyt tutaj byłby już podejrzanym, niech mnie tylko Krajski wypuści coprędzej...

— Doktorze! ja ci ufam! ulituj się nademną.

— Zrobię co mogę! zrobię wszystko! pospiesznie rzekł Müller, tylko cierpliwości i ostrożności... najmniejsza poszłaka zgubić nas może.

Już się wycofał ku drzwiom, gdy księżna pospieszyła do niego z zapytaniem:

— Ale kiedyż i jak mi dasz znać?

— Jak tylko będzie można.

— Przez kogo?

Müller się zawahał.

— Przyjdę sam... rzekł cicho.

— Pewnie?

Uklonem niskim odpowiedział tylko.

W galerji czekał na niego pan Krajski i milczący poprowadził go nazad, a gdy doktor doszedł nareszcie do swojego futra, znalazł w niém niespodzianie zwiniętego kozaczka, który zasnął jak w najlepsze.

Krajski oburzony tém nadużyciem, zbudził go trochę niegrzecznie, dał mu świecę, gdyż zupełnie się było zciemniło, i pożegnawszy doktora, wyprowadził go w podwórze, gdzie znowu żołnierza nie łatwo znaleźli, ten się był bowiem wkwaterował gdzieś do kuchni, a że sobie pozwalał, upojono go dla świętego spokoju...

IX.

W gościnnéj izbie dworu zajętego przez jenerała, około której drzwi wszyscy na palcach przechodzili, na wysłaném paradnie łożu, w sukni czarnéj rozpuszczonej, siedziała z założonemi na kolana rękami... Hela.

Oprócz blizny krwawéj na skroni, która może na zawsze pozostać miała, nadając twarzy najdziwniejszy charakter i kładnąc na nią wyraz męczeński; — rysy te piękne i młode śmierć i zmartwychwstanie zupełnie były zmieniły. Dziewczę niedawno pełne świeżości i wiosennego wdzięku, przekształciło się na dziewczę jakąś legendową na widmo z mogiły powstałe.

Nie dość, że biała powłoka śmierci została na czole i licu, ale rysy same wychudłe, wyschłe, zesmutniałe, marmurowemi linjami się oblokły. Oko ciemne wpadło wgłąb pod skroń i z pod niéj ogniem dzikim niemal się żarzyło, wargi były zblakłe i jakby wysrane przez upiora...

Siedziała niema, jakby bezprzytomna i widocznie nic ją w świecie nie interesowało, żyła, bo jéj narzucono ciężar ten życia, bez ochoty do niego, bez celu, bez nadziei.

Oko już nawet płakać nie mogło.

Szczęśliwy, kto jeszcze płacze! za łzami jest czucie i nadzieja, w wyschlęj powiece siedzi rozpaczny męczarnia.

Cała ta postać majestatyczna, surowa, nie dziw że jakąś trwogą przejmowała każdego, kto się do niej przybliżał, to lekceważenie życia, nadawało jój królewski majestat...

Cisza co ją otaczała... zdawała się ani dziwić ani nużyć, wśród niej mogła snuć myśli z siebie samój i wspomnień własnych.

Okna były zapuszczone, w pokoju ciemno... lampka przysłonięta paliła się w kominie, u drzwi znużona sługa siedziała w krześle sparta o mały stoliczek i — zdrzémnęła się mimowoli.

Jenerał kilka razy uchylił drzwi i zaglądał, ale nie śmiał wniknąć widząc Helę w téj zadumie, którój przerwanie często obudzało łzy i nerwowe cierpienia.

Stał mimo chłodu w progu domu oczekując na doktora i niecierpliwiąc się jak despota który czekać nie umie i nie lubi. Nie rychło pokazał się Müller udając weśomego.

— Cożeś tam robił doktorze marudo? zawołał jenerał — coś robił w tym zamku zaklętym czy przeklętym.

— Co robiłem!! nie puszczał mnie ten Krajski — odparł Müller, ale czyż uchowaj Boże byłem tak pilno potrzebny? czy jenerałowa?...

— Jenerałowa siedzi jak posąg... nie o to idzie, odpowiedział Puzonów, ale ja potrzebowałbym pójść opatrzyć komendę, więźniów, kwatery... a nie mogę się oddalić... lękam się ją tak porzucić.

Lekarz ramionami ruszył.

— Czego się wy obawiacie wiecznie?

— Zostaniecie tu? spytał Puzonów, nie oddalicie się.

— Nie pójdę już nigdzie. prócz do chorób przy której zostać muszę chwilę, aby stan jój wy badać...

— Wpłyniecież proszę na jój uspokojenie, rzekł ścisłając go za rękę generał.

— Ale zrobię co tylko zdołam, byle bym miał czas na to.

— Nic wam nie przeszkodzi... nawet ja, bo odchodzę.

Müller ukrył radość jaką mu to sprawiło, futro oddał żołnierzowi i na palcach wśliznął się do mieszkania generałowej.

Sługa zerwała się przestraszona ze snu...

— Idź sobie odpocznij, szepnął doktor, zostaw mnie samego... ja posiedzę na waszém miejscu...

Drzwi się zamknęły, a Hela nawet oczów nie zwróciła w tę stronę... siedziała wciąż jakby martwa, wpatrzona w ścianę przeciwną, szklannemi oczyma zadumy głębokiej.

Doktor chwilę stał przygotowując się jakby do rozpoczęcia rozmowy i przebudzenia jój z tego snu na jawie... potem postąpił parę kroków, odkaslnął zlekka. Hela zadrżała i zwróciła się nagle ku niemu, ale twarz jój nie rozjaśniła się tak, jak zwykła promienieć po smutku, gdy miłe przerwie go zjawisko, znać było z wyrazu, że doktor był dla niej zupełnie obojętną figurą, choć mu zawdzięczała życie.

Nie miała nawet ochoty do rozmowy, spuściła oczy... niema.

Müller wziął krzesło, zbliżył się, usiadł i prosił o rękę, zaczynając od zbadania pulsu...

Hela podała mu ją z posłuszną obojętnością.

— Jakże pani jest? zapytał — czy się pani lepiej czy gorzej czuje po podróży?

— Lepiej nie — a gorzej? ruszyła ramionami, czyż gorzej być może?

— Ale bo — przerwał doktor, trzeba się z życiem pogodzić, chcieć żyć i mieć nadzieję.

Hela spojrzała na niego, jakby wzrokiem powtarzała pytanie — mieć nadzieję.?

— A tak! dodał lekarz — człowiek póki żyje, nie powinien nigdy tracić nadziei.

— Póki żyje, to prawda, rzekła powoli chora — ale czyż ja żyję? czyż to się życiem nazwać może? Ja tam na podzameckiem polu padłam zabita, chlubną i piękną śmiercią umarłam, a że wam podobało się na mnie uczynić doświadczenie, duszę, co się jeszcze nie wypłatała z więzów, zmusić, by je na nowo przyjęła... że mi kazaliście wlec jakieś przypomnienie życia — cóżem ja winna? Ja już raz umarłam i — żyć nie chcę.

— To bardzo źle, odparł doktor, bo... bo gdybyś pani... Ale, przerwał, w takim stanie, w jakim ją znajduję, nie mogę jej powiedzieć nawet wszystkiego, co bym chciał...

— A cóżbyś chciał mi powiedzieć? że mnie mąż kocha? że będę zdrową? że mogę być po ludzku szczęśliwą? coś podobnego? nie prawdaż?

— A może wcale, wcale co innego, mruknął doktor.

coś niespodziewanego, dziwnego... ale w takiem usposobieniu ja nic powiedzieć nie mogę.

Hela bacznie się w niego wpatrywać zaczęła, doktor się uśmiechał dziwnie, pierwszy to raz wyczytała w jego twarzy coś innego niż zwykle.

Powtórzył cicho — Nic powiedzieć nie mogę.

— Spróbuj pan! rzekła Hela.

Müller się obejrzał trwożliwie nieco, znać było, że lękał się drażliwą rozpocząć rozmowę, nie wiedząc jeszcze, jak do niej znajdzie usposobioną swą pacjentkę...

— Daj mi pani słowo, rzekł głucho i tajemniczo, że bądź co bądź, nie zdradzisz mnie.

Hela ruszyła ramionami tylko.

— Jeśli na to słowa potrzeba, nie mów mi nic, bo nie ufasz... Ja w życiu nie zdradziłam — nikogo.

Doktor potarł perukę, poszedł do drzwi jednych, do drugich, namyślił się, siadł w krześle i z wolna ująwszy znowu jęj rękę, mówić począł.

X.

— Pani masz matkę?

— Któręj nie znam — prawie... przerwała Hela.

— Los wasz ją mocno obchodzi.

— Nie wiem...

— Ja wiem o tém... ja... Jeśli jest rzeczą możliwą byś pani była... wolną... to się stanie.

W rysach jenerałowej odmalowało się zdumienie, które jēj usta zamknęło, popatrzyła długo na Müllera.

— Na co mi się to zdało? rzekła — pożyczane życie moje tu wlec, czy tam...

— Przy sercu matki.

— Matki! powtórzyła cicho, matki!

Długie milczenie panowało chwilę.

— Ale to być nie może — zawołała — mojem przeznaczeniem jest być pastwą tego człowieka... śmierć nawet wydrzeć mnie nie mogła z tych objęć nienawistnych. Żądał mnie, teraz kocha, później nienawidzić będzie i mścić się może, ale jak szatan pastwy nie puści! Co pomoże wyrywać się przeznaczeniu, targać te więzy, które niewidoma losu ręka włożyła... któż zrozumie tę tajemnicę, tę dołę, tę sprawiedliwość niesprawiedliwą, ten sąd katowski,

który na mnie wydał... ja nie wiem kto... Trzeba być posłuszną i męczeństwo wypić do dna.

— Ani mów tak pani, ani myśl...

— Po co żyć! dodała cicho, kiedy on zabity?

— Kto zabity? zapytał lekarz.

Hela spojrzała i milczała.

— Powiedz mi pani przecie kto? kto ten *on*?

— Jego nie wskrzesicie! dodała generałowa.

Müller głową potrząsał.

— Czy to tajemnica? spytał.

— Śmierć odkrywa wszystkie — odparła Hela. Słyszeliście doktorze pewnie o generale Kościuszcze, to był mój dobry brat... przyjaciel...

I łzy puściły się jój z oczów.

— Ale jakież jest związku między tym kimś zabitym a Kościuszką? zapytał doktor.

— Wszak nie żyje? jęknęła Hela.

Müller spostrzegł dopiero teraz, że generał zapewne przez rachubę, oznajmił jój śmierć naczelnego wodza... obawiał się zbytniej radości wybuchu, gdyby jój oznamił, że Kościuszek żył, choć w niewolę został uprowadzony i namyślał się, co miał czynić.

Hela patrzyła mu w twarz, jakby z niej coś wyczytać chciała, widziała w niej zdumienie, które nie było bez znaczenia... oczy jój zajaśniały nagle, porwała się z łoża, chwyciła go za rękę.

— Na miłość Bożą, siedź pani! cicho! zdradzisz mnie ruchem, postawą, wyrazem twarzy.

— On żyje! podchwyciła Hela.

— Cicho! cicho...

— On żyje?

— Żyje — ranny, w niewoli... lecz żyje... milcz pani.

— Więc i ja żyć chcę! i ja! zawołała, rękę doktora niosąc do ust — bądź błogosławionym, żeś mi ocalił życie. Będę posłuszną, będę spokojną, będę zdrową.

— Na teraz, tylko spokoju i obojętności — podchwycił doktor, generał może co chwila powrócić... wpadnie tu. Niech nie wyczyta nic z twarzy! na miłość Bożą! Jeśli pani możesz, bądź dla niego trochę, ale tylko trochę miłszą... a prosz go, aby ci tu kilka dni dał odpocząć.

Hela pożerała każdy wyraz doktora, twarz jej lekko zarumieniona zmieniała się, rozjaśniała, wypiękniała iskrą życia. Müller zdumiony i przerażony patrzył na tę metamorfozę.

— Zaklinam panią! spokojności! spokojności! on pozna od jednego wejrzenia. Pani *potrzebujesz* być chorą, aby tu spocząć.

— Nie bój się, rzekła, dość by wszedł, a znajdzie mnie taką, jak zawsze. Mów, rozkazuj co mam czynić?

— Bądź trochę łaskawszą dla niego i prosz — o spoczynek...

Gdyby tak być mogło, żeby on pojechał, a mnie tu z wami zostawił?

Ostatnie wyrazy domówił prawie niepochwycionym głosem, gdyż w sieniach poznał chód generała.

W istocie w chwilkę małą potem otwarły się drzwi z wolna i Puzonów ostrożnie wśliznął się na palcach do pokoju.

Hela zbladła i osmutniała, doktor trzymał ją za puls, a gdy generał wszedł, dał mu znak, aby się zachował jak najciszej.

— Jest trochę gorączki, odezwał się po cichu, droga więcej męczy, niż się spodziewałem, rany niedogojone, wzruszenie, osłabienie.

— Czy się pani (generał żony nie nazywał inaczej) — czujesz słabą?

Hela dała znak głową.

— Przed chwilą skarżyła mi się pani generałowa na wielkie znużenie.

— Tak jest, wygasłym głosem odezwała się z cicha, tak, pragnęłabym odpocząć!!

Puzonów z niecierpliwością potarł czoło.

— Wśród drogi! ja się nie mogę zatrzymać.... trochę dalej...

Doktor nic nie mówiąc głową potrząsał.

— Wszakżebyśmy... mogli trochę prędej jadąc połączyć się z wami.

— Jakto? jakto? myślicie, porywczo zawołał Puzonów, że bym mógł was porzucić! samę! wśród tego kraju...

— Dla którego jestem umarłą — podchwyciła Hela. A ja tak bardzo pragnęłabym choć parę dni zupełnego spoczynku.

Generał wstał z krzesła, począł się przechadzać po pokoju... zżymał się i niecierpliwił.

— Zresztą, ozwała się Hela z wolna, wy wiecie, że mi to wszystko jedno — umrzeć... tu czy tam, prędej czy później.

— Ale trzeba, żebyście żyli! musicie żyć! zawołał Puzonów.

Doktor milczał.

— Prawdziwe nieszczęście! co tu począć? mówił jenerał, głowę tracę. To niepodobieństwo... samę zostawić.

— Ale w ostatnim razie wszakże ja bym został... została by sotnia kozaków, ludzie.

— To wszystko nie dosyć! krzyknął jenerał. Czy to ja nie znam Polski, czy ja nie wiem, co tu umięją, tu wszyscy są w spisku przeciw nam, młodzi i starzy, wszystkich wyznań, wszelkich stanów, tu nikomu ufać nie można.

— Przesadzacie panie jenerale, rzekł doktor spokojnie, przecieżeście te wszystkie spiski w krwi utopili.

— Pływają po niej! zawołał jenerał — nie! tego nie dosyć! ten naród potrzeba do nogi wytępić.

— Jeneralc! zawołała Hela patrząc nań oczyma płomienistemi, ja do tego narodu należę.

Puzonów zaciął usta i skłonił głowę.

— Darujcie mi, rzekł — to głupie słowo nie wiedzieć jak mi się z ust wyrwało... Ale czasem człowiek cierpliwość straci! dodał, wystawcie sobie, że trzystu więźniów, dwudziestu kilku na złość mi w drodze umarło, a pięćdziesięciu po jednemu puciekali... osiemdziesiąt głów brankie. Oficer powiada, że po drodze do liczby dołapie kogo spotka — to jeden sposób... Nie spuszczaają ich z oka... w ziemię gdzieś wpadają... kat ich wie.

Hela powoli pochyliła się na łożę i złożyła głowę na poduszce, był to znak, że chciała samą pozostać.

Jenerał zbliżył się do niej, z po za niego Müller da-

wał jój znaki i Hela łagodniejszym głosem dała mu dobranoc.

— Jenerale, rzekła, jeśli chcesz być dobrym dla mnie daj mi tu odpocząć, dom wygodny, zostaw mnie na dwa dni, przecież ci nie ucieknę, nie mam po co i dla kogo.

Puzonów uderzony nieco tém naleganiem, oddalił się zamyślony.

Wyszli. Niepodejrzywał on wcale doktora, nie mógł się domyślać nic, ale jakiś niespokój przecucia go ogarnął.

Nazajutrz rano po długich namysłach i walkach z sobą, Puzonów nakazał, aby partja z powodu wielu chorych i nieporządku, jaki się w nią wkradł, odpoczęła w miasteczku dzień cały.

Doktor dowiedział się o tém z rana, a służa oznajmiła pani, która postanowiła z łóżka nie wstawać.

XI.

Dzień ten zeszedł na pozór spokojnie i bez żadnych zmian ważniejszych, z południa tylko zachorowała służąca tak niebezpiecznie, iż Müller zapowiedział, iż zostać tu musi. Nie można się było obejść bez sługi, a w małym miasteczku jak ją znaleźć? któraż podjąć się zechce jechać z Moskalami za kraj świata?

Puzonów był wściekły.

— Müller, jak ty mnie nie poratujesz, zawołał — to nikt! Co ja tu pocznę! gdzie tę chorą podziać, z kąd na jej miejsce wziąć inną?

— Chybabym poszedł do Krajskiego? spytał Niemiec.

— Idź! bież, powiedz mu, niech wyszuka... dam co zechce...

— Kto? Krajski, śmiejąc się i ruszając ramionami, rzekł doktor...

— Ale nie! sługa! Jużć przecie są na świecie sługi?

— Tylko nie na to, by z nieznajomymi w podróż się puszczały.

— Jakto? generał rosyjski...

— Ah! śmiejąc się zawołał Müller, témci gorzej.

Wzmę siłą!

— Dajże pokój... i uspokój się sam... idę do zamku, poradzimy coś na to.

— Ale, dodał zwracając się od progu, ani myśl o wyjeździe jutro. Jenerałowa jest gorzej, podróż ją zabije. — We trzy lub cztery dni my was napędzimy w Kijowie.

Puzonów głową wstrząsnął. Müller wyszedł.

Tym razem w biały dzień, nie potrzebował żołnierza, trafił do drzwi, ale w korytarzach zamku zupełnie się zgubił...

Wewnątrz pusto było, wszystkie przejścia mniej więcej do siebie podobne, schody jednakowe, a nigdzie żywej duszy. Napróżno nogami stukał i kaszłał, żaden głos mu nie odpowiadał. Instynktem wiedziony to w prawo, to w lewo, na górę, w dół, Müller przeklinając stratę czasu, zabłąkał się tak, że nawet nazad wyjść nie umiał.

Niespodzianie wcale znalazł się w jakiejś ciemnej szczy. Drzwi stare splekane, mimo dnia przepuszczały światło... za niemi stłumiony szmer jakiś słyszeć było.

Müller sądząc, że tu przecież kogoś znajdzie, co go wyprowadzi z tego labiryntu, popchnął drzwi i znalazł się w podziemiu...

Było ono tak wielkie i tego kształtu, co górna sala, którą zwiedził wczoraj, sparta na ciężkich niskich słupach. U drzwi, któremi się wcisnął, stało kilka beczek próżnych i splekanych... w głębi... wśród ciemności światełkami kilka rozjaśnionych gdzieniegdzie, uwijali się ludzie jacyś jak cień. Zrazu doktor nawet rozpoznać nie umiał, co to za jedni

być mogli, ale z wolna oczy jego przywykały do nocy tej i postacie stały się wyraźniejszymi.

Z wielkiem zdumieniem poznał w nich Müller jakby cienie więźniów, których partją widywał w drodze. Niektórzy zdali mu się, jakby z podróży znajomi... Pookrywani łachmanami, jedni leżeli na ziemi, drudzy jedli i pili, z garnków i beczulek, które przy nich stały. Tu i ówdzie paliły się świece i łojowe.

Najdziwniejszym jednak widokiem były wśród tych milczących, śpiących, posilających się obojętnie zbiegów — trzy w środku wyciągnięte z rękami na piersiach — trupy.

W głowach każdego z nich paliła się świeczka, a w dłoniach żółtych mieli wystrugane z białego drzewa krzyżyki.

Tuż obok z zupełną spokojnością siedział jeden opatrząc pokaleczone nogi, drugi pił z butelki, trzeci chleb sobie kroił. Działo się to w największym milczeniu, ledwie szmerem przerywanem.

Doktor domyślił się łatwo, że to było schronienie tych właśnie może nieszczęśliwych, których ucieczkę wczoraj Puzonów przeklinał; razem z tém przyszło mu na myśl, że mógł być poznany... i że ci ludzie obawiając się być wydanymi, życie mu wydrzeć lub uwięzić zechcą.

Ale, nim przestraszony wielce, miał czas wysunąć się za drzwi, już kilku z tych ludzi stojących na straży przy beczkach, których od razu pociemku nie dostrzegł, rzucili się nań i pochwyciwszy z zatuloną głową, powlekli go ku świecom.

Kupa ich zerwała się z ziemi, poprzybiegała ze wszystkich kątów lochu.

— Doktor jeneralski! zawołano — doktor jenerała!
Moskal!!

— Zdrada! Są zdrajcy między nami! Szelma rządca nas wydał! zawołał inny, podpalić zamek...

Tłumiona ta wrzawa nie ustawała, doktor chciał się odezwać, tłumaczyć, nie było sposobu. Zresztą cóż miał mówić na swą obronę?

Położenie było w istocie straszliwe, wśród ludzi, którzy nic nie mieli do stracenia. Dla nich jednego więcej trupa położyć na ziemi nic nie kosztowało.

— Gadaj jakeś ty tu wszedł! zawołał nareście jeden porywając go za kołnierz... kto cię tu wprowadził?

Doktor nieco oprzytomniał.

— Postronka, wołano z boku, co się tu tłumaczyć, jest hak w murze, winduj Moskala i po wszystkim.

— Ale ja Moskal nie jestem! krzyknął Müller w rozpacz — jestem Ernst Müller doktor, Niemiec z Saksonji, a Sas i Polak...

— Ho! ho! ale służysz Moskalom! podchwycił inny... na hak!

— Jakeś tu wszedł? mów!

— Przypadkiem, przysięgnę wam na krzyż święty.

— Kiedyś luter zdrajca!

— Jako żywo, katolik jestem... odparł żywo doktor.

— Jakeś tu wszedł? powtarzał wąsaty, który go trzymał za kołnierz.

— Przypadkiem, przysięgam wam! zabłądziłem w zamku, szukałem rządcy, Krajskiego...

— Po co? na co?

— Mam do niego interes!

— Tak! dawajcie mu gadać! przerwał inny — co tu z nim rozprawiać — na co? Na hak! dawaj postronka!

Jeden już sznur zarzucił na szyję doktora, który struchlał.

— Wyda nas! na hak! wołano w koło.

— Ale przysięgam...

— Na hak! na hak! Panie Stanisławie, hak o trzy kroki, zarzuć sznur i winduj... co tu myśleć długo.

— Ale na Boga! panowie moi! ja was nie wydám... a jeśli zniknę, generał każe mnie szukać, przetrzęsie zamki i was znajdzie... Ja was nie wydám, ja wam przysięgam.

— Panowie bracia, rzekł jeden z tłumu, tu nie ma co rozmyślać, tak czy tak źle... Żeby Szwab nawet po tym strachu zamilczał, to się z paniki rozchoruje i żołądek jego nas zdradzi!! Powiesić i uciekać... uciekać trzeba.

— Po cóż wieszać? — za co mnie wieszać macie?

Gwar i wrzawa rosły, aż ktoś przecie rozważniejszy nakazał milczenie.

— Cichoż do stu tysięcy kaduków! zawołał barczysty mężczyzna, albo wybrawszy mnie dowódcą słuchać będziecie albo... was do trzysta djabłów porzucę, niech Moskale mordują...

— Ale cichoż, kiedy podstarości mówi.... poczęto szeptać.

Doktor stał tymczasem z postronkiem na szyi, dwóch ludzi trzymało sznur, a kilku dusiło nieszczęśliwego Niemca, żeby się im z rąk nie wyrwał.

Wrzawa powoli zmieniała się w szmer i ciszę uroczystą.

— Panowie bracia, za tłumoczki i w drogę, mówił półgłosem podstarość. Nie ma tu czego popasać! Moskaliska dziś mają rasztag, popiło się bestyjstwo i śpi jak bydłę... Ja znam tu chody i przechody wszystkie, szyją wyjdziemy nad staw... brzegowinami stawu między trzcina dosuniemy się do lasu... w gąszczu. W puszczy dalej i djabeł nas nie znajdzie, a Moskaleć tu wiekować nie będą.

— Święte słowa, pana podstarościęgo, odezwał się inny, ale doktora tymczasem powiesić nie zawadzi... Zawsze to moskiewski sługa... na co to ma chodzić po świecie...

— A po co darmo ręce walać? rzekł inny.

— To go puścisz? spytał zapamiętały ów, który haka koniecznie chciał próbować.

— Ale ba! już mi tylko dajcie zrobić co myślę, a wszyscy będziecie kontenci.

Doktor z nową trwogą postrzegł, że ludzie otaczający go śmiejąc się coś szeptali. Jeden zaraz zdarł mu futro z ramion, a drugi sznurem począł ręce i nogi krępować, chciał krzyczeć, ale mu zatknęto usta i przymocowano postronkiem do nich chustę. W oczach zrobiło mu się ciemno, napróżno wyrwać się usiłował... zachwiały mu się nogi ściśnięte i padł. Kilku ludzi podniosło go z ziemi i pociągnęli ku trupom. Tu położono go w rzędzie z innymi razem, tak, że się opierał o jednego z nieboszczyków... a cała ta kupa ludzi coprędzej poczęła się wybierać do drogi.

Wybór nie mógł trwać długo, bo żaden z nich nie

miał oprócz małego węzełka... Pospiesznie obwiązywali się, obuwali, podstarości stał oczekując na nich ze świeczką w ręku. Doktor patrzył, jak się zgromadzili, jak zabrali świece. Kilku przyszło przykłęknąć przy trzech trupach, których zostawiali z nim w podziemiu, wszyscy prawie całowali żegnając nieboszczyków... nie jeden zapłakał...

Na związanego Müllera nikt i nie spojrział już nawet. W głębi lochu, niskie drzwi uchylił podstarości, zimny ciąg wiatru przebiegł po podziemiu... światła się oddaliły i gdy ostatnie z nich znikło we drzwiach z ostatnim wychodzącym, który je silnie za sobą zatrzasnął, doktor znalazł się wśród najgłębszych ciemności, w towarzystwie trzech trupów, z nadzieją, że sam wkrótce z głodu, chłodu i trwogi życia dokona.

Gdyby był mógł krzyczeć przynajmniej, ale zawiązane silnie usta, nie pozwalały mu ani pisnąć...

A któżby go zresztą w tém pustém podziemiu usłyszał?

XII.

Jenerał napróżno czekał powrotu doktora do południa, z początku zwłokę przypisywał trudności w wyszukaniu sługi, ale nareście zaczął się niepokoić, niecierpliwić i pchnął żołnierza do zamku, aby się dowiedział od Krajskiego o Müllerze. Zdziwiony rządzca ledwie się mógł rozmówić z żołnierzem, ale w końcu zaręczył mu, że od wczoraj doktora wcale nie widział, i że go w zamku nie było.

Jenerał był niesłychanie zdziwiony i już polską jakąś intrygę w tém wietrzył... ale postanowił czekać jeszcze i nie robić z tego wrzawy...

Tymczasem Müllera jak nie było tak nie było.

Kozaczek który w milczeniu świadkiem był rozmowy Krajskiego z moskiewskim żołnierzem, po wyjściu jego śmiać się począł.

Był to chłopak swawolny...

— Czego ty się trutniu śmiejesz? — zakrzyczał nań rządzca.

— Jakże, proszę jaśnie pana, kiedy pan z pozwoleniem, żołdatowi, nieprawdę powiedział.

— Jaktó nieprawdę? oburzył się rządzca.

— Ale kiedy ja, proszę pana, sam na moje oczy tego wczorajszego pana, ja tam nie wiem czy Moskala czy Niemca, widziałem na zamku.

— Kiedy? co pleciesz?

— Dziś rano.

— Cóż robił?

— A no szukał widać którędy wejść. Czy ja tam wiem. Ja za niego czy za jego-futro wczoraj oberwałem, to com się miał mięszać. Niemczysko chodziło, chodziło po zamku, stękało i kaszało, a ja się śmiałem... co mnie do tego! Mnie nikt nie powiedział, żebym ja mu drogę pokazywał.

Krajski za głowę się pochwycił.

— A Boże mój miły! gotów był pociemku wpaść w studnię zamkową...

Kozaczek musiał to przypuszczenie znajdować niezmiernie śmiesznem, gdyż się aż położył ze śmiechu, ale Krajski wpadł we wściekłość.

Porwał pęk kluczy, zawołał burgrabiego i jak opętany wyleciał, kozaczkowi obiecując sto łóz, jeśliby się Niemiec nie znalazł.

Burgrabia, stare bardzo człeczysko, mruczając przywłókł się o kiju, widocznie nie rad tym poszukiwaniom. Ale z Krajskim nie było co żartować, musiał iść, poszło jeszcze kilku ludzi, splądrowano caluteńki zamek, zajrzano do studni niezmiernie głębokiej, która niegdyś na wypadek oblężenia była wykutą i zakrytą później przymurkiem... nigdzie nie znaleźli ani śladu Müllera.

Nareście Krajskiemu na myśl przyszły podziemia, choć coby on tam miał robić. Burgrabia oparł się temu dla

niewiadomych przyczyn nadzwyczaj stanowczo, zaczął się nawet kłócić z Krajskim, spluwać i przeklinać.

Rządca, który czuł jaka na nim odpowiedzialność ciąży, nie słuchając żadnych racji i nie zważając na gniewy, spuścił się do lochów.

Ale na próżno... obeszli calutękie podziemia, nigdzie nie było ani śladu człowieka. Burgrabia tylko czy przypadkiem, czy — (przyczyny wiedzieć trudno) tak zręcznie manewrował, że dwa razy około drzwi jednego lochu przeszli i oba razy je pominęli. Już się mieli oddalić, gdy niespodzianie gwałtowny, przeraźliwy, z niezmiernym wysiłkiem wydobyty z piersi krzyk uderzył ucho pana Krajskiego.

Rzucił się na drzwi mimo burgrabiego i gdy tu weszli... osłupiał.

Widok trupów, a między niemi żywego spętanego człowieka, u którego ust zsiniałych wisiał jeszcze wbity w nie knebel, przeraził wszystkich.

Poznał pan Krajski Müllera, ale z kąd się przy nim wzięły trupy?

Wszyscy stali przerażeni, jeden siwy stary burgrabia ze spuszczoną głową, jak winowajca, obojętnie patrzył. Na jego twarzy prędzej litość było można niż zdumienie wyczytać...

Zagadka była nie do rozwiązania, a doktor, którego sznury rozcięto zaraz, długo mówić nic nie mógł. Polecono tylko ludziom, aby pod najsroższą odpowiedzialnością nie śmieli o tém szepuć ani słowa nikomu. Drzwi od lochu zaryglowano za trupami, a doktora dwóch ludzi zaniosło, bo się ledwie na nogach długo skrępowanych i po-

drewniały mógł utrzymać — do pokoju rządcy. Natychmiast też wysłano do jenerała z uwiadomieniem, że doktor nagle zachorował, potłukłszy się na ciemnym korytarzu.

On sam życzył, żeby nie mówiono inaczej. Zresztą przed rządcą nawet więcej nic powiedzieć nie chciał, nad to, że się zbłąkał, że go ktoś napadł i że potem nie wie, co się z nim stało.

Dano zaraz znać Księżnej Wojewodzinie, która uprzedzając spodziewane przybycie jenerała, przysłała sama po cichu się rozmówić z doktorem. Ale zaledwie miała czas kilka słów pochwycić, gdy Puzonów z dwoma oficerami, z dziesięcią żołnierzami, ostawiwszy zamek kozakami do koła, wpadł do niego jak burza.

Nie wątpił, że jakaś intryga i spisek pozbawić go chciała najwierniejszego przyjaciela. Groźny przybiegł do łoża, na którym doktor był złożony i począł go badać natarczywie. Müller wszakże wylekły i rad że się na świat wydobył, nie powiedział mu nic więcej nad to, że się w zamku zbłąkał, spadł ze wschodów, potłukł i leżał tak godzin kilka, dopóki go Krajski nie odszukał.

Powieść ta wydała się Puzonowowi nieco dziwną, mało do prawdy podobną, ale nie mógł nic innego wymóżyć na doktorze, który go tem pocieszył, że służącą wyszukał i że on na za godzinę już będzie u jenerałowej. Sam zaś prosił o spoczynek i o to, by wraz z panią mógł parę dni w miasteczku pozostać.

Powody w istocie do tego były bardzo ważne, jednakże Puzonów go milczeniem zbył, groźnie popatrzał na zamek pu-

sty, wyglądający jakoś złowrogo i nie mile, jakby miał ochotę bronić się kiedy przeciw Moskalom — i odszedł.

Doktor był w istocie chory z zimna, strachu; sznury nielitościwą ręką pookręcane około nóg i rąk, porobiły mu niemal rany. Mimo to Müller się nie skarżył, milczał i rad był, że żyje, gdyż przez długie godziny pobytu w lochu, już się ze światem pożegnał.

XIII.

Księżna po wyjściu generała nadeszła znowu, poznoszono z zamku wszystkie balsamy i czém tylko można było ulgę jaką sprawić biednemu Müllerowi, nakarmiono go, odchuchano... przyrzeczono znowu więcej jeszcze, tak, że ku wieczorowi Niemiec odzyskawszy siły, mógł się już powlec do gospody. Generał choć się gniewał na zamek polski, przypisując mu całą winę nieszczęsnej przygody, czuł się téż w obowiązku wynagrodzenia przyjaciela i znalazł się wspaniale.

Przed Helą nie powiedziano nic o przygodzie doktora, oprócz, że nieco był słaby. Nowa sługa, nie młoda jakaś i niepozorna kobiecina nie podobala się jenerałowi, a miała w dodatku z powodu fluksji obwiązaną głowę i część twarzy.

Puzonów, choć zakochany w żonie, wolał około niej widzieć młode i ładne dziewczęta... razila go i starość i choroba więcej jeszcze. Ale cóż miał począć w niedostatku innéj sługi, zwłaszcza gdy z téj Hela była niezmiernie zadowolnioną.

Z zadziwieniem postrzegł nawet Puzonów, że jakiś dzi-

wny półuśmiech oblewał twarz choréj, która mu za tę nową towarzyszkę podziękowała sama.

Wpatrzył się w biedną kobietę Puzonów, ale w niej oprócz łagodnej fizjognomji nie znalazł nic nadzwyczajnego, ruszył ramionami tylko.

— To osobliwa rzecz, rzekł powróciwszy do doktora... te kobiety, nawet takie bohaterki i święte jak moja żona, woła przy sobie cierpieć brzydotę, niż co ładnego i młodego... ja tego nie pojmuję... to coś już zazdrośnego w naturze...

Doktor uśmiechnął się milczący...

Nazajutrz rano potrzeba było wyruszyć z partją i jenerał się wahał jeszcze co począć, chciał z razu sam jechać z nią, potem nagle postanowił oficerowi powierzyć, obiecując dopędzić.

Spełzła więc nadzieja jedna pozbycia się świadka niewygodnego...

Jenerał zostawiał tylko przy sobie mały oddział kozaków...



XIV.

Nazajutrz dzień upłynął na spoczynku dla wszystkich. Puzonów raz tylko dowiedział się o zdrowie żony, przy której nieodstępnie przesiadywała sługa nowa, znalazł ją wcale dobrze, a że Müller jeszcze był nie odszedł po swym wypadku, przez cały ten dzień był na jego posługach. Nie trzeba jednak sądzić, by zaniedbał pilności około domu; żołnierz jeden chodził w sieniach wzdłuż drzwi do pokoiów, a drugi miał nakaz pilnowania dziedzińca. Jenerał znalazł jakieś stare warcaby i grał z doktorem, opowiadając mu różne szczegóły z pierwszych chwil wybuchu rewolucji kościuszkowskiej.

W całym domu cicho było i spokojniuteńko, kilka razy tylko nowa sługa pani jenerałowej wychodziła, wchodziła, a raz nawet udała się do zamku czy na miasteczko, ale wkrótce już była z powrotem, niosąc węzełek swoich rzeczy.

Żołnierz, którego postawiono w korytarzu, bo w polskim kraju Moskal się nieczuł bezpiecznym, zauważył jedną rzecz osobliwą.

Był to chłopak roztropny, Małorusin, rodem od Charkowa, sprytny, bojki, ale równie lubił się pośmiać jak

wypić, chociaż wódka mu do spełniania obowiązków nie przeszkadzała nigdy, w lepszym tylko bywał humorze po niej i doświadczył, że nawet uderzenia feldwebla w tym stanie przyjmowane, mniej nań oddziaływały. Ilekroć więc najmniejsze było prawdopodobieństwo, iż się mogły posypać razy, pocciwy Omelko syna swjej matki oszczędzając, zbroił się w anesthezyjny antidot. Tego dnia jenerał otworzył mu kredyt, równie jak towarzyszowi, na trzy kieliszki gorzalki, z których dwa Omelko wypił jeden po drugim.

Był więc w bardzo dobrym humorze i bolało go tylko, że w korytarzu na rodzaju warty (bezbroni) śpiewać nie mógł. A tu mu w duszy dźwięczały wszystkie małosruskie dumki. Ale człowiek się musi obyć bez chleba, a więc i bez pieśni może.

Bawił się Omelko postrzeganiem nad historją korytarza, kto wchodził, wychodził, po co, nic nie uszło jego oka... W biały dzień po odwiedzinach jenerała u chorěj pani, żołnierzowi mignęła się znowu (nie wiedział już który raz) kobieta z zawiązaną twarzą. Wyszła ona powoli jakoś, krokiem nie bardzo pewnym, obwinęła się chustą i znikła za parkanem dziedzińca... Omelko powiódł okiem za nią. Stare babsko, rzekł, a dobrze z daleka wygląda...

Godzina upłynęła może, żołnierz byłby przysiągł, że nie widział jēj powracającą, gdy drzwi od pokoju jenerałowej otworzyły się znowu i wyszła z nich — taż sama kobieta...

— No! to albo ja ślepy, albo czary, albo djabli ich wiedzą, co to jest... jak ona wróciła? wszakżem odedrzwi nie odchodził.

To bestje czarownice...

Na wszelki wypadek Omelko się powoli zadumany przeżegnał.

Kobieta nie spiesząc się, wyszła znowu za bramę i parkan dziedzińca i znikła. A że Omelko już był wypił kieliszek trzeci, czwarty zaś sam sobie ofiarował, a piąty arędarz mu dał bez pieniędzy, nie uczyniło to na nim innego wrażenia, prócz że się sam z siebie śmiał — jaki był głupi.

Dziwném mu się wydało i to, że kobieta dwa razy, jak niby rachował, wyszła, a nie powróciła ani razu. Powiedział sobie znowu, że czarownice mają widać tę własność, iż wychodzą widomie a powracają kominem niepostrzeżone.

W istocie nadszedł mrok, wieczór, noc. Jenerał na palcach przystąpił do drzwi dowiedzieć się o żonę, żołnierz mu oznajmił, iż sługa wyszła; Puzonów spojrzał od progu na łóżko i postrzegł śpiącą na nim, odwróconą do ściany chorą... wysunął się więc po cichuteńku i nakazał w całym domu jak największe milczenie.

Dziwił się ubolewając przed doktorem, że jenerałowa prawie tego dnia nie jadła, ale Müller go zapewnił, że spoczynek ją posili najlepiej i że należy ją zostawić samą sobie.

— W takich wypadkach nie ma jak sen, dodał Müller, to dobry znak.

Zgodził się na to Puzonów, a że i doktor snu potrzebował, bo mu dolegały okropnie obrzęknięcia na nogach, poszli wszyscy za wczasu do łóżka. Tylko biedny Omelko niedoczekawszy się powrotu kobiety, która dwa razy była wyszła — zamknął i zaryglował drzwi korytarza, sam so-

bie dobrał kąt wygodny i w kuczki siadłszy, zadrzemał. Na zimnie i po wódce, jak się to dobrze zasypia!!

Jenerał miał sen przerywany, Müller drzemał a skoro usnął, jęczał i budził się z krzykiem, tak mu dolegały nogi i przypomnienie owych godzin w podziemiu z trupami przebytych... Na pociechę mówił sobie, iż to się wszystko musi przecież opłacić...

XV.

Rano dosyć jenerał się obudził i wstał, życzył sobie koniecznie, żeby mogli wyruszyć z tąd z południa, sam zakrzętnął się około pakunków, powozów, pobudził ludzi i tak namówiwszy doktora, aby także wstał, doczekali godziny dziesiątej rano.

W pokoju jenerałowej cicho było jak w grobie, sługa nawet, co dziwna, nie wstała jeszcze i nie wyszła. Żołnierz stojący na warcie poświadczył, iż od wczorajszego dnia nie było tam znaku życia.

Gdy go sam Jego Excellencja badać zaczął po cichu, zaręczył mu, że bodaj nawet i służąca... nie musiała powrócić, bo on jęj przychodzącęj nie widział.

Tknęło to jenerała, który drzwi pomalutku otworzył, dziwiąc się, że ich na noc nie zaryglowano, i wszedł. W pokoju było tak wszystko, jak wczoraj, a co dziwniej, na łóżku jenerałowa spała odwrócona do ściany, zupełnie tak, jak wieczorem ją widział...

Obawiając się omdlenia, zbliżył się Puzonów do łoża, usiłował zobaczyć twarz, zakryta była zupełnie, nachylił się i — nagle wrzasnął a raczej ryknął tak, że co żyło w domu zerwało się myśląc, iż coś okropnego stać się musiało. — Nikt jednak nie śmiał wejść do pokoju, aż doktor Müller przerażony wpadł pierwszy.

Zastał generała w najgwałtowniejszej pasji szarpiącego pościel łóżka porozrzucaną po izbie, w której żywej więcej duszy nie było.

Müller poskoczył ku niemu chwytając go.

— Jenerale, co się stało?

Puzonów mówić nie mógł, pienieł się ze wściekłości. — Widoczném było, że generałowa uciekła.

Natychmiast wciągnięto do izby Omelka, który ukląkszy i palec na palec złożywszy, poprzysiągł, iż nie wiedział ani widział nic, oprócz dwa razy raz po raz wychodzącej obwiązanej sługi...

Zrazu generał chciał wezwać najbliższą komendę moskiewską, zamek przetrząść, spalić, miasteczko wyrzucić do góry nogami, zniszczyć... gnać po gościńcach, gonić, mścić się... ale powoli, gdy padł na krzesło, wywarłszy zajadłość swą na sprzęty, łzy mu się rzuciły z oczów, zaciął usta i wydał tylko rozkazy do podróży, jakby nagle zmienił projekta...

Müller go pocieszał, mówił, perswadował, ale generał nie słyszał nic lub słuchać nie chciał.

Zrywał się po kilkakroć, chcąc zarządzić rewizję w zamku... potem mu ręce opadły i nic już nie przedsiębrał, tylko co rychlój pragnął ztąd wyruszyć.

Müller był przy nim nieodstępny, lękał się bowiem, aby nadzwyczajne wrażenie nie oddziało na zdrowie generała, tém bardziej, iż oprócz zgruchotanych krzeseł i podartej pościeli, gniewu nie miał na kim wyrzucić i zamknął go w sobie.

— Ale nim wyjedziemy, zawołał Müller, jeśli wy nie

chcecie, to ja się pójde dowiem do zamku... okazuje się, że Krajski był oszukany, bo to uczciwy człowiek, że ta sługa musiała być... kat ją wie, kto ona była... Mnie to oburza... pozwól mi się pójść dowiedzieć.

— Po co się dowiadywać! krzyknął generał zrywając się z krzeselka — ja wiem wszystko. Nie kochała mnie żywa, nie mogła mnie kochać gdy wstała zmartwych... chcę o niej zapomnieć! zapomnieć! zapomnieć!

Müllerowi żal się prawie zrobiło tego dzikiego na poły człowieka, który pragnął właśnie tego, co nigdy na żądanie nie przychodzi...

Puzonowowi pilno było nie tylko wyjechać, ale pozbyć się wszystkiego, co mu żonę przypominało, powozy powyprowadził inną drogą do stolicy... a że i widok doktora go męczył, wręcz mu zapowiedział, że mógłby wrócić czy do szpitali wojennych, od których był czasowo odkomenderowany, czy gdzieby sobie sam życzył.

Müller oświadczył smutno jakoś, że powróci chyba do Warszawy. — Trzeba i to przyznać generałowi, że pieniężnych swych zobowiązań względem doktora dotrzymał, po czém zostawiwszy mu swój powóz jeden, prawie bez pożegnania, przybity, znękany, kazał się wicść za partją więźniów, która go poprzedzała. — Można sobie wyobrazić, z jakim usposobieniem jechał dla Polaków i Polski... Twarz jego w ciągu kilkunastu godzin zmieniła się tak strasznie, jak po najcięższej chorobie. Na najpierwszej stacji połamał żebra posthalterowi, który mu parę słów odpowiedzieć śmiał... a co dalej... nie wiemy...

XVI.

Müller smutny jakoś stał w ganku domostwa, które opuszczał generał, podał mu rękę na odjezdném... i długą chwilę pozostał zamyślony głęboko. Ruszył potém ramionami, poskrobał się po nabrzęklinach wczorajszych i zawlókł do izby, aby rzeczy swe uporządkować i zabrać się do odjazdu. Wprzód jednak musiał się dowiedzieć do zamku.

Dr. Ernst Müller nie był, jak wiemy zły człowiek, a miał ten przymiot, iż był nadewszystko praktyczny...

Często powtarzał to sam do siebie — dla własnego usprawiedliwienia.

— Wyrzekłem się mojego kraju, rodziny, uścisku ostatniego matki staruszki, błogosławieństwa ojca, małżeństwa i domu własnego, poszedłem między obcych, nie po to, ażebym stary i złamany powrócił na cmentarz bez kawałka chleba!! Ba! życie ma swe wymagania smutne a nieuchronne... Po cóż Puzonów tak głupi, a ta kobieta tak dziwaczna?

Z temi prawie myślami i wyrazami powlókł się powoli Müller do tego straszego zamku, którego wspomnienie przejmowało go zgrozą... Tu cicho było, spokojnie jak przedtém, chociaż pilniejszy badacz byłby dostrzegł w oknach

górných piętér od strony miasteczka kilka głów ukazujących się jakby na czatach.

Stały tam one, szczególniejszą baczność zwracając na gospodę, dopóki nie zobaczono, że generał z całą swą świtą odjechał. Jednakowoż i przyście doktora musiało być obserwowanem, gdyż zaledwie wszedł w bramę, wybiegł naprzeciwko niemu sam p. Krajski i poprowadził milczącego nie tam gdzie wprzód go przyjmował, ale do mieszkania własnego skromnie przyrządzonego w boczném skrzydle zamkowém.

Gdy się drzwi zamknęły za Müllerem, który musiał sięść by spocząć, Krajski stanął błydy naprzeciw niego, jak gdyby czekał rozkazów.

— Chciałem się widzieć z Księżną — rzekł doktor cicho.

— Księżnej Wojewodzinéj od wczora nie ma w zamku, odparł Krajski nieśmiało — ale... dodał wahając się — jest list i.. przesyłeczka do pana dobrodzieja.

To mówiąc Krajski poszedł ku okiennicy drewnianéj przy oknie, otworzył ją, wyszukał zasłoniętą przez nią kryjówkę w murze, dobył spory pakiet ciężki i list, i wręczył oboje doktorowi, który pakiet skrył zaraz a pismo z ciekawością czytać począł.

Co w niém znalazł, nie wiemy, ale na twarzy jego nie było najmniejszój oznaki wrażenia.

Znać się spodziewał téj treści i po chwili złożył list, chcąc go schować do kieszeni, jednakże po namyśle przystąpił z nim do komina, w którym ogień płonął, rzucił zmięty na żar i dopilnował dopóki się całkowicie nie spalił.

— Pan nie raczy napisać nic do Księżnej, choćby poświadczając, że wręczyłem wiernie, co mi było polecono.

Doktor spojrział nań bystro...

— Nie — nie — rzekł, tylko głupi piszą... a do siebie szepnął — *scripta manent*.

— Księżna by rada była cokolwiek wiedzieć... odezwał się Krajski.

— Napisz jój waćpan sam... powoli począł doktor, że generał w rozpaczy odjechał, że żadnych poszukiwań ani zemsty nie zarządził, że wszystko się odbyło daleko lepiej niżem się ja mógł spodziewać... Jednakże to natura gwałtowna, czasem zmienna w postanowieniach, a przywiązanie jego do żony nadzwyczajne, potrzeba się mieć na baczności i nie zawadziłoby usunąć się jak najdalej, w jak najbezpieczniejszy zakąt cichy, gdzieby nikt o generałowej nie wiedział. Dziś już wątpię, ażeby miłość mu dla niej wróciła, ale chęć zemsty przyjść jeszcze może...

Generał jest mocen w Polsce dokonać co zechce... Gdyby kiedy żonę znalazł, niezawodnie by ją z mocy swych praw mężowskich porwać kazał i osadzić w jakim moskiewskim monasterze na całe życie. Z tém mi się odezwał w końcu. Życzę więc, mówił doktor, aby mogła wyjechać za granicę co najrychlej i nigdy do tego kraju, który w mocy ich jest, nie powracać.

Krajski słuchał z uwagą wielką, tak jakby chciał słów tych na pamięć się wyuczyć, by je jak najwierniej powtórzyć.

— Tak, mówił siedząc ciągle doktor, powiedzcie Księżnej Wojewodzinie, niech chwilowemu uspokojeniu jego nie

ufa... człowiek bardzo gwałtowny. U niego spokojność jest wyjątkowa i rezygnacja także, namiętność jedna trwałą i niezmienną. Zbyt wiele téj kobiecie poświęcił, ażeby mógł o tém zapomnieć i skończyć na obojętności. Ma on wprawdzie pomiędzy swojemi nieprzyjaciół wielu, ale ma i przyjaciół silnych i protekcję w Petersburgu... a co tam chcą to się w Polsce zrobić musi.

Nie dostrzegł Müller, że na to mimowolnie wstrząsnął ramionami pozornie spokojny zupełnie Krajski... i mówił dalej.

— Doniesiecie Księżnej co mówię, jest to rzecz wielkiej wagi. Kobiety łatwo się trwożą, ale téż łatwo zapominają o niebezpieczeństwie. Najmniejszy rozgłos téj historii nadany obudzi w Puzonowie i gniew i pragnienie zemsty i obrażoną dumę. Ma on tu swoich, i gdyby sam nie był w kraju, potrafi przez nich sięgnąć po zdobycz swoją. A teraz gdyby się ona w jego ręce, w jego szpony raczój dostała — za nic ręczyć nie można... Moskiewski monaster jak grób, kogo pochłonie, nie odda więcej.

Spojrzał doktor na Krajskiego, który stał, milczał i nie czynił uwag żadnych.

— Powiedzcie Księżnej, że jadę nazad do Warszawy, jeśli by mnie potrzebowała, jestem na jej usługi...

Tu zawahał się i spojrzał w oczy Krajskiemu, który słuchał z nieruchomą bladą twarzą nic nie mówiąc.

— A to jeszcze dodać potrzebuję, dodał doktor, iż dla samych siebie, pod przysięgą, nie powinniście bąknąć ani słoweczka o mnie, o tém co się tu stało wczoraj, o moich... moich stosunkach z Księżną Wojewodziną. Wprawdzie

ja jestem mały człowieczek to prawda... ale... i ja, widzicie, mam stosunki — mam stosunki różne... z wielkimi... Zgubić się łatwo bym nie dał, a broniąc... no... mam i ja zęby, mogę... pokąsać...

Dziwny uśmieszek przebiegł po bladej twarzy doktora.

— O to szanowny konsyliarz możesz być zupełnie spokojny, w naszym własnym interesie, rzekł Krajski — jest milczenie. Wprawdzie awantura rozgłośna, trudno zapobiedz, żeby nie gadano, aleśmy nadali plotkom zupełnie fałszywy kierunek. W tej chwili wiedzą wszyscy w miasteczku, że generałowa w nocy z drugą kobietą uciekała na prostą chłopskiej furmance ku lasom. Jej ucieczka z zamkowemi sprawami nie ma najmniejszej styczności. Na to się zaradzi.

Wczorajsza przygoda w lochu już się utarła... ludzie którzy byli świadkami, odesłani do dóbr ukraińnych, na Szląsk, każdy z osobna i wiedzą dobrze, że im gęby otworzyć nie wolno.

Doktor popatrzał na Krajskiego, oddychał wolniej, niż głós nieco.

— No, mówiny otwarcie, rzekł, wiecie, że ze mną nie powinniście robić tajemnic, przyłożyłem rękę do tego co się stało... nie kłamcie przedemną.. Księżna Wojevodzina z generałową muszą tu jeszcze gdzieś w zamku być ukryte. Jużćie pewnie nocą nie uciekały.

Krajski szarpnął się za wąs.

— Jako żywo, odparł szybko, jako żywo, tu ich nie ma już od wczoraj — ręczę panu za to. Gdzie są, o tém powiedzieć nie mogę, (poprawił się) bo prawdę rzekłszy,

ja nie wiem, dalipan nie wiem, ale ręczę, iż wczoraj wieczorem opuściły zamek.

— Zresztą, muszę panu wytłumaczyć się, dorzucił Kraj-
ski, iż zamek ten należy wprowadzić do bliskich krewnych
Księżnej Wojewodzinéj, ale my ją prawieśmy nie znali. —
Spełniło się rozkazy pana Kasztelana... a dalej, to już do
nas nie należy. Obcyśmy tym sprawom... Zamek zwykle
pusty, nikt na nim od dawna nie mieszka, oprócz mnie,
który się tu męczę, jak w klasztorze... bo to straszna pu-
stka... a... (tu Krajski, ogromny drab rycersko wygląda-
jący, przeżegnał się prędko) a — prawdę rzekłszy, nie
bardzo nawet w niej spokojnie.

— Dla czego? spytał doktor.

— Duchy chodzą i przeszkadzają po nocach — cicho
odparł rządca.

Müller nie od razu zrozumiał o co chodziło, a potem
śmiać się zaczął i ruszać ramionami pogardliwie.

— Co dziwnego, dodał rządca, wczoraj pochowaliśmy
trzy trupy nad stawem, a kto może wiedzieć, ile tu podo-
bnych historii z nieboszczykami się trafiło... Wiadomo
przecież, że dusze w czyscu zostające na takie miejsca po-
wracają...

To już dla Müllera było rzeczą całę nie zrozumiałą;
słuchał prawdziwie, jak o żelaznym wilku, w końcu poczał
się do wyjścia zabierać. Skorzystał tylko z dobrych uspo-
sobień Krajskiego i kazał sobie dać zamkowe konie do
najbliższej rezydencji znajomego pana... myślał nawet o za-
pasach na podróż, ale nim to życzenie wyraził, opamiętał
się, że go się pozbyć gotowi i dać mu co zatrutego... za-

milkł więc i kieliszka wina ofiarowanego nawet przyjąć już nie chciał.

Rządca troskliwy przeprowadzić go życzył do gospody, ale i téj grzeczności Niemiec odmówił... a po krótkim spoczynku wrócił do gospody, zkąd konie zamkowe nazad gościńcem ku Warszawie go powiozły.

Tak się bardzo cicho i spokojnie ukończyła przygoda tajemnicza, o której mówiono długo w okolicy, ale historia generałowej moskiewskiej przerobiona została przez lud wedle jego myśli i usposobień na krwawy dramat żadnej z Polską nie mający styczności, nie przypuszczano bowiem, żeby owa pani Polką być mogła, a wmieszano do niej tyle obcych ingredjencji, iż w nich prawda utonęła na wieki.

XVII.

Wkrótce potem, spadkobierca Księcia Wojewody, pan Podczaszyce, który trzymał dobra po nieboszczyku i z tego powodu miał liczne stosunki z Księżną Wojewodziną wdową, otrzymał niespodzianie zawiadomienie, że się ze wsi do miasta przeniosła na mieszkanie, i osobiście by się widzieć z nim pragnęła.

Odmalowaliśmy już pobieżnie pana Podczaszyca, który był utworem epoki, jakich ona liczyła nie mało. Najlepszy człowiek w świecie był też w świecie najlekkomyślniejszym człowiekiem, istotą sztuczną, stworzoną do zjadania sukcesyj i zlizywania z życia słodyczy tak, jak dzieci miód z chleba zlizują. Zjadł był w ten sposób bardzo wesoło kilka spadków po mieczu i kądzieli, a teraz się zajmował smacznym kąskiem po Księciu Wojewodzie. Już mu wprowadzie tak zęby nie służyły jak dawniej, ale człowiek podobno najwięcej jadła psuje, gdy go potrzebuje najmniej.

Pomimo nader smutnej epoki, w której mu żyć przyszło, Podczaszyce był z natury wesoły i kwaśnych nie cierpiał — a od deklamatorów uciekał jak od ognia, żartował ze wszystkich począwszy od siebie samego; lubił jeść, pić, a do kobiet miał prawdziwą słabość, czepiał się do każdej.

Im bardziej starzał (choć wiek i jego ślady starannie zacierać i maskować umiał) tém namiętność ta niewłaściwa jego latom, więcćj nim zawładynała.

Teraz tylko ów najukochańszy Bettiny schodził znowu na łatwe miłostki, które on sam nazywał szydząc, *holenderskiemi*. (Wiadomo, że wówczas wszystkie należności dukatami się holenderskiemi zaspakajały).

Pomimo podstarzenia nie zmienił był wcale rodzaju życia i bawił się jak mógł, byle zabawić. Otaczająca go żałoba kraju wcale go nie dotykała, bo uczucia miłości ojczyzny nie pojmował wcale; — wszystko mu było jedno mieć do czynienia ze swojemi czy obcemi urzędnikami. Unosił się nad ambasadorami moskiewskimi, jako ludźmi najlepszego w świecie wychowania... a gdy mu ich dzikość zarzucano, tłumaczył ją tém, że ich niepotrzebnie drażniono. Słowem Podczaszyc stworzony się zdawał, aby jeść, pić, dowcipkować, i iść drogą życia w skokach aż do mogiły. W gruncie jak wszyscy egoiści, był to człowiek słodki i miły, chciał ze wszystkiemi być dobrze i kłaniał się wszystkim, nie sprzeciwiał nikomu, pozwalał mówić i utrzymywać, co się komu podobało, ruszał ramionami na klótnie i namiętne walki, jako na rzeczy niezrozumiałe.... a że nie kochał bardzo nikogo, mógł miłość swą rozdzielić na wszystkich.

Księżnę Wojewodzinę szanował, już to że był do tego nawykł od młodu, już że mając z nią różne interesa — wielką grzecznością zawsze coś od niej utargować potrafił.

Dowiedział się o jój przybyciu prawie z przyjemnością, zawadzać mu nie mogła wcale, a w pewnych wypadkach

miał zawsze prędkie i łatwy kredyt u wdowy. Potrzebował go często, bośmy zapomnieli powiedzieć, że był graczem namiętnym i część znaczniejszą tych fortun, które w jego rękach stopniały, zostawił na zielonych stolikach... europejskich stolic. Chwalił się nawet czasem z ogromnych summ, które wygrywał w Paryżu u Marji Antioanety.

Księżna Wojewodzina była się od razu po śmierci. męża wyniosła z pałacu, ale miała własny dom, opustoszony nieco, przy Miodowej ulicy (która naówczas inaczej wcale wyglądała). — Ten z jej rozkazu został wyporzadzony, uczyniony wygodnym, a Podczaszyc mebli część z pałacu starego dobrowolnie do niego ofiarował.

W podobnych razach bywał on zwykle niepomierne hojnym i znalazł się też wspaniale, oddając co było najlepszego. Skutkiem tego daru i niewielkich zresztą wydatków, pałacyk przy Miodowej ulicy, przybrał wcale miłą fizjognomję. — Wewnątrz było to poważne, ale prawdziwie pańskie cacko.

Zastosowano się do upodobań pani, która lubiła około siebie ten wykwint dobrego smaku, nie rażący, nie widoczny, na którym prawdziwi tylko znawcy poznać się mogą.

Od kilku dni już Księżna Wojewodzina, która ze światem wielkim prawie była zerwała stosunki, mieszkała w swoim pałacyku... i tu też powołany przez nią zjawił się pan Podczaszyc.

XVIII.

Znalazł pokoje puste i nim o jego przybyciu znać dano, rozpatrywał się w nich. Surowe oblicze salonu nie podobało mu się, meble były czarne, okryte ciemnym aksamitem, ściany pomalowane kolorem pompejańskim, i dwa tylko obrazy religijne zdobiły je, przypominając tragiczne sceny z żywota Chrystusa.

— Coś to mi nadto wygląda na klasztor, rzekł w sobie Podczaszyc, boję się, żeby Księżna nie popadła w dewocję — ale czułych dusz jest to koniec zwykły... nie mogąc się umizgać do ludzi, wdzięczą się do Pana Boga. Jeśli mi tu przyjdzie pobyc dłużej, dostanę kataru lub nerwowego napadu...

Nagle zaszleściła suknia jedwabna, Podczaszyc się odwrócił — i z otwartymi ustami stanął jak wkuły w ziemię. Przez salon przechodziła właśnie słusznego wzrostu kobieta, która mu przypomniała straszliwym sposobem Księżną Wojewodzinę, gdy była młodą, tak, że w początkach nie wiedział, czy nie powinien jęj powitać i czy to nie była cudownie odmłodzona... stryjenka.

Podobieństwo rysów było tak uderzające, iż Podczaszyc oniemiał — zauważył w chwili, gdy się przez salon prze-

suwała, że prześliczna jój twarz była na skroni opasaną różową blizną, niby śladem zagojonym cierniowego wieńca.

Podczaszyc nie był wcale skłonnym do marzenia o tragicznych i tajemniczych historjach — ale to zjawisko, które nagle znikło mu z oczów, wprowadziło go w zadumanie głębokie.

— Kto to mógł być? zapytał siebie... czy mi wypada o to spytać Księżnę, czy milczeć?

W tój chwili, gdy sparty na stoliku dumał, drzwi otworzyły się powtórnie i Księżna weszła, Podczaszyc nie mógł się powstrzymać od porównania tych dwóch twarzy tak niesłychanie do siebie podobnych. Ta tylko była starszą o wiele...

— Przepraszam kochanego kuzyna, że go fatygowałam, odezwała się po przywitaniu Księżna — darujcie mi, my biedne kobiety same sobie nigdy, w niczém rady dać nie umiemy.

— Ja jestem na usługi, byłem potrafił.

— Ale to bardzo mała rzecz, a ja sama nie jeżdżę nigdzie i postarać się o nią nie potrafię.

— Macie stosunki w urzędowym świecie, dodała po chwili, wyróbcie mi... pasporta.

— Dokąd? zapytał zdziwiony Podczaszyc — za granicę?...

— Potrzebuję... potrzebuję być w Petersburgu.

Podczaszyc pospieszył zapewnić, że mu to przyjdzie z największą łatwością, ale nie krył zdumienia swego, po co Księżna niemająca żadnych interesów mogła jechać do Petersburga, dokąd zwykle ci tylko się wybierali, którym do-

bra skonfiskowano, co je okupić chcieli pokorą lub wystarać się sobie o nadanie cudzych.

— Jeśli mi Księżna pozwoli uczynić uwagę — rzekłbym, odezwał się Podczaszyc, że to podróż ciężka, długa i nieprzyjemna. Nikt jój nie podejmuje bez konieczności i przymusu, a nie rozumiem, co by Księżnę Wojewodzinę skłaniać do tego mogło. Jeśli jest interes do zrobienia, my byśmy go i bez podróży fatygującej przez ambasadora ułatwić potrafili.

Księżna się widocznie zmieszala, spuściła oczy, bawiła się chusteczką i rzekła półgłosem.

— Ja... nie mam interesów... ale... są pewne ważne pobudki... które mnie do tego skłaniają.

Podczaszyc jeszcze bardziej zdziwiony się w nią wpatrywał; przyszło mu na myśl, że panie często na starość niepotrzebnie się do polityki mieszają i uląkł się, by Wojewodzinę patrjoci jacy nie wwikłali w niebezpieczne roboty... przestraszony więc, nie mogąc się oprzeć domysłom, dodał:

— Nieśmiem dowiadywać się ani odgadywać powodów, jednakże... gdyby w nich miała udział polityka, losy kraju, ośmieliłbym się uczynić uwagę, że podróż może być nie tylko bezskuteczną ale niebezpieczną.

— O! ja się wcale nie mieszam do polityki — odpowiedziała Wojewodzina, bo jestem tego przekonania, że ludziom zdaje się tylko, iż na nią wpływają, gdy w istocie opatrność rozrządza losami narodów.

— A! tak pani! gorąco dodał Podczaszyc, któremu

ciężar wielki spadł z piersi, ta cała polityka nasza funta kłaków nie warta... to się na nie wszystko nie zdało.

Po tym wykrzyku nastąpiło milczenie. Podczaszyc im mniej się dowiedział, tém gwałtowniej czegoś się dopytać pragnął.

— Mogę więc rachować na twą usługę, odezwała się Wojewodzina, że pasporta mieć będę.

— Niezawodnie, z ambasadorem widuję się co dnia, lubi mnie, mogę to wyznać śmiało, zawołał Podczaszyc — ale raz jeszcze, czy nie mógłbym odradzić podróży.

— Nie! sucho odezwała się Księżna.

Nie wypadało się pytać, bo toby już było wściubstwem i niegrzecznością, stary elegant uklonił się.

— Dla kogoż mam wziąć pasporta? — zapytał posłusznie.

— Dla mnie... Czy można ogólnie wyrazić z dworem?

— Tak bywało, rzekł Podczaszyc, dziś, wątpię, wymagają imion i nazwisk towarzyszących osób... koniecznie.

— A więc... ja je panu dam.

To mówiąc zatrzymała się Księżna i powstała.

— Czy zaraz?

— To by było najlepšíj.

Wojewodzina wyszła żywo i zabawiła długą chwilę w swych pokojach. Podczaszyc tymczasem rozmyślał o zjawisku i łamał głowę nad powodem podróży. Przyszło mu nawet na myśl, że mimo zapewnień Wojewodziniej, mogła jechać starać się o uwolnienie Ignacego Potockiego, Niemcewicza, Kościuszki... tylko nie Kapostasa... Ruszył ramionami...

— Niechce mi powiedzieć! mniejsza! ale ją jednak jeszcze zagadnę! tak! muszę.

— Wojewodzina powróciła z kartką w ręku... widocznie zafrasowana.

— A więc, rzekła — jadę ja... jedzie ze mną... rezydentka pani Helena...

Tu jej głosu zabrakło, zarumieniła się, musiała usiąść i spuściwszy głowę na papier, wyczytała.

— Helena... Swobodowa.

— Jak? jak? zapytał zapisujący w pugilaresie Podczaszyc... Swobodowa, cudzoziemka.

— Czeszka... cichym głosem dołożyła Księżna.

— Moja służąca Marjanna... i stary kamerdyner, wyrzekła pospieszenie chowając papier...

— Czeszka? zapytał Podczaszyc, ale jeśli tak jest, to powinna mieć pasport austriacki.

— Nie ma go, bo się urodziła i wychowała w Polsce, spieszenie znowu odwracając wzrok wymówiła Wojewodzina, okazując mu nieco zniecierpliwienia.

Grzeczny kuzynek złożył pugilares, ale zatrzymał się jeszcze.

— Mościa Księżno, rzekł, nie wątpię, że memu szcunkowi i czci dla siebie wierzysz... w imię ich pozwałam sobie raz jeszcze uczynić uwagę, że ta podróż, jeśli nie jest koniecznością, to być może nieprzyjemną i nawet niebezpieczną.

— Ale gdyby koniecznością nie była, czyżbym ją podejmowała? zapytała Wojewodzina.

Podczaszyc zamilkł, nie było co mówić więcej; stary

kamerdyner wszedł właśnie meldując doktora Ernesta Müllera, którego Księżna prosić kazala.

Ukazanie się doktora zawsze gości rozpędza, stary młodzieniec wziął kapelusik pod pachę, skłonił się wedle prawideł, pocałował w rękę Księżnę i skierował ku drzwiom, w których właśnie ukazała się żółta, pargaminowa twarz doktora Müllera i jego trzcina z gałką złotą.

XIX.

Zastał on Wojewodzinę po krótkiej rozmowie zarumienioną więcej niż zwykle i widocznie zakłopotaną.

— Pani, rzekł po przywitaniu, pewnie się zdziwisz moim odwiedzinom, nieproszonym na ten raz... ale mnie sprowadza troskliwość o jej dobro i życzliwość prawdziwa...

— A! mój doktorze, wdzięczną ci za nie jestem... mów, proszę, o co chodzi.

— Dowiaduję się, zniżając głos rzekł doktor, iż pani wybierasz się do Petersburga — czy to być może?

Była chwila milczenia.

— Tak jest — odparła Wojewodzina wzdychając...

— Czy pani jedziesz sama?

— Jak to rozumiesz?

— Z kim? bo przecież nie... zawahał się — nie z generałową.

— Mówmy więc otwarcie, gdyś tę drażliwą strunę zaczepił — poczęła Księżna, jadę z nią i tylko dla niej.

Doktor uderzył w rękę i chwycił się za głowę.

— Na miłość Bożą! ależ to się zowie leść w lwią paszczę dobrowolnie! Po co? nie rozumiem. W Petersburgu mieszka teraz Puzonów, którego nie opuściła ani

chęć zemsty, ani pamięć doznanego bólu... a jeśli wypadkiem, który bardzo trafić się może, dostrzeże, dowie się... ta kobieta jest zginiona!! To niebezpieczeństwo przechodzi wszystkie, jakim uległa w życiu... I na miłość Bożą, po co, dla czego się na nie narażać??

Słów mu zabrakło, — spojrzał na Księżnę, załamał ręce...

— Nierozumiem, dodał, nie pojmuję. Jenerałowa nie jest bezpieczną nawet w Warszawie, na miejscu waszém wywiózłbym ją za granicę... a pani... a ona... chce dobrowolnie narazić się na prawie nieuniknioną dolę straszniejszą nad wszystko!

Albo panie nie macie wyobrażenia o Moskwie lub kusicie Pana Boga, to niepojęta lekkomyślność, która cudem chyba ujśćby mogła bezkarnie.

Księżna słuchała milcząca, zasępiona, nagle poczęła płakać, ręce jej splotły się rozpaczliwie i cichuteńkim głosem mówiła do doktora.

— Wszystko to wiem, pojmuję, wybolała mi od tego dusza... ale jak się oprzeć nieszczęśliwej, dla której całą pociechą jest to, że.... poświęci się na zbawienie ukochanego...

— Ukochanego? z podziwieniem zapytał doktor.... kogo?...

— Człowiek, którego w życiu jednego kochała, jest w niewoli moskiewskiej?

— W jakiej?

— W fortacy... pod strażą.

Doktor szydersko, z politowaniem się śmiać zaczął, zżymając ramionami.

— I cóż wy dwie słabe niewiasty w miejscu obcém poradzić na to możecie? Myślicie, że więzienia moskiewskie, to polska wieża, do której wchodzi kto chce i wychodzi z niej kto sobie życzy? Niema na świecie surowiej strzeżonych więźniów, nad Polaków w Moskwie... ani ulgi im przynieść, ani ucieczki ułatwić nie podobna... to są romanse.

— Ja to wiem, odparła Wojewodzina, ale przekonać nie potrafię... niech zobaczy, niech się dotknie, aby wiedziała, że ja jój mego poświęcenia nie skąpię, że moja miłość nie jest egoizmem samym.

Patrzac na jój łzy, na rozpacz, na te gwałtowne wybuchy, na rojenia nadziei... żal mi jój i mimo przekonania bezsilności naszej, odwozić jój od tego nie śmiem, nie potrafię. Trzeba jechać — doktorze.

— Trzeba zginąć, komu zguba przeznaczona... na to więc nie ma ratunku, zawołał doktor. — Nie mogę pani przekonać o grożącym niebezpieczeństwie, a więc odkryję jój wszystko.

Rozstaliśmy się z jenerałem, mówił dalej, w najlepszych stosunkach, nie posądzał mnie o nic, zachował mi więc dawniejszą swą przyjaźń i pisuje czasem do mnie. Z tych listów widzę, że namiętność w nim nie wygasła, zmieniła się tylko... pragnie zemsty. Oto donosi mi, że przez ambasadora polecił czynić poszukiwania jenerałowej, że naznaczył nagrodę... za samą o niej wiadomość, i że postanowił jak najmocniej porwać ją, by osadzić w mona-

nasterze. Pani wiesz, że w naszym kraju wszystko im wolno, cóż dopiero, gdy kto własnej żony poszukuje?

Doktor zamilkł.

— Mów z nią sam, odezwała się Wojewodzina wstając, może ją przekonasz.

Na te słowa z wielkiem podziwieniem obojga, z za krzesła Księżnej, usłyszeli odpowiedź spokojną...

— Ja tu jestem.

W istocie niepostrzeżona stała już od kwadransa słuchając rozmówcej całej Hela, a twarz jej nie okazywała najmniejszej obawy ani wzruszenia; owszem, uśmiechała się łagodnie.

Przyklękła na kolano przed Księżną, pocałowała ją w rękę, objęła rękami i odezwała się z zapalem...

-- Moja pani najdroższa... moja...

Obie w uścisku płakać zaczęły.

— Prawda? jam szalona, jam opętana, jam nielitościwa — mówiła powstając po woli... jam samolubna istota, dla fantazji narażam szczęście, spokój... a! łajcie mnie! ale nie potraficie tak nielitościwie złać, jak ja sama... a jednak jest siła, co mnie upokorzoną ciągnie tam! gdzieś ku chmurnym przeznaczeniom. Kocham tego człowieka, on jest w więzach, w niewoli; tam gdzie siła mężka i przebiegłość nie starczy, kobiecój dopiero chytrłości i uporowi otwiera się pole... Czuję w sobie potęgę... mam nadzieję, że ja, ja bym go uwolnić potrafiła.

Ale pocóż ty, pani moja najdroższa, masz dzielić losy moje... puść mnie, pójdę sama.

— Nigdy w świecie! przerwała Księżna, jeśli jest jaka ocalenia ciebie nadzieja, to we mnie, samą nie puszcę.

Doktor słuchał tego wybuchu wcale niewzruszony.

— To po prostu szaleństwo! zawołał.

— Szaleństwo czasem więcej, niż rozum może, szepnęła Hela.

— Pani nie znasz tego kraju?

— Widziałam jego próby — odparła uśmiechając się smutnie kobieta, jest to kraj despotyzmu, niewoli, tajemnic, ale zarazem przedajności i zepsucia. Tam można wszystko zrobić złotem, bo nie ma sumień niepożytych...

Doktor biedny nic już nie mówił.

— Czy kto kiedy przekonał kobietę? odezwał się, tego jeszcze przykładu nie było.

Ja uczyniłem com był powinien, — panie zrobicie, co się im podoba.

Müller wychodząc widział, jak dwie kobiety rzuciły się sobie w objęcia i słyszał jak Hela zawołała —

— Jedziemy!

XX.

Na cesarskich pokojach rzędami stali wedle starszeństwa poustawiani dygnitarze, urzędnicy, wojskowi, dyplomaci zagraniczni, wszystek ten świat uprzywilejowany, który dopuszczonym był do oglądania promieniającego oblicza Sefiramy północy.

Na twarzach zgromadzonych, pomimo ich powłoki urzędowej, martwości i zapieczętowania, czasami to wzrokiem, to ćwierćśmiechem, to marszczką na czole zdradzało się jakieś uczucie; ale nieostrożny człowiek, co się téj zbrodni zdrady przeciwko samemu sobie dopuścił, karmił się natychmiast, ściągając lice na chłodną maskę, zmarzłą, jak skorupa ziemna północy.

Patrząc na te szeregi służalców i dworaków, okrytych oznakami łaski, powywyższanych w różnych epokach i za różne czyny, czytać było można niemal żywą historję tego panowania carowej, pełnego blasku, zarazem i pełnego brudu.

Tylko taki kraj jak Moskwa mógł mieć taką panią jak Katarzyna. Niemka wyrobiła się wpływami miejscowego dworu, tradycjami zepsucia na dziwny kolos... zlepiony z tego, co się wypisać nie daje — jenjalna prawdziwie nie-

wiasta, zepsuła się, jak wymagało położenie, wyrzekła przeszłości, narodowości, czucia, aby być najznakomitszą artystką, grającą przed Europą carowę-filozofkę!!

Aplauzów nie brakło, gdyż rolę swoją potwory historycznej odegrała z niezaprzeczonym talentem.

Ale możnaż do znanego już tak obrazu dodać jeszcze rys, którego mu brakło?

Na pokojach nie było jeszcze carowej, która się dopiero ukazać miała, a już z ludzi, co czekali na nią, poznać było można i przeczuć... zjawisko najjaśniejsze.

Dwór to był despoty azjatyckiego, który małpuje cywilizację Europy... aż do przesady elegancji, etykiety, prawidłowości, z pod których przegląda tatarska dzikość nieposkromiona, namiętności stłumione a nie opanowane, chciwość życia i używania.

W stadzie dworaków widać było niby tłum, który tylko bicz pastucha trzyma na wodzy, aby się nie rzucił na siebie i nie pożerał. W ukłonach i słowach, w wejrzeniach i uśmiechach, w grupowaniu się ludzi, czuł przybywający, że tu panowała kobieta, której kaprysami władali faworyci dawni i nowi, że się tu krzyżowały przemnogie sieci intryg, podkopując jedna pod drugą.

Jedni podnosili łby czując swoją potęgę, byli to krewni i zauszniicy Zubowa, drudzy stali pokorni, bo im wzmogącego Potemkina brakło, najstarsi tulili się w kącie, ciężyło na nich wspomnienie Orłowa... inni chcieli przypomnieć mnogich ulubieńców, i w imie ich otrzymać słowo lub uśmiech.

Wszystko to zazdrośnie się jadło oczyma, szydząco

spozierało, wyzywało, a w grzecznych półsłowach tkwiły niedostrzeżone żądla.

Na każdym dworze wszechmogącego ziemskiego mocarza znajdują się pewnie też same namietności i boje i wyścigi, ale gdzieindziej przybiera to pozór przyzwoitszy, kłamię lepij. Na moskiewskim... odegrywano sztukę jak na prowincjonalnym teatrze, i gdy główna artystka była rzeczywiście doskonałą, w trupie nikt jój nie dorównał.

Faworyci carowój mieniali się, przynosząc z sobą na dwór majrozinaitsze żywioły — nieuctwo, pychę, chęć władzy... a zawsze niemal wyglądali na nieszczęśliwych tylko komparsów w bogate szaty... niedostającego artysty po-przebieranych.

Pod koniec zwłaszcza życia cesarzowój, pod największym ładem zewnętrznym, rozstrój był w łonie téj gromady jak największy.

Wpływy tajemne nigdy nikomu nie dozwalały zaręczyć za przyszłość swoją, a gdy z dalszych nuiji wracał do stolicy człowiek... drżał na myśl, jakie go tam spotka przyjęcie, największa łaska czy najsromotniejsze odepchnięcie.

XXI.

Z takimi przeczuciami niepewnymi przyszłości stał właśnie w szeregu wojskowych błady, smutny, milczący, męczyzna w jeneralskim mundurze, mało komu bliżej znany, witany przez niewielu; mierzony ciekawemi oczyma przez wszystkich niemal przytomnych.

— Wiecie wy, kto jest ten jenerał? szeptały dwie panie do siebie, z których jedna miała gwiazdę orderu św. Katarzyny u boku... ja go nie znam.

— To Dymitr Wasiljewicz Puzonów, który tak długo siedział w Polsce, odpowiedziała druga po cichu, trzeba przyznać, że to był przystojny i pięknie zbudowany męczyzna... ale go tam ta Polska zniszczyła! Patrzcie no, możnaby powiedzieć że chorował, tak wygląda biednie.

— A! bo mówią o nim historie — przerwała dama krzyża — ja go nieznałam, ale słyszałam wiele. To prawdziwy romans w jego życiu. Cesarzowej wczoraj w Ermitażu opowiadał o tém sam Zubów, któremu o tém pisali z Polski... nie do wiary!

— A! ja nic nie słyszałam.

— Cesarzowa ciekawa go była zobaczyć... Wszyscy

tam w Polsce pono generałowie źle z nim byli, ale Zubów go lubi i on tu lepiej wyjdzie niż oni.

Potém zaczęły szeptać cicho między sobą i śmiać się ostrożnie.

Drzwi od pokojów carowej nie otwierały się dotąd, mówiono, że kazała była do siebie przywołać członków senatu i za sprawę jakąś nie po myśli swój urządzoną, sprawić im łaźnię.

Nawet stary Dzierżawin, którego carowa dosyć lubiła za jego ody i obsypywała tabakierkami brylantowymi, nie mógł tym razem gniewu odwrócić.

W postępowaniu senatu cesarzowa widziała jakby chętkę samowolności, a to jój się podobać nie mogło.

Dziwną zaprawdę rolę na sfrancuziałym dworze odegrał biedny poeta, wieszcz co napisał odę do Boga i w prostocie ducha wierzył w cnotę i uczciwość, w sumienie i prawa...

Carowa czasami sadzała moralistę na ławie przy sobie i w obec ludzi okazywała mu niezmierną łaskawość, ale gdy wieczorem znalazł się w Ermitażu ks. de Ligne, Segur, kilku Francuzów, śmiano się z tego *paysan de Danube* carskiego dworu.

Przypisywano tego dnia opóźnienie audjencji napomnieniu ostremu, które miał senat otrzymać, zwolna pravidła etykiety zaczynały się zapominać, różnych rang ludzie zbliżali się do siebie, szeregi łamały, gdy nagle szelest od strony drzwi zrodził popłoch i przestrich nie do opisania. Cesarzowa była na ceremonjał niezmiernie czuła, mimo swój filozofji, każdy więc popychając drugich, spieszył zająć swe

miejsce, poprawiano mundury, prostowano plecy... podwoje otworzyły się z trzaskiem. Caryca wchodziła.

Było to wnijscie rutynowanej artystki, pewne, śmiałe, obrachowane na efekt, majestatyczne... Twarz niegdyś piękna, rozlana teraz, ubielona, uróżowana, otaczała peruczka, na której spoczywała malutka korona brylantowa. Suknię atlasową, niebieską okrywały koronki.... Strój był wspa- niały, smakowny i staranny, chód cesarski... ale tego nie- szczęśliwego dnia senat otrzymał wymówkę... Zębów był w złym humorze, panie otaczające carowe kwaśne poka- zywały twarze... i brwi Katarzyny marszczyły się groźnie, choć usta niby łaskawie mówiły.

Widać było patrząc na nią, że to jest niewiasta, którą los uczynił bohaterką, która wie, że po sobie zostawi imię głośne i wspomnienie tryumfów chytrą, sztuką, trafem raczej, niż mądrością i siłą otrzymanych.

Należało w roli bohaterki trwać do końca, aby ją wmówić i w drugich — aby osłonić majestatem.... sy- pialnię...

Wszystkie głowy pochyliły się jak łan makówek od wiatru; kobiety poprzysiały do ziemi, mężczyźni połamali się w pół. Oddawali cześć — Baalowi siły.

Cesarzowa szła szybko, roztargniona, zaledwie racząc spojrzeć na prezentowanych jój, niekiedy imie jakieś ude- rzyło ją, przemówiła słowo lub skinęła, a ten znak łaski starczył na pokarm szczęśliwemu długo.

W szeregu oczekujących stał Puzonów, oczy carowej podniosły się ku niemu i wlepiły w twarz jego ciekawie.

Spytała go, czy z Polski przybywa i kazała mu pozostać, aby się o sprawy zawojowanego kraju (za taki go już uważano) rozpytać.

Puzonów z wiernopoddanością Moskale, ucieszył się tym dowodem łaski i zaufania, po którym téż i ci, co się z nim nie witali wprzód, poczęli go sobie przypominać najczulój.

XXII.

Gdy się przyjęcie skończyło, mistrz obrzędów przyszedł uprzejmie dać znać jenerałowi, że Najj. Pani przyjmie go w swym gabinecie. Z zazdrością ścigano oczyma szczęśliwego, który w dzień złego humoru dostąpił tak wielkiej łaski, niektórzy uśmiechali się. — Carowa miewała dziwne fantazje, a Zubów mógł być tak odprawiony jak inni.

Ale nic przecie nie groziło faworytowi, N. Pani starzejąc tylko przywiązywała się do tych idei, które pieszcząc życie całe, nawykła była na nich swą przyszłą wielkość pokładać. Jedną z nich było pochłonięcie Polski i jój upokorzenie, darować nie mogła Rzeczypospolitej, że się śmiała opierać tak długo, i że na pamiętnym sejmie publicznie poławiano Semiramidę.

Wołając Puzonowa, chciała z ust jego posłyszeć i romansową historję, o której szeptano w Ermitażu i historję zgniecionej, znękaniej o litość wołającejj Polski. Indje, Konstantynopol, Polska... władczenie nawet Europą całą (gdyby dłużej żyć mogła) były marzeniem carowej. Do polityki mieszała się chęć zemsty za obelżywe wyrazy.

Puzonów wszedłszy znalazł ją przy stole papierami za-

rzucenym, jeden z sekretarzów senatu nadszedł był z papierami, ale skinienie odprawiło go za drzwi.

— Dymitrze Wasiljewiczu, odezwała się carowa wpatrując w niego, wiem, słyszałam, żeście wiele wycierpieli w Polsce, ale spodziewam się, że zapomnicie o tém...

To coście znieśli dla mnie i dla Rosji, zapomnianém wam nie będzie... a co z własnej winy... uśmiechnęła się z politowaniem — czas uleczy.

Była chwilka milczenia.

— Wszakżeście ożenili się w Polsce? cóż się stało z waszą żoną?

Rozkaz carowej był wyraźny, Puzonów ośmielony — w krótkich słowach odpowiedział, jakie go spotkały losy...

Taić byłoby napróżno, wiedziała ona wszystko. W czasie opowiadania oko zgasłe Katarzyny zapaliło się jakimś uczuciem gniewnem, do którego miała usposobienie — brew się ściągała, w rękach darła kopertę z ogromną pieczęcią... szwedzkiego kanclerza.

— Dobrze wam tak, Dymitrze Wasiljewiczu, zawołała, czy to w Rosji mało jest dziewcząt, żebyście towarzyszek życia szukali u tego zepsutego rozpustą i samowolą narodu, gdzie kobiety są tak zuchwałe jak mężczyźni i równie buntowniczego ducha? Aleście ukarani do zbytku, litość mam nad wami, to tak pozostać nie może... Ja nie pozwolę na to, ażeby bezkarnie działo się podobne bezprawie... tę kobietę potrzeba porwać choćby wśród Warszawy, choćby w biały dzień, a że żyć z nią, spodziewam się, nie będziecie — należy ją zamknąć na wieki, postrzydz w monasterze i więzieniem do zgonu ukarać...

Wydam stosowne rozkazy ambasadorowi, jest dość zręczny, by bez jawnego gwałtu potrafił ją pochwycić, dość przebiegły, by odkrył, gdzie się schroniła... a monaster koło Archangielska aż nadto dla niej dobry będzie.

Wymówiwszy te słowa spojrzała na jenerała, spodziewając się wyrazu wdzięczności za poślubienie tak gorące jego sprawy. Ale Puzonów, który przed chwilą jeszcze pragnął zemsty, gdy ją ujrzał tak groźną i bliską, niewysłowione uczuł przerażenie jakieś. Pragnienie zemsty go opuściło, litość przyszła — stał milczący. Carowa była kobietą i przebiegłą, odgadła co się w jego duszy działo. — Dziwną sprawą miłości własnej drażniło ją i gniewało, że w obec jej majestatu ktoś mógł żywić uczucie miłości i politowanie dla istoty, na którą ona gniew wyrzucić postanowiła.

Zmarszczyły się najjaśniejsze brwi.

— Milczycie, Dymitrze Wasiljewiczu, rzekła — milczycie — rozumiem to, pozostała w was niedogała miłość dla tej nizekzernej istoty, dla tej buntownicy, którą kula rosyjska powinna była dosięgnąć pod Maciejowicami — ale ja tak pobbłażającą jak wy być nie mogę.

W osobie waszej upokorzoną ja jestem i ojczyzna nasza, zwyciężyła nas jedna awanturnica i naigrawa się z was, z potęgi naszej.

Rozkazujemy wam, jenerale, poddać się wyrokowi memu, kobietę należy zamknąć bądź co bądź w monasterze, a my dla was znajdziemy na dworze moim kobietę, która wam tę stratę nagrodzić potrafi.

Puzonów milczał — nie było na to odpowiedzi. Ca-

rowa wszakże niecierpliwém wejrzeniem wyzywała go na słowo...

— Mówcie, odezwała się, mówcie... jeśli wam w czém łaską moją mogę osłodzić życie.

— N. Pani, rzekł Puzonów, nie śmiem się przeciwieć wyrokowi waszemu, którego łaskawość dla mnie uznaję... jednakże, gdyby mi było wolno prosić o co, błagałbym o zapomnienie win téj kobiety.

— Wy ją kochacie jeszcze? żywo odparła carowa.

— Nie, N. Pani, rzekł generał, ale się lituję nad nią, a może uznaję w tém winę moją własną, żem się zbyt starał o serce, które mi nigdy nie było przychylném i wcale się z tém nie tało.

— To wasza sprawa... litujcie się, gryźcie, zawołała carowa, to kara wasza, ale moja krzywda i upokorzenie darowaném być nie może. — Każdy z moich poddanych w Polsce reprezentuje mnie i Rosję, a wielka Rosja i jój monarchini nie mogą ustąpić przed nikim...

Najświętszy synod wyrzeczy o waszym rozwodzie, sprawę tę przedstawić mu każę, ale kobietę schwycić i ukarać muszę!

To mówiąc uderzyła w stół ręką.

Generał milezący patrzył w ziemię.

— Do woli waszój, rzekła — albo podejmiecie się sami ją tu sprowadzić i oddać w ręce moje... jakimi chcecie środkami, lub wyślę kogo z poleceniem, ażeby ją z pod ziemi dobyto...

— Najjaśniejsza Pani, rzekł Puzonów, nie wiem czy

Waszój Cesarskiej Mości wiadomo, że ta.... kobieta jest córką możnej osoby.

— Naturalną — przerwała carowa.

— Że matka jest bogata, ma stosunki i wedle wszelkiego podobieństwa za granicę już ją uwieść musiała...

Katarzyna uśmiechnęła się.

— Dymitrze Wasiljewiczu, rzekła — czy sądzicie, iż carowa rosyjska ma tak krótkie ręce, iż za granicę Polski sięgnąć nie potrafią?

Uśmiech towarzyszący tym wyrazom był straszliwy. Jenerałowi przyszła na myśl historia ks. Tarakanowój i zadrżał w duszy.

— Czy sądzicie, dorzuciła — że dłoń, która pokonała Turków, zgmiotła Polskę, podbiła Krym... i trzyma berło dziesięciu carstw, nie podola dwom czy jednój kobiecie i to jeszcze Polce??

Puzonów skłonił się tylko.

— N. Pani, możesz uczynić co tylko zażadasz, ale przedmiot to, który nie zasługuje na to, abyś się nim zajmowała.

— O tém ja sędzę sama, wstając rzekła carowa. — Mówcie więc, podejmujecie się wy dostawienia mi téj kobiety do monasteru... czy... mam wydać rozkazy stosowne?

Puzonów zawahał się, nie wiedział jak postąpić, wydać ją na łup najemnikom, czy samemu stać się katem.

— Możecie uczynić, jak się wam podoba, dodała carowa, ale uprzedzam was, że i nad wami mścić się potrafię, jeśli rozkazy moje nie będą spełnione.

Carowa groźnie patrząc, poczęła się przechodzić po ga-

biniecie, niekiedy stając i wzrokiem szklannym, dziwnym, jak sztylet zimnym i przenikającym przeszywając swą ofiarę.

— Jakto! mówiła — dla waszych fantazji cierpieć ma godność mego państwa? Żaden z was do wyższych powołany obowiązków nie ma prawa rozporządzać sobą. Cześć jest wielka służyć mnie i krajowi, ale też obowiązki wielkie. Że się wam prosta jakaś podobała dziewczyna, której daliście nierozmyślnie imię żony, mają się ludzie urągać z moich generałów i szydzić z wychwyconej z rąk zemsty!

Nie — ja na to nie pozwolę... ona musi być ukarana, inaczej być nie może — i nie będzie.

— Gdybym się podjął spełnienia rozkazów W. C. Mości, rzekł generał, mógłbym być posądzonym o brak gorliwości, jeślibym nie potrafił ich wypełnić.

— Zrobi więc to za was kto inny!! zawołała surowo Katarzyna.

Z ukosa wejrzenie cesarzowej skierowało się na Dymitra Wasiljewicza, rada była zobaczyć go przybitym, aby widzieć skutek swojej potęgi; urok i potęgę słowa monarszego, które w chwili zdołało człowieka zgnieść lub podźwignąć.

Komukolwiek Bóg dał władzę, ileż to razy próbuje jęć w ten sposób na ludziach, z pychą dziecięcia męczącego, złapaną muchę!

Spostrzegła carowa, że generał był w istocie smutny i znękany, chciała więc okazać, jak Schillerowski Wallenstein, moc swoją rozjaśnienia téj twarzy żółtkłej i serca strwożonego i odczuwała się stając wśród gabinetu...

— A za zasługi wasze, Dymistrze Wasiljewiczu... mo-

narchini rosyjska, która wdzięczną być umie — obdarza cię orderem św. Włodzimierza i tysiącem dusz na Białej Rusi...

Był to obrachowany *coup de théâtre* wielkiej artystki... spójrzała...

Nie zawiodła się — Moskal miał w oczach łzy, przyklęknął na jedno kolano, skłonił głowę; biała, pulchna i śliczna niegdyś rączka wyciągnęła się ku niemu; ucałował ją z poszanowaniem, z jakim pobożni przyjmują sakramenta.... Carowa rada z całej umiejętności odegranej sceny, skinęła mu głową na pożegnanie.

XXIII.

Podczaszyc był jednym z tych ludzi wyżytych, na których już nie czyni wrażenia, oprócz nadzwyczajności; prócz wyjątków i niemożliwych dziwactw.

Mówiono o ks. Józefie, że równie znużony i ostygły znajdował przyjemność w towarzystwie najprostszego gminu kobiet, całę niepodobnych do tych istot wyperfumowanych, które go śmiertelniej nudziły, im piękniejszymi i zalotniejszymi być chciały.

Podczaszyc wyszedł od Księżnej Wojewodzinéj z obrazem téj piękności nadzwyczajnéj, strasznej razem, która mu się przesunęła przed oczyma, jak widmo z krwawą blizną.

Dla człowieka co niewierzył w nic na świecie, widmo było właśnie najpożądanśm zjawiskiem. Łatwo zapalna głowa Podczaszyca zapłonęła, stary młodzik oszalał. Podbudzoną téż była niezmiernie ciekawość tém podobieństwem Heli do Wojewodzinéj, o którój przeszłości wprawdzie szepmano nedorzeczne baśnie, ale Podczaszyc wcale im nie wierzył.

Teraz przychodziła wątpliwość...

Piękność kobiety, arystokratyczne rysy, bliźnie podobieństwo z Wojewodziną, u którój przebywała — zajęły

niezmiernie Podczaszyca. Ciemny wzrok, którym rzuciła nań przechodząc Hela, poruszył starego wietrznika do głębi, podniecił w nim namiętność, której się już doznać nie spodziewał.

Kobieta, która potrafi w starcu zgasłe obudzić uczucie i żądze, może zrobić z niedobitkami człowieka wszystko co sama zapragnie.

Podczaszyc wyszedł rozmarzony...

Pierwszą myślą jego było, od kogo się tu dowiedzieć? jak dośledzić, kto ona była?

Drugą nastrojącą się mimowoli, że z pasportami nie potrzeba było spieszyć, gdyż to widmo zapewne z Księżną wyjechać miało... W sumieniu spokojnym był, zwłokę w podróży uważając za dobry uczynek — kto wie, co te kobiety same w Petersburgu spotkać mogło? Naostatek pomyślał jeszcze, jeśliby ta nieznajoma jechała z Księżną, dla czegożby on, przez pamięć dla kuzyna, nie miał wdrowie towarzyszyć?

Ognistą bywa młodość, to prawda, ale starość umie być stokroć gorętszą, bo nie ma czasu do stracenia.

Namyśliwszy się z sobą Podczaszyc wreszcie postanowił — wniknąć do ambasady... ale o pasportach nie mówiąc, tylko języka zasięgnąć co do podróży.

Był on tu dawnym znajomym i na najlepszej stopie żył z wszystkimi, co je składali... Siewersa wprawdzie nie zastał, ale bardzo grzecznego i pięknie wychowanego Kurlandczyka, który jego kancelarią dyrygował.

Tu miano go tak dalece za wiernego poddanego najjaśniejszej monarchini, iż często bardzo zasięgano od niego

nawet poufnych informacji. Podczaszyc nie kochał pewnie Moskali, ale się ich lękał i lubił ze wszystkimi żyć w zgodzie, osobliwie z silnemi. W ambasadzie był jak w domu.

Kurlandczyk przywitał go tak, jakby mu w téj chwili był rad niezmiernie i pochwycił go pod rękę.

— Szanowny panie, rzekł mu, nigdy miłszym dla mnie nie mogliście być gościem. Ja tu prawie nowym jestem człowiekiem, co chwila uderzam o jakieś imię, wypadek, których nie mam wyobrażenia.

— Kochany Radzco! odparł śmiejąc się Podczaszyc — stań się moim Telemakiem, z przyjemnością będę twym Mentorem... ale strzeż się naszych Kalypsów...

— A! a! zawołał Kurlandczyk, niechcący potrąciłeś właśnie o przedmiot, który ja wywołać chciałem. Znałeś generała Puzonowa?

— Tego który był przy Igelstromie?

— Nie ma ich dwóch — o tym mówię właśnie.

— Trochę, rzekł Podczaszyc.

— Wiecie jego historję?

— Historję?? szeptał Podczaszyc bijąc się w czoło... na Boga, wiem że była tam jakaś historja — kobieta, ślub, ale nie pamiętam nic.

— No, to mi się na niewiele przydać możesz.

— Cóżście wiedzieć chcieli?

Kurlandczyk się uśmiechnął.

— Pokazuje się, rzekł, iż pan generał, *le beau Puzonov*, zgubił gdzieś swoją panią generałową, która mu nie wiem dokąd uciekła.

— Miała słuszność, zaśmiał się Podczaszyc — *on a beau être beau* i kuropatwy się przejadają. Ale gdzież się podziła generałowa?

Kurlandczyk ruszył ramionami.

— Właśnie w tém — sęk. Powiedz mi pan, gdzie być może skryta generałowa... a pozyszczesz łaski najjaśniejszej monarchini.

— Jakkolwiek łaska mi ta droga, rzekł Podczaszyc, nie mam wyobrażenia, gdzie stare księżyce i dymisjonowane generałowe kryć się mogą.

Poczęli się śmiać oba.

Kurlandczyk w dobrym humorze odprowadził go do okna...

— Doprawdy, rzekł, czasem polityka składa się z różnych ingrediencji. Każą ambasadorom naprzykład szukać zgubionych żon! Sama imperatorowa się tém interesuje... i wyznacza nagrodę i jak najumienniejszy przykazuje użyć wszelkich środków, aby ją pochwycić, i do Petersburga odstawić...

Mamy i tak dosyć do czynienia w Polsce... i daleko ważniejszych rzeczy, a tu nam Puzonów — w łaskach u Zubowa!! każe żony szukać... choć pod ziemią. — Miła zabawka...

— Wiesz co, baronie, odparł Podczaszyc, zawsze to lepsze, niż.... ukąsił się za język — niż wiele innych rzeczy...

Kurlandczyk bystro spojrzał.

— Nauczcież mnie, gdzie ja mam szukać pani generałowej...

— Wiecież przynajmniej, gdzie się zgubiła?

— A! no, kędyś na granicy — ku Kijowu.. ale tam rozesłano już rozkazy, a poszlaki są, że się miała udać do — Warszawy.

— Do Warszawy! cha! cha! to by wam o wiele ułatwiło misję dyplomatyczną, zawołał Podczaszyc — ale zawsze będzie to — jak u nas mówią — szukaniem szpilki w stogu siana.

W tém nagle, jakby błyskawica mignęła mu przed oczyma, Podczaszyc w ręce uderzył.

— *Sapristi!* już wiem!

— Co?

— Którędy dostaniecie języka!

— A! zmiłujcie się, pierwsze kroki najtrudniejsze zawsze... dajcie mi się uchwycić tylko cienia, poszlaki... a resztę, zrobią nasi ludzie.

— Ten cień i poszlaka, choćbym ją wam dał, odezwał się Podczaszyc, wy z niej nie potraficie korzystać — ale posłuchajcie, *en bon camarade* może wam coś potrafię ułatwić...

— Przyszło mi na myśl, że — uderzył się w piersi ze skrucłą udaną i westchnął — pewna kobiecina, niegdyś bardzo ładna i miła, miała w swych więzach Puzonowa, nim się zakochał. Teraz już sobie wszystko, wszystko przypominam. U niej podobno poznał tę żonę! tak jest! tak! Ta kobieta mieszka w Warszawie i ona najprędzej wiedzieć będzie o generałowej.

Ja ją — wybadam.

Baron zarzucił obie ręce na ramiona przyjaciela, który

przez czyste amatorstwo, przez grzeczność i usługność podejmował się szpiegostwa.

— *A! vous êtes bien bon!*

— Zrobię cò potrafię, a nawzajem, jeśli dla kuzynki méj, staréj Księżnéj Wojewodzinéj i jéj dworu poproszę was o pasport, wszak...

Kurlandczyk zaczął się śmiać.

— Dam wam dla niéj nie jeden, ale dziesięć pasportów...

Ścisnęli się za ręce.

— Byleby, rzekł Podczaszyc — ta niegdy piękna Betina nie wyjechała gdzie z kim, bo teraz w Polsce dla tych kobiet coraz mniej szansy.

XXIV.

Pożegnawszy jak najczulój barona Podczaszyc, siadł do karetki i pojechał do domu.

Potrzeba udawania młodego człowieka czyniła mu niekiedy wypoczynek koniecznością, młodość bowiem kosztowała wiele. Nosił gorset, potém na nogach różne poduszeczki i sprężyny, skórę miał pod peruką ściągniętą w tył, aby wygładzić zmarszczki — co operacją stanowiło bolesną. Dolegały mu trzewiki... włosy cudze na łysinie, zęby źle wstawione — wszystko. Dla tego parę razy na dzień zamykał się w domu i kamerdyner zaufany rozbierał go, moczył, suszył, farbował, restaurował, aby na wieczór był gotów.

I teraz wpadłszy do siebie Podczaszyc, natychmiast kazał przywołać starego sługę. — Z obyczajów pana domyślać się każdy mógł, iż tym fabrykantem jego młodości musiał być przynajmniej Francuz, tymczasem w istocie był to Polak, a nawet Rusin, młodo wzięty do usług, który z Podczaszycem podróżował wiele, popsuł sobie język, zmałciał pojęcia, ale poświęciwszy się cały dla swego chlebobawcy, wprawny był we wszystko, czego jego położenie wymagało. — Za młodu zwano go Stepankiem, został po-

tém panem Szczepanem, a od! powrotu z Francji miano-
wano go — *Mr. Etienne*.

Jak ci, co długo z kim żyli, zwykli przybierać po tro-
sze obyczaje i nałogi towarzysza, Etienne był karykaturą
Podczaszyca, mało co od niego młodszą. Rozumnie się, iż
nie miał dlań Podczaszyc tajemnic.

Wiedział Etienne, jak pana przyjąć wracającego z ran-
nych, nużących odwiedzin, łóżko było wygrzane, szkanella
stała jeszcze przy niém, buljon gotowy, szlafrok watowany
jedwabny rozłożony na fotelu, bućki z futrem tuż.

— Etienne, mój przyjacielu, zawołał stary elegant,
który najpierw zrzucił perukę, wdział szlafmycę, i niewi-
dzialne sznureczki z tyłu głowy rozwiązał, aby skórze dać
folgę, tak, że twarz jego nagle najdziwaczniej pomarszczyła
się, pożałdowała i zwisła... Etienne, mój przyjacielu, czy
ty nie wiesz co o Betinie?

Stary sługa oczy zrobił ogromne.

— O Betinie? Jasny pan żartuje, toż to stara baba!
chyba... inna jaka.

— Ale nie, nie, taż sama.

— A... to pocóż *nam* ona? spytał Etienne.

Podczaszyc ruszył ramionami z niecierpliwości.

— Nam ona niepotrzebna, rzekł, ale od niej mógłbym
się o czémś mi potrzebném dowiedzieć.

— Ale i bez niej dowiemy się co potrzeba, z uczu-
ciem obrażonej nieco dumy rzekł pod nosem Etienne, któ-
remu szło o to wielce, aby kto inny w poufne posługi pana
się nie wdierał.

— Otóż nie — bo to nie moja sprawa ale cndza i bez niej nie potrafisz nic.

Stary zamilkł, ale znać było, że panu jeszcze nie dowierzał; pokiwał głową i milczał dość długo.

— Bo to, widzi jaśnie Podczaszyc — rzekł odchrząknąwszy tonem sentencjonalnym, na starość przychodzą człowiekowi nie do rzeczy fantazje... a ja bym życzył trzymać się pisma świętego:

Abizail starego Dawida grzejąca.

— Daj ty mi pokój ze swoją Abizail, stary trutniu... rozśmiał się mimowolnie Podczaszyc.

— A stara baba, wtrącił niepokonany Etienne podając buljon, nikomu zdrowa nie jest.

Widzi jaśnie pan, młody to jeszcze zgryzie i jemu nic, ale uchwaj Boże w naszym wieku fantazja taka, śmiertelna... Ja radzę się trzymać... pisma...

Podczaszyc zaczął się okrutnie śmiać, nie dając dokończyć.

— Klnę ci się honorem, że nie o mnie chodzi.

— Widzi jaśnie Podczaszyc, dodał niepokonany Etienne, przyjmując i wkładając w szklankę wody zęby swego pana, mówią, że pierwsze miłostki w późniejszym wieku wracają. Człowiekowi zdaje się, że osoba była szczęściem onego czasu, a to — młodość! Już gdyby się wróciła Betina jaką była, jaśnie pan by się w niej tak nie kochał... i ja do swojego wracam, aby się trzymać pisma świętego.

Podczaszyc siadł na łóżku i śmiał się do rozpuku, a powodzenie tego nieosobliwszego dowcipu wbiło tak w pychę Etienna, że go bez miłosierdzia ciągle powtarzał.

— No, stary, uwierże mi raz i nie myśl, żebym ja był znowu tak dziecinny. Wiesz o Betinie?

Etienne milczał, dobył tabakierki i palcem w nią tabakę zbierał do kupki, namyślając się.

— Daj mi pan słowo honoru! że to nie jest fantazja?

— Ale głowo do pozłoty, jak ty, mnie znając, możesz posądzić, żebym miał fantazję do stęchlizny...

— A! a! to dopiero mnie przekonywa, rzekł Etienne, to mnie konwinkuje i powiem, że istotnie o Betinie wiem. Spotkałem ją temu dni trzy, a musi być koło niej źle, kiedy już mnie na kawę zapraszała...

— Jak wygląda?

— Alboż ja wiem jak wygląda? zawołał Etienne, miała na twarzy różu i bielidła tyle, że wprzódoby trzeba oskrobać ją, nimby powiedzieć można jak — wygląda. Prawdę rzekłszy, fatalnie jakoś około jójmości i dla tego jest niebezpieczna dla jaśnie pana, gotowa nainówić na niewiedzieć jaką exorbitancją!

Etienne lubił słów donośnych używać, szczególnież pochodzenia łacińskiego.

Podczaszyca cała ta rozmowa wprawiała w humor doskonały, kazał sobie podać kieliszek hiszpańskiego wina z biszkoptem.

— Nie bój się, rzekł wzdychając do powiernika.... nie dopuszczę się żadnej niedorzeczności — bo — jestem zakochany...

Etienne parsknął śmiechem, usta sobie zatulił i uciekł do progów.

— Dawno? proszę pana? spytał gdy przeszedł śmiech serdeczny.

Podczaszyc spojrział na zegarek...

— Od pięciu godzin.

— No, to do jutra będzie po chorobie.

— Wątpię — mruknął Podczaszyc, to niedostępna i tajemnicza jakaś osoba.

Etienne sprzątał około herbaty nie słuchając prawie, ale Podczaszyc na pół sam do siebie mówił.

— Piękna, dziwnie piękna! I piękność jój nie jest pospolita, ordynaryjna, ale w najwyższym stopniu arystokratyczna... a ta blizna na czole.

— Oj! oj! oj! krzyknął Etienne — z blizną, niechże Bóg uchowa.... tego jeszcze brakło na starość — z blizną!!

— Cicho tam! ofuknął Podczaszyc i dodał — Betina gdzie?

— Tak, to ona ma szukać panu téj blizny! dało się słyszeć zamiast odpowiedzi.

— Ale ty dziś jesteś niezdolny.

— Ale, bo jaśnie pan też zapomina i o podagrze i o kaszlu i o tém, co doktor mówił.... Dosyć już mamy tych blizn...

Chwilę krótką trwało milczenie, zwykłym argumentem Podczaszyc rozmowę dokończył, podnosząc głos.

— Odsuń asan szufladkę, weź sobie dwa dukaty, a zostaw mi na toalecie adres do Betiny.

Etienne popatrzał na pana, pokiwał głową, poszedł do

szufladki, którą wiadomym kluczem otworzył, i zaliczywszy sobie wyznaczone wynagrodzenie — adres żądany napisał...

Spojrzał na zegarek.

— Teraz się pan zdrzemnie, a na porę ja obudzę.

— Tak! tak! — wybąknął już poczynający drzemać Podczaszyc... tylko nie zapomnieć... obiad u pani Mniszchowej...

— Dobrze! dobrze.

Etienne przymknął okiennicę, i wyśliznął się na palcach...

XXV.

Zapukano do drzwi.

Kobieta siedząca na wyszarzanój kanapce w ciasnym pokoiku przy ulicy Bednarskiej, zajęta cyrowaniem starego szalu, który lepsze widział czasy, trzymająca oprócz tego ogromnego kota na kolanach, podniosła głowę zdziwiona i odezwała się —

— Proszę...

Drzwi uchyliły się i w nich przestępujący wysoki próg ostrożnie ukazał się człowieczek obwinięty w szal, otulony szubką zieloną aksamitną z sobolami. Pomiedzy lokami peruki a zawinięciem od spodu, zaledwie para oczek szarych widna była, ale sam strój takie wzbudził w kobiecie poszanowanie, iż faworyta zrzuciwszy z kolan, porwała się z siedzenia i instynktem prawdziwie kobiecym, naprzód pobiegła przejrzeć się w zwierciadle.

Nieublagane... pokazało jój z całą szczerością Nielitośnego przyjaciela; iż wcale na przyjęcie gościa nie była przygotowaną, odwróciła się przerażona, chcąc prosić o chwilę czasu, gdy szal opadł z brody gościa i Betina poznała — Podczaszyca.

Załamala ręce... — Ty — tutaj!

Zdumienie było wielkie — pomyślała nawet, jak wszyscy nieszczęśliwi, którzy w cuda wierzą, iż pierwszego kochanka ruszyło sumienie, że przychodził, ulitowawszy się jój losowi, ofiarować jój jeśli nie rękę, to — garść pełną.

— Pan tutaj? powtórzyła z małym warjantem tym razem.

Podczaszyc uśmiechał się zakłopotany, pora była brzydka, mimo szalu dostał okropnego kataru, kichał straszliwie, bo w pokoiku było do zbytku gorąco — a kichanie dolegliwem się stawało z powodu maszyny, które fizjognomję i całe ciało eleganta podtrzymywały.

— Siadajże... aniele drogi.

Podczaszyc siadł w istocie.

— Widzisz! zawołała łamiąc ręce i nie dając mu przyjść do słowa — widzisz dzieło swoje, do czego mnie doprowadziłeś. Patrz... tylko ten pokoi i alkowa... szal ceruję sama!

Podczaszyc ruszył ramionami, ale sumienie go nie ruszyło wcale — oglądał się obojętnie.

— Prawda! rzekł — strasznie tu paskudnie... i słychać....

— To kot! to mój najdroższy anioł kochany... zaponinając się, że tylko co Podczaszyc nazwała aniołem — zawołała Betina.

— Anioł z pazurami! — rzekł Podczaszyc śmiejąc się, wszyscy u was anieli.

— Został mi ten jeden! jedyny!

I przycisnęła go do serca nieszczęśliwego Starościna.

— No, ale mówże! co cię sprowadza? co? czy mi dasz pieniądze?

Podczaszyc nic nie mówiąc, dobył z jednéj kieszeni sakiewkę prózną, schował ją, sięgnął do drugiej, znalazł kilka dukatów i położył na stole.

— Ale jakiż ty jesteś goły! zawołała patrząc na dukaty Starościna i powoli chowając je do kieszeni. Przyznam ci się, że się więcej po tobie spodziewałam, widząc cię przychodzącego do twojéj biednéj, nieszczęśliwéj Betiny...

— A cóż chcesz — i Salomon z próżnego nie naleje, odczuwał się Podczaszyc.... Mam tym czasem do ciebie prośbę...

Betina uśmiechnęła się, pogroziła mu na nosie.

— O! już! rzekła, już!!

— Dalipan niewinną... mówił Podczaszyc. Znałaś podobno tę, tę osobę, kobietę... z którą się potem ożenił generał Puzonów.

Starościna w ręce plasnęła.

— Otóż jest! jak nie znałam! doskonale, ona mnie wszystko była winna, niewdzięczna istota — ale nie umiała korzystać ze szczęścia. Ona, właściwie rzekłszy, była mych nieszczęść przyczyną, ona mnie odebrała Puzonowa, ona... z jéj przyczyny siedziałam zamknięta, kiedyś mnie uwolnił.

— Nie wiesz co się z nią stało?

— Co się z nią stało!! powtórzyła starościna... ale to była warjatka! Puzonów, taki piękny mężczyzna, bogaty, generał, ożenił się z nią, a ta mu uciekła i dała się zabić pod Podzamczem.

— Jakto? zabita?

— Kto ją wiel gadali różnie! mówili, że zabita, że mąż ją z doktorem jakimś czarami do życia przywrócił... kto tam wie... Mówią, że doktor był czarnoksiężnik i dał jój tylko życia na rok, że potém raz gdy byli z jenerałem, ona się nagle w proch rozsypała...

Podczaszyc zaczął się śmiać.

— Ale tak! zdziwiona przerwała Betina... cóż 'to osobliwego, że czary npiora trzymały na świecie... Zresztą ja nie wiem nic... Niewiem. Ludzie plotą, jakoby ona uciekła od jenerała, ale to bajki, bo pewniój, że mając życia pożyczanego na rok, czy tam nie wiem na ile czasu, rozsypała się, gdy jój termin przyszedł.

Betina westchnęła.

— Nic nie wiesz więcój?

— Nie, chociaż tak mnie ta nieszczęśliwa a głupia jenerałowa stoi na myśli, że ją ciągle widzę przed sobą... Wystawcie sobie, że na rannym nabożństwie u Kapucynów będąc — bo ja teraz bardzo jestem pobożna, wdychając rzekła starościna — byłabym przysięgła, że ją raz widziałam w ławce. Ale mnie głowa bolała i kręciło się w niój, to tój miałam to widzenie osobliwsze, bo mi się zdawało, że ich siedziało obok siebie dwie jednakowe, jedna stara, druga młoda, a młoda miała jakąś czerwoną pręgę na czole...

Podczaszyc siedział na krześle obojętnie słuchając, nagle gdy kończyła Betina, zerwał się jak opętany na nogi, usta wyciągnął, oczy zuurużył, powieki podniósł i gdy starościna myślała, że kichnie, zawołał głosem ogromnym.

— To ona!!

Betina oniemiała.

— Powtórz, powtórz zaklinam, jakto było z tém widzeniem, jak to było? wołał Podczaszyce — to ciekawe widzenie...

— Ale, mówię ci, zmieszana nieco powtórzyła jejmość, żem poszła na ranną mszę do Kapucynów, szaro było w kościele... modliłam się... bo ja się teraz pięknie modłę, ale Pan Bóg! ani chce słuchać. Otóż modłę się, jedną razą w ławce widzę dwie jenerałowe, jedna stara... stara, druga młoda — dwoiło mi się w oczach.

— Pręga na czole.

— Czerwona blizna... niby... znak upiora, mówiła z głębokiem przekonaniem starościna, zlekłam się — ale powiadam ci, takem się okrutnie wylękla, żem zauknęła oczy i pociemku mówiłam modlitwę długo. Naostatek powoli ze strachem wielkim podnoszę powieki... patrzę... i niema nikogo... ławka próżna.

Oczewiście, że to było tylko widzenie.

Podczaszyce wysłuchawszy, zaczynał już kłaść szal na szyję...

— Cóż to, już się wybierasz? zapytała Betina.

— A — muszę.

Starościna pochwyciła go za futerko...

— Aniołku mój! czy ty mnie dzisiaj tak opuścisz? czy cię sumienie nie ruszy? Ja jestem twoją ofiarą.... pograżoną (zaczynała powoli szlochać, ale niezgrabnie) pograżoną... Żebyś ty mnie choć pensyjkę jaką wyznaczył... regularną... ty nie wiesz w jakim położeniu teraz starościna, okradziona, biedna i sama sobie jeść gotuje... w garnku!

Płakała... Podczaszyc ziewał, ale szal okrywał szczęściem ten dowód jego zatwardziałego serca. — Nie ma na świecie okropniejszego widoku, nad przypomnienie żywe grzechu młodości, który się zestarzał, któremu wiek odjął urok, poezję, a narzucił łachmany i nędzę brudną.

Podczaszyc dążył ku drzwiom coś mruczając w ten sposób, że się to najrozmaiciiej tłumaczyć dawało.

Nareście oblegany ciągle, ręką pożegnał starość i kota, wtulił szyję w szal, opierał futerko i wyniósł się cały zajęty odkryciem niespodziewanem.

Przez okno jeszcze wyglądała za nim Betina wzdychając...

— Tacy oni wszyscy niegodziwi... tacy... zostawił mi pięć dukatów oberzniętych — a więcój go już moje oczy może oglądać nie będą!!

XXVI.

Trafiwszy na domniemany ślad jenerałowej, Podczaszyc jadąc rozmyślał wielce, jakby najlepiej tę wiadomość zużytkować. Gdyby nie wrażenie jakie na nim uczyniła i nie miejsce w którém przebywała, byłby niewątpliwie poszedł o nią oznajmić baronowi.

Z drugiej strony nie powiedzieć mu nic wiedząc, gdyby się wydało, że jenerałowa znajduje się w poufałym mu domu Księżnej — było trochę niebezpiecznie.

Widocznie szło rządowi rosyjskiemu o odkrycie téj pani... może spiskowała? może była politycznie poszlakowaną... może Podczaszyc mógłby być posądzonym o należenie do spisku patryjotycznego?

Na samo to przypuszczenie krew w nim do reszty stygła.... Na to dla żadnej w świecie miłości ani pokrewieństwa nie byłby się chciał narazić!! Sybir,* kibitka, głód, chłód — pozbawienie wygod! może nędza, choroba... ah! obrazy te napełniały go trwogą.

Co tu począć?

Z drugiej strony Księżnę Wojewodzinę, krewną i dobrodziejkę narazić.!

Wyrzucał sobie już Podczaszyc swoją zbytnią ciekawość.

— Otóż, potrzeba mi było, mówił w duchu sam do siebie, leść w tę kaszę? po co? dowiadywać się, śledzić, ażeby się dowiedzieć, że mogę w biedę popaść. Nie, stary nigdy mieć rozumu nie będę — to darmo...

Konie go zawiozły do Księżnej — kazał się zameldować skłopotany.

W chwili gdy wchodził do salonu, też sama postać, to samo widmo z pręgą krwawą porwało się od książki z za stołu, podniosło, spojrzało nań i znikło.

Zimny dreszcz przebiegł Podczaszycą.

— Prawdziwie, jak upiór piękna! ale to wykapana Wojewodzina, gdy młodszą była! osobliwsza rzecz.

Nadeszła Wojewodzina.

— Musiałeś nważać, odezwała się od niechcenia przy powitaniu, jak ta moja Czeszka Swobodowa do mnie jest podobna.

— Podobna! odparł Podczaszyc, to nie jest podobieństwo już, to jest jednakowość — na to nie ma wyrazu. Ale jakże piękna!! składając ręce rzekł Podczaszyc.

Księżna się uśmiechnęła smutnie.

— A jak nieszcześliwa!!

Umilkli.

Rozmowa zwróciła się umyślnie na rzeczy potoczne; ale Podczaszyc, który sobie był osnuł na prędce pewien plan, począł mówić zaraz o ambasadzie, o chwilowej trudności w wyrobieniu pasportów, o tém, że Sieversa nie zastał, i że się bardzo dziwnej rzeczy dowiedział od barona Benigsena, iż ambasada miała polecenie poszukiwania najpilniejszego pewnej zbiegłej żony generała.

Mówiąc to, patrzył w twarz Wojewodzinéj, która mimo wielkiego panowania nad sobą, strasznie pobladła. Wprędce jednak miarkując się, rzekła głosem słabym.

— To dziwna rzecz, że Moskale teraz i kobietom już pokoju nie dają. Któż to ta generałowa?

— Żona Puzonowa jakiegoś.

— Cóż oni od niej chcą? zimniej już ciągnęła Księżna.

— Niewiem, ale to pewna, że radziły ją mieć w swych rękach.

Po twarzy Wojewodzinéj przeleciało znowu drgnienie jakby strachu.

— To niezawodnie ona! rzekł w duchu Podczaszyc... to ona!!

— Wie pani, dodał bacznie się w nią wpatrując, jest to zapewne okoliczność małej wagi, ale z Moskalami porywcami jak oni są zwykle, trzeba wielkiej baczności.

Jabym teraz nie radził jechać do Petersburga, zwłaszcza że nie rozumiem, co by tam panią tak nagle prowadzić mogło. A nuż jakieś poderzenie... jakie (dodał umyślnie) przypadkowe podobieństwo.

Wojewodzina bystro na niego spojrzała. Podczaszyc się uśmiechnął. Dawał widocznie do zrozumienia, że był o wszystkiém uwiadomiony. Księżna przestraszyła się nieco, ale udała że tego nie rozumie.

— Bardzo wam dziękuję za troskliwość, rzekła powolnie, ale są pewne okoliczności, które mnie — zmuszają... Długo się namyslałam, walczyłam z tą myślą... ale — muszę.

— Proszę wierzyć, że tylko troskliwość o spokój pani... natchnęła mi tę przestrogę.

Podczaszyc uśmiechnął się znowu.

— To są tak ciężkie, tak straszne czasy, a usposobienie dla Polski w Petersburgu tak niechętnie.... Ci co byli w największych nawet łaskach, dziś odbierają dowody najwyższego niezadowolnienia, zrobić nic nie można, a wycierpieć wiele jest konieczną prawie, gdy się tam jedzie.

— Cóż robić? odparła Księżna — przecie to tak wiecznie trwać nie może.

— Właśnie dla tego czy nie lepiej by było burzę pod dachem przeczekać? spytał Podczaszyc.

Księżna zamilkła — widoczném było, że nie wszystko co by pragnęła, powiedzieć mogła — chociaż Podczaszyc dał jęj do zrozumienia, że wie lub się domyśla położenia, obawiała się w ręce lekkomyślnego człowieka oddać tajemnicę. Chciała go zostawić w wątpliwości przynajmniej, dozwolić mu zgadywać, nie czyniąc go swym powiernikiem.

Podczaszyc był nadto dobrze wychowanym człowiekiem, aby się gwałtem wdzierał w tajemnice cudze, umilkł więc, kończąc tém, że o pasporta — o ile okoliczności dozwolą, starać się będzie.

Ale utkwiała mu tym razem mocniej jeszcze w umyśle tajemnicza postać, której oko spotkał znowu... zapalił się do téj, w której odgadywał generałową. Chciał przynajmniej zbliżyć się do niéj.

Jak? tego sam jeszcze nie wiedział dobrze, wziął więc do namysłu.

XXVII.

Kilka dni upłynęło, a lekki katar nie dał Podczaszycowi wyjść z domu.... Etienne go nie puszczał i troskliwie chodził około pana, którego znajomi nawet nie byli przypuszczeni, gdy niedyspozycja jaka nie dopuszczała mu się ubrać.

Podczaszyc aby się ukazać obcym potrzebował na nowo się całkiem wyre-staurować, w negliżu wyglądał do niepoznania staro. wstydził się sam siebie.

Dopiero kosmetyki, przybory różne, strój, odmłodziły go i czyniły znośnym w towarzystwach, w których dosyć szczęśliwie grał rolę starego młodzieniaszka.

Po owych kilku dniach nareszcie Podczaszyc przestał kichać i ubrał się był, aby oddać wizyty, gdy Etienne nadbiegł z oznajmieniem o przybyciu barona Benigsena.

Radzca ambasady nie mógł być nieprzyjętym — otwały mu się drzwi i gospodarz przyjął go jak najserdeczniej.

— Chciałem cię dziś widzieć, kochany panie, rzekł zasiadłszy baron. aby cię uwolnić od poszukiwania jenerałowej Puzonów, o której się nam miałeś dowiedzieć.

— Alboż...? zapytał niekończąc Podczaszyc.

— *C'est tout trouvé*, mamy już ją!

— Jak to? czyż może być! załamując ręce zawołał zdumiony Podczaszyc.

— Za pozwoleniem, odparł zwolna baron, rozumiemy się — mamy ją, to jest wiemy gdzie się znajduje, a wrę-
kach mieć będziemy, spodziewam się — wkrótce. Nasza
policja jest daleko lepiej prowadzona niż za Igelströma,
który mając w ręku Kilińskiego, dał mu się obalamucić.
Posłałem na zwiady i wiemy co nam było potrzeba.

— Doprawdy? spytał Podczaszyc.

— Tak jest w istocie.

— I gdzie, jeśli wolno spytać, ukrywa się generałowa?

— A! najprostsza rzecz! w Warszawie, nigdzie bezpie-
czniej utonąć nie można jak w stolicy.

— Ale nigdzie trudniej też pochwycić wam nie będzie,
jak z miasta, jeśli się to ma dokonać bez rozgłosu.

Baron ruszył ramionami.

— *Nous sommes les maîtres!* zawołał, zrobimy co się
nam podoba. Posłaliśmy jeszcze po stanowcze rozkazy do
Petersburga, gdy te nadejdą, weźmiemy tę panią jak się nam
podoba, a tymczasem będziemy mieli na oku.

Podczaszyc nie śnił pytać więcej aby się nie zdradzić,
zamilkł.

— Kochany panie, dodał baron śmiejąc się, najlepiej
czyni, kto z nami jest dobrze, myśmy silni i bądź co bądź
panami jesteśmy!!

Uderzył go po kolanie poufale.

— *Avis au lecteur!*

— O! tego ja nie potrzebowałem przynajmniej, rzekł

Podczaszyc — możecie mi oddać tę sprawiedliwość, żem był zawsze rozsądnym.

— I lepić ci z tém, nieprawdaż?

Rozśmieli się oba. Podczaszyc nie badając, rad się był czegoś więcej przecie dowiedzieć — nie śmiał.

— No! toście sztuki okazali, rzekł po chwili, bo ja choć miałem środki zaczerpnięcia wiadomości, doszedłem tylko do tego, że ślady jój zginęły... zupełnie.

Baron się rozśmiał, coś nucić począł, a potem rzekł z nienacka.

— Wszak to krewna wasza, Księżna Wojewodzina? i bywacie u niej pono dosyć często?

Pytanie rzucone z niechcenia, byłoby mogło zdradzić Podczaszyca, gdyby nie — toaleta jego. Bielidło, róż, fałszywe zęby i ściągnięte zmarszczki czyniły fizjognomję jego maską nie zbadaną, bez wyrazu. Nie zaczerwienił się więc, nie pobladł, nie zmarszczył i nie drgnął, a baron musiał być przekonanym o niewinności jego zupełnej, gdyż popatrzywszy nań, dodał...

— Czy Wojewodzina przyjmuje?

— Nikogo! oprócz mnie, który jój pensję płacę a raczej płacić bym powinien, rzekł żartobliwie Podczaszyc. — Mnie nawet rzadko dopuszczają do salonu... i pojąć nie mogę, jak ta kobieta nawykła do świata, w téj samotności żyć potrafi.

— W samotności — ależ ma przecież kogoś przy sobie?? spytał baron.

— Ja tam nie widziałem nikogo?

— Nigdy?

— Oprócz starych sług.

Benigsen pomyślał, zadumał się i rozmowę uciął na chwilę.

— Ale tam bywasz?

— Muszę, bom jój obowiązany, i jest niejako pod opieką moją.

— Ale bliższych stosunków?

— O! nie mam żadnych.

— Wszak to dla niej pono staraliście się o pasport do stolicy?

Podczaszyc się zastanowił, nie był pewny, czy mówił o tém...

— Była chwila, że jakiś projekt miała, tak, w istocie... zdaje mi się —

— I nie ma go już teraz?

— Nie wiem.

— Spytajcie się jój o to... służyłbym wam i Księżnie z ochotą, dodał baron i wziął za kapelusz.

Podczaszyc odprowadził go do drzwi — potém padł w fotel i zamyślił się. Walczył z sobą, czy miał zdradzić ambasadę, czy wydać na ofiarę tę tajemniczą piękność... i Wójewodzinę. Zamyślił się tak, że nie słyszał nawet, jak wszedł Etienne i oznajmił o karecie, która nań czekała.

Podczaszyc bardzo pragnął pojechać zaraz do Księżnej, ale już był pewnym, że go szpiegują, odprawił konie i postanowił wymknąć się pieszo, gdy mrok padnie... znanymi sobie uliczkami.

XXVIII.

Stary miłośnik płci pięknej znajdował prawdziwą przyjemność w awanturze, która go spotkała, jakkolwiek ona wcale jeszcze nie tknęła go bliżej, ale imaginację miał zajętą i romans sobie budował. Jest to zabawa jak inne.

Zdziwił się niepomału Etienne, gdy jego pan nad wieczorem starannie obwarowany od kataru, zapragnął wymknąć się pieszo z domu, czynił mu uwagi moralne, ale widząc, że go nie zwycięży, ograniczył się westchnieniem i przyniesieniem futrzanych bucików.

Tak zbrojny Podczaszyc przesunął się bardzo ostrożnie pod domostwami i małą furtką wpadł na dziedziniec domu Księżnej. Tajemniczo wśliznął się do przedpokoju z sercem bijącym młodzieńczo i zażądał po cichu od starego kamerdynera, aby go natychmiast wprowadził do Księżnej. Pora była niezwykła, ale gość tak naglił, że nie sposób się go pozbyć, nalegał, iż interes był najwyższej wagi i że Księżnę koniecznie dziś jeszcze widzieć musi.

Po krótkim oczekiwaniu otwały się drzwi i Podczaszyc na palcach wszedł do salonu. Mimo bielidla miał tak przestraszoną minę, iż wejrzenie nań przeraziło Wojewodzinę, która na niego oczekiwała.

— Mój drogi kuzynie, cóż cię mogło chorego, bo słyszałam żeś chorował, w takiej porze sprowadzić do mnie.

— Mościa Księżno, odparł drżący Podczaszyc zbliżając się ku niej — bez przygotowania, opowiem wszystko. Boję się, by mnie nie szpiegowano; wpadłem tylko na chwilkę, będę prosił, aby mnie wypuszczono tylnymi drzwiami, z Moskalami nie ma co żartować.

— Ale cóż się stało?

— Co się stało!! Wprost uderzam o przedmiot.... Wiem, że jenerałowa Puzonów, którą rząd moskiewski poszukuje i chce ją pochwycić, znajduje się u Księżnej... Nie wiem, jakie stosunki łączą panią z nią, ale dość mi, byście się nią zajmowali, abym się ja czuł obowiązany ją ostrzedz. Otóż ambasada odkryła jej pobyt i gotuje się pochwycić!

Wojewodzina załamała ręce i rzuciła się w krzesło, na chwilę zamilkła, porwała się z siedzenia, wybiegła i powróciła wiodąc za sobą Helę... tak spokojną i poważną, jakby jej żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Obleczona tym majestatem mężstwa i pokoju, była cudownie piękną. — Podczaszyc oczów nie mógł od niej oderwać.

— Jestem przyjacielem domu Księżnej, odezwał się zmieszany, z tego tytułu, daruje mi pani, że mimo największego dla mnie niebezpieczeństwa, ośmieliłem się przyjść z przestroga. Trzeba uciekać!

— Czy uciekł kto od swego przeznaczenia? spytała go Hela obojętnie.

— Ale czekać na grożący cios byłoby.... niepojętą

obojętnością.... byłoby.... prawdziwie nie umiem nawet nazwać.

— Mów pan, nieroztropnością, rzekła nieznajoma. — To prawda, dodała, jestem w położeniu groźném — a ta, której łasce i dobroci winnam schronienie, pragnie mnie ocalić... bo ja, ja nie mam prawie ochoty walczyć z losem o ocalenie... ale cóż począć?

— Uciekać! powtórzył Podczaszyc.

— Dokąd?

— Za granicę...

Hela spuściła oczy w ziemię i szepnęła — A wszystkie pocziwe myśli, nadzieje... zachody, ocaleniu własnemu poświęcić!

I westchnąwszy dodała.

— Niech moja dobra opiekunka wyrokuje — ja się poddam jój woli — jój rozkazom.

Podczaszyc napawał się widokiem czarownego zjawiska, był nawet tak poruszony, iż trwogi nieco zapomniał, i nie rachował już na następstwa narażenia się ambasadzie.

— Co mam czynić? mów! zawołała Wojewodzina.

— Dziś się panie przygotujecie do drogi — ale nie trzeba, by w domu domyślano się nawet podróży... jutro, najdalej jutro, należy nocą wyruszyć ku granicy szląskiej i nie zatrzymywać się, aż we Wrocławiu lub Saksonji.

— I wszystko! porzucić wszystko! smutnie jakby sama do siebie rzekła Hela, za którą oczyma wodził rozciekawiony Podczaszyc.

Co miało znaczyć — wszystko? — nie wiedział i nie domyślał się, rad był dłużej pozostać i korzystać z tego

zbliżenia... ale po chwili wracała trwoga — a nuż się dowiedzą w ambasadzie? a nuż na Sybir wywiozą?

Ten zwrot do normalnego stanu tchórzostwa powszedniego tak był silny, iż Podczaszyc mimo tego, co go tu powstrzymywało, począł się żegnać szybko. Powtarzał tylko... Uciekać! uciekać! uciekać!

Wojewodzina znowu upadła płacząc na krzesło, a nim Podczaszyc wyszedł, ujrzał u jej kolan klęczącą nieznajomą, która ręce Księżnej całowała i twarz swą kryła w jej dłoniach.

— Teraz, rzekł wylekły, do ambasady i... będę dworował im gorliwie, aby się nie domyślili!..

XXIX.

Niech nam teraz wolno będzie zajrzeć w głąb serca i duszy nieszczęśliwej kobiety, którą losy dziwne zmusiły do ciężkiej walki, do cierpień wielkich i nie dawały ochłonać na chwilę, rzucając w coraz nowe zawikłania.

W takim położeniu najpospolitsza istota potężnieje. Kogo nieszczęście nie obali, tego uzacnia i podnosi, sama walka i bój wyrabiają siły. Stało się to z Helą, co się dzieje ze wszystkimi zmuszonymi do nieustannego boju, do coraz nowych wrażeń, do przemian gwałtownych położenia i niespokojnego dramatu życia.

Umysł i serce nastroiły się do tego ciemnego tła, na którym występowały.

Znękana żyła uczuciem całą, a nawykła rachować nie jak pospolici ludzie, na prozę powszednią, ale na niezwykłości... zmęźniała i wyeksaltowała się swém przeznaczeniem. Nawet czule serce matki pragnące uspokoić dziecko i powrócić je trybowi zwykłemu życia, nie potrafiło ukoić gorączki wyobraźni i cierpień rozkołysanego serca. Żyła więc w tym ciągłym nastroju podnieconym, gorączkowym, który jęj nie dawał nigdy ochłouąć... Wszyst-

kie uczucia zlewały się harmonijnie w ten ton uroczysty cierpienia.

Kochała gwałtowniej, czuła silniej, roznamiętniała się do widziadel... a rachując wszystko na tę skalę własną, nie rozumiała świata i ludzi, tylko do tego wzrostu jęj dorosłych i fantazją zolbrzymionych.

Zmartwychwstanie, wspomnienie boju, śmierci, walki, powolny powrót do życia, ocalenie cudowne, przeszłość dawna, wspomnienie Tadeusza i Puzonowa, jakby dwóch duchów — jakby anioła i szatana jęj doli — przyczyniały się do udratyzowania tęg postaci. — Księżna, która jęj sieroctwo dawne nagrodzić chciała, otaczała staraniem, dogadzała najmniejszym zachceniom, nie mogła tęg sehorowanej duszy przywrócić równowagi i spokoju... Zawsze to była fala rozkołysana, którą wiatr miota i która wiochrów wyzywa.

W terażniejszém życiu jęj, tkwiła myśl jedna, pragnienie uparte, niezwalzone — ocalenia drogiego więźnia. — Nie zdawało jęj się to niepodobieństwem; czytała i słyszała o wielu wypadkach podobnych: przemyśliwała nad środkami, roiła cuda.

Wojewodzina powoli dała się jęj ująć i przypuszczała, że choć zadanie było trudném, mogło nie być niepodobném. Obie nie znały kraju i ludzi... a przyszły do wyobrażeń o nich fałszywych, opartych na domysłach i przypuszczeniach...

Heli, która powróciła tak cudownie do życia, cud zdawał się możliwym, zdawał się niemal koniecznym w pewnych razach; sądziła, że go heroizmem wywołać można,

poświęceniem zdobyć, wiarą głęboką pochwycić i uczynić posłusznym.

Życie tych dwóch niewiast, obu złamanych, z których jedna nie miała nic nad ocalone dziecko, a druga nic nad jedną miłość do bohatera, wielkością jego charakteru i przeznaczeń spotęgowaną, wpływało na samotnych rozmowach i najnie-możliwszych planach. Księżna знаła lepiej świat, ale ulegała swęj biednej choręj i w końcu przystała na wszystko, czego ona zapraęęła.

Tak poczęły się obie wybierać do Petersburga, a Wojewodzina ufała, że zbliżenie się, dotknięcie trudności, potrafi lepiej nad nią przekonać Helę, iż pragnęła rzeczy niewykonalnej.

Po ostatniej bytności Podczaszyca dwie kobiety pozostały tak długo w milczących łzach. Hela nie umiała się rozstać ze swą myślą, wyrzec osnutych nadziei, Wojewodzina nie widziała nic nad grożące niebezpieczeństwo. Ukoila jak mogła strapioną, i obie poczęły się przysposabiać do drogi, która dla Księżnej nie była tak straszną — owszem niemal z radością zapatrywała się na przyszły wyjazd, licząc na to, iż Helę uleczy podróż, świat nowy i czas... który koi boleści najdotkliwsze.

Następny dzień spłynął na pocieszaniu, na pospieszonych przyborach do podróży, na urządzeniu wyjazdu w ten sposób, aby w domu nawet nikt o nim nie wiedział. Warszawa pełną była szpiegów, nie ulegalo wątpliwości, że dom Księżnej był niemi otoczony, za własnych ludzi ręczyć nie było można, potajemnie więc Ksawerowa, Hela i sama

Wojewodzina zajęły się wyborem. Konie miały czekać za miastem, a dwie panie wyjść pieszo do rogatek.

W domu umyślnie zostawiono na jutro rozkazy i żywa dusza nie wiedziała o wyjeździe. Stary kamerdyner Księżnej w ostatniej dopiero chwili miał się dowiedzieć o podróży...

Wszystko szło jak najpomyślniej aż do wieczora... Wieczór deszcz padać zaczął, zciemniło się, i choć pieszo trudniej było dostać się nocą do rogatek, ciemność do pewnego stopnia ubezpieczała. Na placu Krasieńskich już nie mogąc iść dalej, pierwszą jaką spotkały danglówkę wzięła Księżna i kazały się wieść za miasto.

Trwoga, jaka zwykle opanowuje w razach podobnych, dawała się uczuć szczególniejszej Księżnie, która drżała za najmnijszym szelestem, sądząc, że ją gonią i chwytają Hełę, jakby bronić jej chciała. Nic jednak nie przeszkodziło dojechać do koni i powozu, który czekał opodal za roga'kami.

Chwili nie tracąc, przesiadły się dwie panie i pomimo ciemności i wichru, kamerdyner rozkazał pośpieszać.

Przeprzęgano na stacjach, nie zatrzymując się, Wojewodzinę podtrzymywała gorączka, Hela jechała posłuszna, ale znękana i zobojętniała.

Dzień zastał je na gościńcu obie milczące i zziębłe... prawie nieprzytomne; Wojewodzina słabym głosem zażądała trochę spoczynku, mówiąc, że się czuła nie dobrze, na pierwszej więc stacji musiano szukać pomieszczenia. — Gdy przyszło wysiadać z powozu, stary kamerdyner, Hela i służąca (która czekała z powozami), ledwie zdołali wy-

nieść Księżnę chorą i nie mogącą się poruszyć... Wrażeń wyjazdu, nocnej podróży, trwoga, boleść... obaliły witalną już i złamaną istotę. Złożono ją na łóżku — nie było lekarza w miasteczku, o dalszej drodze myśleć nie było podobna. Księżna zażądała kapłana i spowiedzi.

W istocie niebezpieczeństwo nawet dla najmniej świadomych było widoczne, chora traciła siły i gasła, oczy jej się zamykały, usta przemówić nie mogły. Ułoża jej klęczała Hela, całując rękę stygnącą... Cały dzień przeszedł tak na oczekiwaniu lekarza, który przybył dopiero w nocy i znalazł, że już nie był potrzebny... Księżna konala.

Z wyschlém okiem patrzyła na ten cios nowy Hela, nie myśląc nawet, co się z nią stanie. — Zostawała sama jedna, wśród drogi, bez opieki, bez świadomości co czynić... bez téj ostatniej opiekunki i ostatniego serca, które ją czule kochało.

Księżna ścisnęła w zimnych dłoniach jej ręce, chwyciła ją ku sobie, walczyła z niemocą słowa, z bezsilnością ciała i w tych męczarniach skonała...

Hela jak klęczała przy żywój, została skamieniałą przy umarłej. Musiano ją prawie gwałtem odciągnąć, aby ciało złożyć i na wieczny spoczynek przygotować. Stary kamerdyner wysłał sztafetę do Podczaszyca.

XXX.

W ambasadzie był jeden z tych wieczorów, na których sam Król Jegomość bywać musiał, cóż mówić o innych, dla których niebytność w ambasadzie mogła być wyrokiem skazującym na prześladowanie.

Czy kto chciał, czy nie chciał, zaproszenia odmówić nie było podobna. Spieszono też i ubiegano się nawet o bilety, o wejście, o dozwoleństwo złożenia uszanowania posłowi wielkiej monarchini. Podczaszyc przybył jeden z pierwszych, wyświeżony, pachnący, a choć go nogi bolały i czuł się jakoś niezdrowym, wołałby był odleżeć tydzień, niż podać się w podejrzenie braku gorliwości i uszanowania dla wszechmocnego ambasadora.

Uśmiechnięty, wesoły zjawił się na pokojach, usiłując wydać jak najszczęśliwszym. W ogólności wymagano zawsze od Polaków, aby z chłosty, jaką im zadawano, byli zadowoleni i wdzięczni za nią. Zły humor poczytywano za zdradę stanu, dowód spiskowania i niechęci.

Król przybył nie dając na siebie oczekiwać, jako dobry, poufały przyjaciel kochanego posła, starając się mu być jak najmniej zawadnym. Siadł do whista z nim razem, a był też wesoły, bo i on od tego urzędowego objawu do-

brego humoru uwolnionym się nie czuł. Spojrzawszy z dala zdawać się mogło, że to byli ludzie złotego wieku, z których, jak z przepełnionego naczynia, szczęście się wylewało po za brzegi...

Podczaszycowi także — o szczęście! baron zaproponował grę... pospieszył do niej z prawdziwą wdzięcznością. — Siedzieć było mu nawet na obrzękłe nogi daleko wygodniej.

W drugim salonie, siostrzenice ambasadora muzykowały, a Król nie mógł się ich talentów odchwalić. — W ogóle przyjęcie było nader wspaniałe, świetne i dobrego smaku.

Około północy po różnych obojętnych rozmowach, baron zadawszy a tout, schylił się do ucha Podczaszyca.

— A cóż? spytał — w czas dałeś znać Wojedzinie... te damy wyjechały?

Podczaszyc zadrżał, spojrzał, osłupiał.

— Ja? zapytał.

Baron głową skinął.

— Ja?

— Tak jest! O! najmniejszej rzeczy za złe wam nie mam... blizka krewna, obowiązki -- a przytém uczyniliście mi prawdziwą tém przysługę.

Podczaszyc nie mógł zrozumieć.

— Tak jest, szepnął Benigsen — bo z Warszawy brać generałową było niedogodnem, zawsze by to niepotrzebnej wrzawy narobiło... a tak, nad granicą tam... gdzieś. —

Podczaszycowi karty wypadły z rąk, głowę spuścił — drżał, ażeby i jego nie wzięto.

— Nie odrzucasz pan na *atout*! przerwał baron.

Biedny Podczaszyc znajdował się w stanie takiego osłupienia i trwogi, że obudził litość w przeciwniku, który go za rękę pochwyił.

— Uspokój się pan, rzekł, nie mamy do was najmniejszego żalu; a co się tyczy losu téj kobiety, był on nieuniknionym. Żadna moc w świecie ocalić jęj nie mogła. To, co N. Pani nakazała sama, spełnić się musiało... Samemu mi jęj żal, ale sprawa ta osobiście cesarzowej leżała na sercu.

Słowa te wymówił po cichu. Podczaszyc po nich uczuł się uspokojonym co do siebie samego, wrażenie wszakże losu nieszczęśliwój kobiety, którego łatwo się było domyślić, przywalało go jakby kamieniem. Zadawał bezprzytomnie, grał milczący i myślał tylko, jak się wysliznąć, chociaż nie wypadało mu zbyt spieszyć, ani nawet nadto się zajmować skazaną generałową.

Przebył godzinę jak na mękach... przestali grać, nie słyszał co do niego mówiono, gdy znowu baron się do niego przybliżył i pociągnął go za sobą na bok, za firankę okna.

— Kochany przyjacielu, rzekł mu powoli dobywając papier z kieszeni, radbym cię oszczędził, gdyż i tak cierpisz jak widzę... ale sztafeta czeka, byś pokwitował odebranie — idź do kancelarji mojęj, znajdziesz tam co ci trzeba do pisania.

— Sztafeta? podchwycił Podczaszyc.

— Tak jest... przywiozła ci list, którego niewiem treści, domyślam się jednak, że pomyślny być nie musi. —

W ogólności z biedą tylko i kłopotami spieszyć potrzeba, szczęście przychodzi powoli.

— Gdzież jest ten list?

Baron wsunął mu w rękę paczek, którego adres był nieznanym charakterem i widocznie niewprawną pisany ręką, a sam wpatrywał się bacznie w gościa. Wyszli do gabinetu, gdzie Podczaszyc pieczęcie rozłamał i cały przejęty rzucił okiem na pismo. — Oznajmywało mu ono o nagłej śmierci Wojewodzinéj — nic więcej.

Towarzyszający Radca z za ramienia odczytał list i z kondolencją uścisnął rękę biednego Podczaszyca.

— Wypadek wcale niespodziewany, rzekł smutnie — w takiej porze, pod takim wrażeniem, kobiecie nie młodej przedsiębrać podróż było niebezpiecznie.

Ale kochany panie, jeszcze jedna rada, pojedziecie zapewne po ciało dostojnej zmarłej... jeślibyście tam dowiedzieli się o jakim wypadku — proszę was, nie róbcie hałasu... pokryjcie to milczeniem.

Jenerałowa z dobrej woli zapewne, straciwszy protektorkę, udała się do męża — rozumiecie!! Tak się mówić powinno.

I uścisnął go za obie ręce odprowadzając do ganku.

— Kochany przyjacielu, dodał po cichu, nie sądź, aby nam przyjemnie było spełniać rozkazy podobne, abyśmy i my nie czuli, ale polityka ma swe konieczności, a nawet to, co się rodzi z dalekiego z nią pokrewieństwa, jak obecny wypadek, nosi na sobie znamie jéj niezmazane... bezdusność. Polityka nie ma serca, ani uszów, ani ludzkiego

uczucia, ani względów na wiek i płeć... jest nieubłagana jak — śmierć. Najlepiej nią się nie zajmować!

Dobranoc.

To rzekłszy, pożegnał strwożonego Podczaszyca, który powrócił do domu, położył się w łóżku i rozchorował na dobre. Nie mógł już nawet wyjechać po ciało nieboszczki Księżnej, gdyż doktor zakazał mu się ruszać. Wyręczył go w tém ubogi kuzynek, którym w podobnych razach Podczaszyca się zwykle wysługiwał i spełnił smutne obowiązki jak najgorliwiej, przybывая z ciałem nieboszczki w kilka dni później. Podczaszyca nie śmiał go o nic pytać nawet.

— Z osób, które towarzyszyły Księżnie w podróży, rzekł kuzynek zdając mu sprawę, wszystkie już pono są w stolicy i nikt nie miał najmniejszej mitręgi. Pani Swoboda pierwsza przed innemi powróciła do Warszawy.

— Powróciła? spytał Podcaszyca, dokąd?

— Niewiadomo, ale zaraz po śmierci Księżnej, przez litość nad jęj straszną boleścią, którą pomnażał widok zwłok zmarłej, doktor miejscowy i para osób litościwych, zajęły się wyprawieniem jęj z tego smutnego miejsca. Dokąd się zaś udała — nie wiem.

— Z dobrej woli? odjechała? sama?

— Tak! tak! z dobrej woli! ale nie sama, ktoś tam jęj towarzyszył, nie mogłem się dobrze dowiedzieć, kto... nazajutrz już jęj nie było. Znalazł się powóz, ludzie.... litościwe dusze zajęły się jęj losem, bo mówią, że wiele, bardzo wiele cierpiała.

— Ale w Warszawie, w domu Księżnej, nie ma jęj?

Nie, nie ma... mówiłem, że nie wiadomo dokąd się udała — zapewne może w drodze zasłała, lub zajęła gdzie do znajomych, lub... nie wiem. Jeszcze nadjedzie...

Pomimo tych zapewnień, osoba zwana panią Swobodową, znikła bez najmniejszego śladu, a Podczaszyć przez parę tygodni jeszcze myślał o niej często, poczem z wolna zapominać zaczął i zupełnie sobie niedorzeczną pasją z głowy wybił, gdyż w głowie ona nie w sercu mieszkała.

XXXI.

Jenerałowi Puzonów po powrocie jego do nadnewskiej stolicy, nakazano w niej pozostać. Cesarzowa Jéjmość odkomenderować go raczyła do biura ministerjum wojny i szczególną opieką i łaską zaszczycała. Zubów téż jak był dla niego dawniej przychylnym, tak nim i teraz pozostał. Jenerał wcale by się był na swój los nie mógł skarżyć, a że z rozkazu saméj imperatorowéj najświętszy synod miał rozkaz zawyrokować o nieważności jego małżeństwa, mógł więc wybierać na dworze i sięgnąć po najświetniejszą partję, zwłaszcza, iż o jego przyjaźnym stosunku ze wszechwładnym Platonem Zubowem wiadano. Przez niego téż i przez jego powiernika szambelana Kazińskiego i Altestego wiedział doskonale co się w Polsce działo. Wiedział, iż wydano rozkazy schwywania jenerałowéj i najdziwniejsze w nim to wywołało uczucie.

Człowiek tak szczęśliwie położony na dworze, młody, w łaskach, mogący sięgnąć po nowe życie, w sercu miał zawsze obraz swéj żony, i zemsta, jaką dla niéj był przejęty, następowała nadziei, iż ją jeszcze pozyskać sobie potrafi, gdyby tylko zgodzono się na to, aby zamiast osadzenia

w monasterze, oddać ją mężowi. Nie wątpił bowiem ani on, ani z otaczających nikt, iż rozkaz cesarzowej spełnić się musi.

Ale Platon Zubow nią władał i pochlebiał sobie, że wszystko może co zechce, dotąd jednak nie potrafił wymódz na Katarzynie, by się na myśl powrócenia żony Puzonowowi zgodziła. Chciała koniecznie widzieć ją ukaraną i osadzoną na resztę życia w monasterze.

Tak stały sprawy. a Puzonów coraz był niespokojniejszy o losy żony, gdy jednego wieczora dał mu znać Altesti, że Platon Zubow życzy go widzieć nazajutrz rano.

Życzenie Zubowa było rozkazem, któremu nikt się nie myślał opierać.

Poranki faworyta były zwykle najświetniejszym przyjęciem; cisnęli się na nie posłowie obcy, emigranci francuzcy, najpierwsi urzędnicy, dygnitarze, a jeśli komu mała ulubiona Zubowa usiadła na peruce i rozczochrawszy włosy nieprzyzwoicie się znalazła — ten, komu się to trafiło okazywał się najszcześliwszym, bo Zubow za niedorzeczność mały opłacał łaską i względami.

Jak zwykle Puzonów, który się stawiał w czasie, gdy Zubów się ubierał (bo było przyjętem, iż faworyt przy toalecie tylko gości widywał), zastał go we wcale dobrym humorze. Przepych otaczający Platona, razilby by był, gdyby wszędzie na dworze się nie spotykał. Pokoje, toaleta, sam bohater, okryte było wszystkim, co tylko najwytworniejszego znaleźć było można w Europie. Było i jest cechą Moskali, że tém swęj cywilizacji dowodzą, iż jęj owoce zakupują chciwie. — Przepych zastępuje u nich smak.

Zubow siedział przed zwierciadłem okryty płaszczem, aby puder nie spadł na kosztowny strój ramny z jedwabnej perskiej materji. Szczęściem malpa przywiązana była na łańcuchu i równie jak pan zajęta toaletą swych nśzu i głowy.

Krzesło Platona otaczali w wielkich mundurach Soltykowi, którzy się postrzegli niedawno, że byli z nim w pokrewieństwie, Markowy, Dymidow, Withworth poseł angielski, kilku emigrantów francuzkich i tłum dworaków bezimiennych. Cała starszszyna służby artylerji, której Zubow był w. mistrzem, znajdowała się tu także.

Faworyt zobaczył w zwierciadle stojącego z boku Puzonowa, skinął na niego i szepnął mu, aby się wstrzymał, aż odejdą goście.

Przyjęcie w istocie nie długo trwało, ożywiły je nowiny od granicy Turcji i Persji i kilka cicho wyszeptanych dworskich plotek. Dwór Katarzyny, najrozwiąźlejszy w świecie obfitował w skandale, ale na żadnym może tak surowego nie zachowywano decorum. Cesarzowa miała wprawdzie faworytów zajmujących apartamenta przy niej, ale najnniejszą płochość jawną srodze karciła.... Po cichu za to każdy robił co chciał. — Na nowinkach więc o tych paniach nie zbywało.

Puzonów usunąwszy się na bok, oczekiwał; dopiero gdy ostatni z gości się wysunął, Zubow go przywołał i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł cicho —

— Nie trać serca, ale powinienem ci powiedzieć; że generałową schwytano właśnie gdy miała granicę polską przekroczyć... jest ona w mocy naszój i poseł z dobrym

konwojem wyprowadził ją do Rosji. — Cesarzowa o tém od wczora uwiadomiona.

— Na miłość Bożą. panie! zawołał Puzonów błędniejąc i składając ręce — oddajcież mi ją — oddajcie.

Zubow się uśmiechnął.

— Dla tego samego oddać wam ją należy, ażebyśmy mogli zobaczyć kobietę, która taką ma nad mężczyzną potęgę i to nad człowiekiem jak wy energicznym, ale imperatorowa dotąd słyszeć o tém nie chce, a na was gniewa się i ledwie wyprosić potrafił. by was ku Derbentowi nie posłała dla dystrakcji.

Puzonów milczał.

— Honor Rosji nie ucierpi na tém, jeśli jój upór pokonać potrafię, rzekł po chwili.

— Bądźże spokojnym, odparł Zubow, jeszcze dziś cesarzowej poproszę, a jeśli mi tę łaskę uczyni, o czém nie wątpię, wysłać potrzeba będzie z rozkazem naprzód, aby ją dalej nie wieziono.

— Wiecznie wam będę wdzięczny, panie, odezwał się jenerał, będziesz miał ze mnie sługę wiernego na zawsze.

— Cesarzowa mi w ważniejszych nigdy nie odmawiała rzeczach, nie sposób, ażeby mi w téj się oparła. Choć mi zakazała mówić, powrócę raz jeszcze do tego przedmiotu i zdobędę szturmem pozwolenie.

To mówiąc Zubow uśmiechnął się przeglądając w zwierciadle...

Posłuchanie na tém się skończyło.

XXXII.

Puzonów powróciwszy do domu czekał dzień cały na przyrzeczoną mu przez sekretarza Zubowa, Altesti, wiadomość. Zmierzchało, gdy odebrał lakoniczną karteczkę:

— „Jedź przeciw żonie i bierz ją.... Cesarzowa zezwala, z warunkiem, że za jój postępowanie w stolicy będziesz odpowiedzialnym. — Zwycięztwo nie było łatwém.“

Pocztowe konie były zamówione. Jenerał nie tracił chwili. Jedno go przestraszało, ażeby się nie rozminął w drodze i wydano rozkaz postyljonom, ażeby wszystkich jadących zatrzymywali.

Ale teraz, gdy upragnione owo dozwole nie odebrania żony otrzymał Puzonów. zaczął dopiero rozmyślać nad tém, jak sobie postąpi?

Łagodnie czy surowo — dziko czy chytrze ma się obchodzić? Miłość i pragnienie zemsty walczyły z sobą.

Zdał wręście wszystko na losy.

Całą noc trwała szalona podróż zmienianemi końmi... w ciągu której parę tylko kibitek spotkano. Nad ranem przed stacją pocztową stanąwszy, zobaczył jenerał powóz ostawiony strażą, w którym koło naprawiano. Stary oficer przy nim komenderował.

Zbliżył się zaraz zapytując, czy nie wieziono jenerałowej Puzonów.

— Tak jest, odparł oficer wskazując powóz, ona tam.

— Przybywam wysłany od cesarzowej dla odebrania więźnia pod moją straż, rzekł jenerał. Oficer posłuszny odstąpił. — W chwili gdy się miał zbliżyć do powozu, spodziewając w nim zobaczyć osłabłą i wylekłą Helę, zawahał się Dymitr Wasiljewicz. — Miał jęć wiele do wyrzucenia, ale i sam względem nięć nie czuł się od zarzutu wolnym.

Podszedł z sercem bijącym — wzrok jego padł we wnętrze powozu, ujrzał w nim spartą o głąb obwiniętą w futro żonę, której wzrok rozplomieniony spotkał jego wejrzenie z takim wyrazem siły, iż Puzonów jak winowajca zmieszał się i oniemiał. Spodziewał się ujrzeć ją wylekłą, znękaną, znajdował jakby zwyciężką... W milczeniu groźnemi zmierz yli się tak oczyma.

— Z rozkazu cesarzowej, nie z mojego, rzekł powoli, zostałaś pani uwięziona. — Naj. Pani zawyrokowała, byś resztę życia przeżyła zamkniętą w klasztorze, jam zdjęty litością nad jęć losem, wybłagał oswobodzenie... jedziesz pani ze mną...

Jenerał czekał na odpowiedź.

— Nie mam wyboru, odparła Hela podnosząc się z wolna — jadę gdzie mnie wiozą... ale nie spodziewaj się pan odemnie nic nad rezygnację. Serca się nie zdobywa gwałtem, a całe wasze postępowanie ze mną, aż do dziś dnia nim tylko było. — Gwałtem kazałeś mi żyć umarłej,

gwałtem kochać się każesz, gwałtem wyrывasz mnie z mojego kraju.

— Nie masz tam już pani nikogo, odparł generał — a tu znajdziesz nowe życie... Każdą inną kobietę taka miłość jak moja byłaby nareście zwyciężyć potrafiła... was...

Jenerałowa uśmiechnęła się gorzko.

— I to nazywacie miłością? rzekła... Jesteście w tém jak we wszystkiém ludźmi gwałtu i przemocy... nie rozumiecie innej siły nad pięść.

— Przekonałem was, zdaje mi się, że i ja mam serce.

— Ja was, że mam także wolę...

Ale pocóż rozmowa ta? każcie mnie wieść — jestem waszą niewolnicą... jedźmy.

Jenerał skłonił się... smutny był i podrażniony, nie siadł do powozu żony, kazał zaprządz konie, zakomenderował, a sam nie odstępując kroku, w ślad dążył za nią ku stolicy.

XXXIII.

Na dworze cesarzowej zbyt się zajmowano polityką, zbyt roznamiętniano walką o znaczenie i przewagę, ażeby dramat domowy, choćby najdziwniejszy, miał zbytńio rozciekawiać umysły. Katarzyna marzyła o podboju Persji, o przymierzu angielskiem, o zarazie doktryn rewolucji francuzkiej, o swoich faworytach, o przewadze młodej Rosji nad Europą, już naówczas będącej celem wszystkich zabiegów, a drobne fakta nie wiele ją obchodziły — niemi kierowała po swęj woli. Zazdrośna o władzę swą, więcęj zawsze czując się cesarzową niż matką, w głuchęj walce żyła z synem swym Pawłem, któremu najmniejszėj nie dawała swobody.

Syn ten wylękły, strwożony, znękaný, opuszczony niemal przez wszystkich, bo przyjaciele jego nawet nie mieli odwagi okazywać się niemi, npokarzany przez faworytów, skazany na nieczynność, żył w Gatchynie, usiłując znajdować się tak cicho, by o nim wszyscy zapomnieli. Od ostatnich prób wystąpienia czynnego w wyprawie tureckiej i finlandzkiej, Paweł mógł się przekonać, iż matka nie dopuści, by sobie mógł zjednać sławę, wziętość i przewagę w kraju.

Matka obawiała się o własnego syna, czując, że może być ojca mścicielem. Najmniejsze słowo dwuznaczne donoszono jęj i komentowano, każdą czynność tłumaczono dziwnie, a faworyci starali się tę nieufność cesarzowej powiększyć, bo z oddalenia Pawła korzystali.

Wśród takich upokorzeń codziennych, w ciasnym kołku Gieczyna, zapomniany prawie, gdyż cesarzowa więcej wnuków niż jego przypuszczała do siebie (tych wiek czynił jeszcze mniej niebezpiecznymi), Paweł wiódł życie pełne ironji i mogące najcierpliwszego rozdrażnić. Następca tronu w chwili, gdy miliony na zbytki tracili Łanscy, Korsakowy, Potemkiny, Zubowie, często nie miał grosza na pierwsze życia potrzeby; obawiano się mu dać w ręce środki, któremi by mógł sobie pozyskać ludzi.

Szpiegowano wszystkich, co się do niego zbliżali, donoszono o każdym kroku, słowie, wejrzeniu.... odgadywano myśli.

Paweł był ostrożny, milczący, cierpliwy — wyrok śmierci od matki tak mógł się stać możliwym, jak wydany przez Piotra na własnego syna.... Władza i prawo następstwa mogło być przelane na wnuki... niczem więc nie trzeba było i tak zniechęconej doprowadzać do gniewu.... Ale pomimo usiłowań uspokojenia, mimo biernego posłuszeństwa, czuł Paweł, iż serca pozyskać nie potrafi, ani nawet wiary u imperatorowej. Podejrzewano nawet tę ostygłą rezygnację jego o podstępna zasadzkę.

Gieczyn był po większej części pusty, milczący, smutny; ktokolwiek tam pojechał, notowanym był przez Zubowów i Markowych. — Stary Ostermann, Woroncowowie,

Bezborodki po cichu sprzyjający w. księciu następcy, byli na oku faworytów, a Paweł usuwał się od nich, aby nie posądzono go o zmcwę i spisek. Dośćby było cienia, ażeby sprowadzić sąd i karę... Katarzyna nie cofnęła by się była przed ostatecznościami, a Zubowie pewnieby jęj nie powstrzymywali od nich.

Mieli oni swych ludzi nawet u boku następcy.

Zasłębieni, sądzili Katarzynę nieśmiertelną, jak ją Voltaire ogłaszał.

Cechą ostatnich lat szczególnięj panowania carowęj i faworytyzmu Zubowych, była nienawiść jęj przeciwko Polsce i zaprzysiężenie zguby ostatecznęj tego kraju, wymazania go z karty Europy. Dopóki żył Potemkin, który się łudził jakimis marzeniami polskięj korony i ocalał kraj, nad którym chciał kiedyś panować, wyrok ostateczny ferowanym jeszcze nie był. — Zubowy mieli nadzieję w ruinie Polski i zaborze ostatecznym się z bogacić, sekretarz Platona Altesti, cesarzowa sama, zajmowali się czynnie losami tego kraju...

Z maciejowickiego pola bitwy pobrani jeńcowie zamknęci po twierdzach jęczeli w nich bez żadnęj wyzwolenia nadziei... na każdym z nich ciężyło wspomnienie jakiegos wyrazu, myśli, czynu przeciwko wszechmocnęj Semiramidzie. Jeden się bił, drugi szydził, inny do wojny podbudzał... Karano czyn, słowo, myśl powolną śmiercią i męczarnią. O ułaskawieniu nawet mówić nie było można — ani go przypuścić.

Ale baczniejsze oko już naówczas dostrzedz mogło, że syn, w którym matka wyrabiała i pielęgnowała nienawiść

przeciwno sobie — przez antagonizm z nią, będzie musiał wcale innemi przejąc się uczuciami. Świtała nadzieja jakaś dla Polski w tém, że następca Katarzyny jój panowania i idci dalszym ciągiem być nie zechce.

Do ostatniej wszakże godziny rozpoczęte dzieło carowój z nieubłaganym dokonywało się uporem i zjadłością.... z zemstą nad Polską, a nawet z wyrafinowaném znęcaniem się nad Poniatowskim.

Polska znajdowała go dla niej zbyt powolnym, carowa nazbyt zuchwałym. Równie jak Zubów i camarilla, Katarzyna miała nienawiść dla imienia polskiego.

Czuli ją więźniowie maciejowiccy, a szczególnie biedny Niemcewicz, na którym mszczono się jakichś wierszy, natchnionych aż do rozpaczyny posuniętą miłością ojczyzny...

W całym ciągu swojego życia przed wstąpieniem na tron, Paweł nie okazywał nigdy współczucia dla biednej Polski i Polaków, ale antagonizm z temi, co ich nienawidzili, zrodzić musiał naturalnie litość i wieść na drogę poznania i sądzenia ich sprawiedliwego.

Oprócz tego w bardzo ciasnym kółku poufanych Gatchyna, znajdowało się kilka osób pochodzenia polskiego, a między nimi ulubiony już naówczas Pawłowi Iliński.

Ale wszystko drżało przed carową, aż do własnego jój syna, który głębokiem milczeniem pokrywał głębszy jeszcze smutek i nużącą go bezczynność znosił z pozorną cierpliwością.

Carowa tymczasem wzdychała nad jednym — że nieśmiertelną być nie może, aby podbiła Persję, doszła do

Indji, zdobyła Konstantynopol i hordami azjatyckimi zalała drżącą Europę. Myśl ta uniwersalnego panowania od śmierci Łanskiego, od chwili gdy serce bić przestało — a pycha oświadczyła się i w swą boskość wierzącą monarchinię — była jedyną dźwignią wszystkich jej czynów... Do mnogich tytułów carowej brakło jeszcze kilka.

XXXIV.

Upłynął dość znaczny przeciąg czasu od opisanych wypadków, Puzonów się rzadko okazywał na dworze i jakby unikał wejrzenia Katarzyny, która ze swój strony okazywała mu za karę obojętność i jakby zapomnienie.

Platon Zubów i otaczający byli z nim jak najlepiej zawsze, ale po kilkakrotnych objawach, jeśli nie złej woli, to obojętności carowej, i oni nieco ostygli. Puzonów się też nie nabijał. Znajdowano, że zbyt stronił od ludzi.... ale było w zamian tylu innych dworaków.

Nareście raz, gdy Zubów przyjmował u siebie, a w międzym towarzystwie ze złośliwym dowcipem się popisywać zapragnął, zawołał na Altestego, który gdzieś stał w kątku.

— Słuchajże? co zrobiłeś z Dymitrem Wasiljewiczem? gdzie się on podział? co się z nim dzieje? czy pogodził się z żoną i jest tak szczęśliwy, że o dawnych swych opiekunach uznał za słuszne zapomnieć?

Altesti ruszył ramionami.

— Tyle prawie o nim wiem, rzekł, co Wasza Excelencja... ile razy chciałem go odwiedzić, drzwi zastałem zamknięte, a jego nigdzie nie widać.

— I nie wiecie nic?

— Ja go wyęcę, podchwycił szambelan Kazinski — Puzonowa tajemnicą jest — jego szczęście.

— A! zaśmiał się Zubów, przecie tę zakłętą Polkę pokonał... O! o! nie są one tak straszne, jak się wydają...

— Przepraszam Waszą Excellencję, są w istocie straszne, bo kiedy już Puzonów chodzi w spódniczce, to najlepszy dowód ich siły.

Zubów się obruszył.

— Pójdźże mi precz! krzyknął poufale, z takim niedorzecznym gadaniem... Dymitr Wasiljewicz ma nadto charakteru, aby się dał zawojować.

Kazinski ruszył ramionami.

— Więc milczę, rzekł.

— Ale mów, owszem, powinienes się usprawiedliwić, zawołał wszechwładny faworyt — mów.

— Puzonów służy swój pani... i jest jój najniższym...

— Widział z was kto tę panią?

Altesti skłonił głowę.

— Czy tak piękna?

— Nie potrafię pewnie opisać, rzekł Altesti.

— Ale przecie sekretarzem jesteś na to, byś opisywać umiał! zaśmiał się faworyt. Opisuj! słuchamy...

— Jeżeli piękność zależy na świeżości, uśmiechu, na wdzięku niewieściom, Helena Janówna nie jest piękną — mówił Altesti z pewną deklamacją, zdradzającą pretensje do dowcipu — jeśli piękne są surowe posagi starożytne Medee, Prozerpiny, Nioby i t. p., to jenerałowa pewnie żadnej z nich nie ustąpi. Ma więc majestatu niż uroku,

potęgi niż wdzięku, ale przyznam, że choć ją raz widziałem tylko, nie zapomnę jęj nigdy.

Zubów się poruszył.

— Więc to coś nadzwyczajnego?

— A przynajmniej niepospolitego bardzo — rzekł

Altesti.

— Ciekawy bym był ją zobaczyć — ale nie jeździ nigdzie...

Altesti zamilkł, spuszczaając głowę.

— Nie wiem, rzekł.

— Jakże żyją.?. czy wiecznie zamknięci w domu? to być nie może!

W tém podszedł jeden z zauszników Platona Zubowa, młody Sołtyków, który wielce się pragnął zasłużyć kuzynkowi, dla jakiejś posady dyplomatycznej, o którą się starał, zbliżył się do ucha Excelencji i szeptał coś długo.

Zubów zrobił twarz zdziwioną i zamilkł; Altesti chmurno spójrzał na Sołtykowa, Kazinski zaciął usta.

Na tém się skończyła rozmowa, ale po wyjściu gości Zubów kazał sekretarzowi napisać do Puzonowa, aby się do niego stawił o południu.

W godzinie téj przyjęcia już były skończone, Zubów w pełnym mundurze wielkiego mistrza artylerji zabierał się siadać do karety i jechać na jakąś paradę, gdy mu oznajmiono Puzonowa.

Faworyt zmierzył go od stóp do głów wzrokiem pełnym dumy niewysłowionéj, monarchicznéj.

— Dymitrze Wasiljewiczu, zawołał groźnie — nie spodziewałem się po was, byście mieli pamięć tak krótką.

— Winienem, odparł Puzonów, ale byłem chory, i...

— I coraz mniej czułeś pono ochoty zbliżać się do nas!! Strzeżcie się jenerale, przyjaźń jest także zazdrośną.

— Ale niech Wasza Excelencja wierzyć zechce, iż wdzięczność nie jest uczuciem przemijającym.

— Co się z wami dzieje? spytał Zubów przeglądając się w lustrze i nakładając rękawiczki.

— Żyję i jestem szczęśliwy! odparł Puzonów cicho.

— Szczęśliwy!! winszuję! potrafiliście więc zwyciężyć tę kobietę...

— Nie wiem, czy ona mnie, czy ja ją zwyciężyłem, ale żyjemy zgodnie i odzyskałem spokój serca.

— Myślicieź kontentować się potrawką z serca w chatce wieśniaczek? he? Jeśli tak jest? czemużbyście ję na dworze nie prezentowali? chciecie?

Puzonów wiedział dobrze, iż nie można było — nie chcieć, że samo pytanie liczyć się było powinno za dobrodziejstwo, skłonił się do ziemi.

— Ale czyżbym śmiał? Cesarzowa pani nasza najmiłościwsza...

— O! o! rzekł Zubów, cesarzowa zrobi co ja zechcę, bądźcie pewni! — Trzeba, żebyście żonę prezentowali na dworze, ja to przygotuję u imperatorowej, a wy zawiadomcie żonę o tém szczęściu, które ją spotka.

Jenerał błdy skłonił się powtórę...

Zubów skinął mu głową przyjaźnie i wyszedł do powozu.

Za nim zaraz wyruszył Dymitr Wasiljewicz ku wschodowi... i już miał siadać do karety, gdy nań skinął Altesti;

wstrzymał się chwilę. Sekretarz wprowadził go do swojego gabinetu.

— Co ci Platon mówił? zapytał, pytał cię o żonę? dał ci uczuć niechęć?

— Trochę, w początku.

— Wiecie, że ja wam sprzyjam, odparł chytry Grek rzucając nań bystre wejrzenie, powinienem więc was ostrzedz, że was denuncjowano.

— Kto?

— Domyślcie się... Platon wie, żeście się tajemnie zbliżyli do Woronzowych... do Bezborodków.

— My?? ja? zawołał czerwieniąc się Puzonów.

— Cicho! cicho! szepnął Altesti, gdyby tak było nawet... jabym wam tego nie miał za złe... dobrze mieć jedną nogę w drugim obozie... nie ma rzeczy wiecznych — a któż wie, jak się obróć sprawę jutro?

— Ale to fałsz! to potwarz!

— Co mi tam! ja wam mówię, co jest. A wszystko, co się kolwiek w sposób najbardziej tajemniczy dzieje u nas, wie Zubów i cesarzowa.

— Zubów chce, bym żonę przedstawił na dworze!

Altesti się uśmiechnął.

— Wiesz... Zubów by jęj inaczej widzieć nie mógł, bo mu na kobiety patrzeć nie wolno... a ciekawy.

Ścisnęli się za ręce... Jenerał odjechał zadumany, pograżony i kazał woźnicy skierować do domu.

XXXV.

Pomimo starania o przepych i zewnętrzną wspaniałość miasta, które na rozkaz Piotra jak grzyb z trzęsawisk ingryjskich wyrosło — nie ma nic smutniejszego nad te sznury murów i pałaców, cerkwi i pomników, wyciągnięte linjami jak żołnierze, ozdobne ze złym smakiem; nie mówiące o niczym, prócz despotyzmu, który je wznieść umiał, a ożywić nie potrafił. Chwilami wśród tego umarłego grodu, przy bijących dzwonach, wystrzałach i muzyce tłumy cisnęły się w ulice nad miarę szerokie i place zakreślone na wyrost, ale gdy to sztuczne podniecenie życia minęło, zwłaszcza w dalszych kwartałach miasta, panowała cisza grobowa, i coś zeń wiało więzieniem.

W powszednie dni, żołnierze na warcie przed pałacami, trochę powozów wśród ludniejszych ulic, przechodnie i zwijające się oddziały wojsk, ledwie potrafiły przerwać zamarłą ciszę w stolicy. Za Katarzyny nie liczył Petersburg więcej nad sześć tysięcy domostw, i około dwóchkroć sto tysięcy mieszkańców... z których znaczna część z obowiązku tylko tu mieszkała. — Obok najświetniejszego przepychu, największa nędza, obok europejskiego obyczaju, azjatycka dzicz, mieszanina narodów bez tradycji... stolica bez

pamiątek, kamienny obóz Mongołów wypoczywających u brzegu morza.

Puzonów nieopodal od newskiego prospektu miał dom najęty, którego niewielkie mieszkanie sam zajmował. Dół należał do niego, piętro do żony, a drugie niższe przeznaczone dla służby. Znano w ulicy kamieniczkę tę, jako wiecznie prawie zamkniętą a jak klasztor cichą...

Puzonowa rzadko kto odwiedzał, a przyjęć i balów nie bywało tu nigdy.

Niekiedy powóz zamknięty wioził ztąd zakwefioną kobietę za miasto na przejażdżkę lub do maltańskiej kaplicy, czasem wychodziła ona pieszo z jednym służącym, który z dala za nią postępował — twarzy jej nawet nie widzieli sąsiedzi, a złośliwa gawiedź z tego powodu utrzymywała, że była starą i brzydką.

Gdy karetą Puzonowa zatrzymała się przed domem, generał wszedł do swoich pokojów, aby zrzucić ubiór i posłał służącego prosić Heleny Janownej, aby go przyjęła.

Już z tego postępowania wnosić było można, na jak ceremonjalnej z sobą żyli stopie. Groźny Puzonów nie śmiał, nie oznajmiwszy się, przestąpić progu jej mieszkania.

Po chwilce oczekiwania służący dał znać, że generałowa jest w salonie. Puzonów ze spuszczoną głową zamysłony wszedł na górę.

Ktokolwiekby wśród ówczesnej stolicy zobaczył salon pani Puzonów, poznałby po nim od razu, że kobieta, co go dla siebie urządziła, nie należała do tutejszego świata. Gdy inne kapąły od złota i świeciły od zwierciadeł, lśniły się bogatym obiciem, zarzucone były fraszkami — tu pano-

wała jak największa prostota, powaga — smutek. Przybór był kosztowny, wspaniały, ale urządzony żałobnie, z myślą widoczną, by obudzał jakieś wspomnienia.... żalu.... Nawet kwiaty pod oknami po większej części tak dobrane były, ażeby nie iskrzyły się barwami. Na ścianach kilka obrazów, które generał nabył w Warszawie, były religijnej treści. Obyczaj kraju wymagał w salonie obrazu, przed którym by się paliła lampa, umieszczony on był w kątku, ale wpatrzywszy się weń, łatwo było poznać — Matkę Boską Częstochowską...

Jenerałowa siedziała przy stole nad książką i robotką, ubrana w czarną suknię... Nie jeden z dawnych znajomych zawahałby się zobaczywszy ją, i nie poznaliby może w tej niewieście pełnej powagi sztywnej, owiej Heli, która w perkalowym szlafrocuku warzyła sama jedzenie dla ukochanego dziecięcia.

W istocie zmieniała się ona i jakby przeistoczyła, z rozmarzonej kobiety stała się panią siebie i tego co ją otaczało. W rysach twarzy malowała się energja spokojna, meztwo i wiara jakaś w siłę własną, uderzającą.

Blizna na skroni teraz już zaledwie była dostrzeżoną, część jej zakrywały włosy, twarz cała była biała jak marmur i krew z niej uciekła do serca. Oczy ciemne, ogniste, miały wyraz ów dawny, ale jakby ujarzmiony wołą. Cała przeszłość starła się w tém zamknięciu z nowym światem i pochłoniętą została terażniejszością.

Jenerał wchodząc, rzucił badające ku niej wejrzenie, jak gdyby pragnął odgadywać, na jakie usposobienie trafił, i jak zostanie przyjęty. Helena powolnie oczy nań skiero-

wała nie okazując ani wstrętu, ani radości, ani nawet zająęcia. Podała mu rękę, którą jenerał ucałował z uszanowaniem i zajął krzesło, które mu wskazała.

— Wracam od dworu, rzekł cicho. Zubów mnie wezwał dzisiaj.

— A! Zubów... ależ nie grozi przynajmniej żaden rozkaz wyjazdu? zapytała kobieta zwolna.

— Dotąd nie — grozić jednak może... coś innego.

Helena oczy podniosła i wlepiła je w męża.

— Cóż takiego? znasz mnie, żem dosyć odważna, nie potrzebujesz oszczędzać... Im co więcej zagraża, tém lepiej rychlej wiedzieć o niebezpieczeństwie.

Puzonów zbierał się, niewiedząc jak rozpocząć.

— Najgroźniejszą ze wszystkiego, mówiła po przestanku kobieta, byłaby wielka łaskawość monarchini, przysnąję, że tego bym się najwięcej obawiała.

— Jak zawsze tak teraz muszę podziwiać nadzwyczajny dar odgadywania w tobie Heleno Janówno, zawołał jenerał — łaska nie grozi, ale — ciekawość faworyta.

Jenerałowa dumnie skrzywiła usta.

— A! zawołała — czy dla nich jest jeszcze co na ziemi, czegoby ciekawemi być mogli? czy jest czegoby pożąдали? — wszak wyczerpali wszystko co dać może życie, śmierć... sponiewierany człowiek i...

— Na miłość Bożą — ciszej! Heleno Janówno, zawołał jenerał — ciszej...

Jenerałowa umilkła.

— Masz słuszność, dodała po namyśle, po co utyskiwać, gdy poradzić nie można. Ale czasem serce się musi

wylać ustami... i ból, jak żółć w chorobie, wyskoczy na wierzch... Masz słuszność, milczeć trzeba, ale zobojętnieć się nie godzi.

— Zubów chce, abyś się prezentowała na dworze cesarzowej, dodał Puzonów, a co on chce, to się prędkiej później stać musi. — Trzeba się na to gotować.

Sądził że Helena się oburzy, ona wiadomość tę przyjęła prawie zimno.

— Jeśli to dla was ma być koniecznością, jeśli od tego... kroku uwolnić się nie podobna, jeśli... nam każą... pojedę na dwór, jakbym poszła zmuszona do...

Zamilkła niedokończywszy... a cicho szepnęła — Do rzeźniczych jatek.

Wzdrygnęła się, ramiona jęj zatrząsły, spuściła głowę. Puzonów patrzył zmięszany.

— Ale na Boga, Heleno Janównu, nie zapominajcie, że przestępując próg pałacu, potrzeba się zaprzec siebie, zapomnieć.

— Bądź spokojny, jestem panią siebie zawsze, nie stracę przytomności, bo się nie ulękne, nie zadrzę.

— Trzeba wzrok złagodzić, trzeba grać pokorę, trzeba być poddanką i niewolnicą.

— Mylisz się jenerale, trzeba tylko doskonale udawać pokorę i poddaństwo.

Jenerał nie zaprzeczył.

— A jeśli nam każą?

— Pójdziemy, przedstawimy się monarchini, żona wam wstydu nie zrobi...

— O! o to jestem spokojny, przerwał Puzonów, niech tylko sobie i mnie nie zgotuje — zemsty i prześladowania.

— I o to bądź spokojnym, nadto długo tu jestem, bym się kłamać nie nauczyła. Wiem, że tu życie na kłamstwie stoi, że niém się robi wszystko i... nawet gardząc sama sobą, dla... dla wyższych celów kłamać potrafię. — Prawda, lat temu kilka żadna siła w świecie nie zmusiła by mnie była do tego, teraz... nie wiele mnie to będzie kosztować — oswoiłam się z rzeczywistością, a ideały moje zamknęłam na dnie serca...

Jenerał wyciągnął rękę i otrzymawszy dłoń białą, pocałował ją, jakby chciał przebłagać. Helena była zupełnie zimną i obojętną - nie spojrzała nawet na niego.

— Czego się więc lękam, odezwał się zniżając głos, to, że Sołtykow młody, jak się zdaje, coś wytropił i bodaj czy nas nie oskarżono.

Jenerałowa palce położyła na ustach i groźnie zmarszczyła brwi.

— Jeśli tak, dobrze jest o tém wiedzieć zawczasu...

XXXVI.

Domawiała tych słów, gdy kamerdyner oznajmił, że jakiś stary jegomość pragnie złożyć uszanowanie obojgu państwu. Odwiedziny, zwłaszcza tego rodzaju dla obojga, tak były rzadkie, iż generał zdziwiony sam poszedł gościa obejrzeć, nie wiedząc, kto mógł być taki, a po chwili głośno i wesoło mówiąc, wrócił do salonu. Wiódł pod rękę... doktora Ernesta Müllera.

Wielkie było zdziwienie generałowej, która powstała, aby go przywitać... a doktor też z nieukrywaną ciekawością wpatrywał się w dawną swą pacjentkę, którą znajdował w usposobieniu, charakterze i w położeniu do niepoznania zmienioną. I Puzonów i generałowa razem prawie zapytali doktora, co robi w Petersburgu?

Stary się uśmiechnął smutnie.

— Co robię? odpowiedział — widzicie państwo, zawsze jeszcze szukam szczęścia, zatrudnienia i sposobu do życia po szerokim świecie, a że w Rosji prędkiej zarobek i zajęcie znaleźć można niż gdzie indziej, znowu tu jestem!

— Ale mi się zdawało, odezwał się generał, że mieliście zamiar powrócić do Niemiec.

— Tak jest, rzekł Müller, powróciłem był, ale nie miałem co robić, doznałem wielkiego nieszczęścia!

— Cóż się wam stało? spytała Helena.

Müller spuścił głowę.

— We własnej ojczyźnie, na wstępie prawie, zostałem odarty z zarobionego pracowicie grosza... Straciłem wszystko... alem nie stracił nadziei odzyskania znowu trudem tego, co nieopatrznością moją przepadło.

— W stolicy znajdziecie łatwo pomieszczenie, zawołał generał żywo, ja was przedstawię Zubowowi.

Myśl jakaś dziwna nagle przebiegła przez głowę generałowej, która szepnęła mężowi...

— Wstrzymaj się, mam projekt wcale inny.... nie straci na tém doktor. — Czy wie kto o przybyciu waszém? zapytała go.

— Dotąd nikt jeszcze, ufałem waszój protekcji, wiedząc o stosunkach generała z Zubowem, i dla tego tu na-przód pospieszyłem.

— Dobrze, żywo odparła Helena — nie róbcieź kroków żadnych do nikogo, ja biorę na siebie wszystko.... ale Dymitr Wasiljewicz o niczém wiedzieć nie powinien.... Jeśli mi dacie słowo, że mi będziecie powolni... i — (szepnęła tu ciszój) zechcecie służyć dobrej sprawie, ja biorę na siebie wasze umieszczenie.

Podawała mu rękę, doktor popatrzał na milczącego generała, jakby go o zezwolenie pytał, potem na nią i powoli na skinienie Puzonowa rękę jej podał.

— Co Helena Janówna żąda, zapewne dobrém będzie,

rzekł — a że ja o tém wiedzieć nie powinienem, zostawię was samych, abyście się rozmówili.

To mówiąc Puzonów powoli wyszedł do drugiego pokoju. Jenerałowa zamyśliła się głęboko i chodzić zaczęła żywo, niekiedy spoglądając na Müllera, który siedział zdziwiony i pomieszany.

XXXVII.

Staęła potém naprzeciw niego i wpatrując się weni z wyrazem energicznym poczęła.

— Nie mogę zapomnieć, kochany doktorze żeście mi ocalili życie i... (tu się obejrzała) i osłodzili w niem chwilk kilka... Zdaje mi się że jesteście właśnie tym, kogo mi było potrzeba, Opatrzność was tu sprowadziła może, abyście podali rękę do dobrego dzieła... Nie będę wam taić iż sprawa do której chcę was użyć, nie jest ani łatwa, ani bez niebezpieczeństwa... ale ufam waszój... zręczności i zdrowój rachubie...

Moglibyście przez Dymitra, dodała, łatwo otrzymać miejsce przy jakim szpitalu lub klientellę przy dworze, gdzieby was intryga zazdrośnych prześladowała... ja dla was zgotowałam co innego. Zadanie wielkie, trudne, uczciwe a zaszczytne.

Doktor słuchał z natężoną uwagą, ale smutniał nie znajdując dotąd czego głównie szukał — obietnicy sowitego wynagrodzenia. Nareszcie jenerałowa dodała...

— Zadanie to zresztą i pod względem korzyści pieniężnej, nagrody niebezpieczeństwa i praey, nie będzie po-

śledniem. Możecie nim zyskać sobie świetne i bardzo wielkie zapewnić położenie w przyszłości.

Doktorowi twarz się rozjaśniła.

— Ale naprzód odezwała się generałowa — chcecie dać mi słowo, że pójdziecie ślepo za radą moją, że szczególności wykonania zostaną tajemnicą dla mojego męża, który wie o celu naszych zabiegów... że w ostatku nie... zdradzicie mnie... Wierzycie mi czy nie.

— Najzupełniej, rzekł wzdychając doktor, ale szanowna pani, jam stary, złamany... wołałbym mniej groźne, może mniej obiecujące stanowisko...

— W takim razie, odparła generałowa — ja go wam ofiarować nie mogę...

Zamilkła, doktor walczył z sobą.

— Daję wam słowo honoru, że to co mi powierzyć zechcecie, zachowam w najzupełniejszej tajemnicy, ale w istocie nim się podejmę czynności, muszę ją znać bym siły swe rozmierzył.

Helena milczała jakby zwątpiwszy — jakby wahając się jeszcze...

— Nie namawiam was, odezwała się, macie dwie drogi — — jedną łatwą, która do niczego nie prowadzi przez Zubowów, drugą pełną niebezpieczeństw, wymagającą wielkiej zręczności, a téj daliście nieraz dowody — ale obfitą w skutki...

— O co idzie, szanowna pani?

— Miejcie wysłuchać mnie cierpliwość. Cesarzowa jest w wieku już podeszłym, rodzaj jej życia... praca — zdrowie nie obiecują aby się stan dzisiejszy długo nazbyt

mógł przeciągnąć. Rogerson pierwszy lekarz cesarzowej, obawia się apopleksji. — Przywiązać się do jej losów i chwilowej potęgi, byłoby wyrzeczeniem się przyszłości. Nie jest wam tajno że następca tronu, nie lubiony, upokarzany, znękanym... na wypadek zmiany zepchnie wszystkich co stali wysoko, a otoczy się ludźmi nowymi, którzy mu dali dowody poświęcenia w ciężkich chwilach...

Prosty rozsądek dyktuje że inaczej być nie może... Chcecie chwycić terażniejszość, czy pracować na przyszłość?

Müller się zadumał, generałowa patrzyła nań z uwagą, chwytając w grze jego fizjonomji walkę, którą z sobą staczał. Uśmiechała mu się złocista przyszłość, ale i terażniejszość nie była do wzgardzenia. Przebiegły kosmopolita, którego losy Rosji najmniej obchodziły, który w sprawach tych był na moralne ich znaczenie zupełnie obojętnym, liczył wszystkie szanse i najszcześniejszą dla siebie znalazł by był w zręcznym umieszczeniu się na dwóch stołkach... Ale to była myśl z którą otwarcie trudno się jakoś przychodziło wypowiadać.

— O ile mogłem zmiarkować, rzekł, położenie przyszłego cesarza — jest jeszcze nader niepewnym. Carowa go nie lubi a co gorzej obawia się, ma siłę w ręku... wiemy że skrupuły ją nie wstrzymują... wołałaby może następcą wnuka mieć niż syna...

— Tak, ale sądzicież iż będzie śmiała wykonać to i jeszcze raz krwawo kartę swą w dziejach naznaczyć?

Müller pokiwał głową i szepnął cicho.

— Raz... czy dwa to już prawie jedno, a potem są

na dworach ludzie co myśli odgadują — i... zbytecznych... osób umieją się zrećźnie pozbywać.

— Powinniście rachując tak subtelnic, przerwała Helena, liczyć. to, że kto się zagrożonym czuje, ten się téż broni i strzeże... W. książę następca jest milczący, posłuszny, ale znać w nim wolę silną i umysł żywy, koniecznościami tylko położenia hamowany... Wierzcie mi...

Niepotrzebujecie zresztą żadnego urzędowego stanowiska przy dworze Gaczyńskim zajmować, ani brać otwarcie jego stronę... od was wymaga się tylko wierności i cichego spełniania rozkazów... pośredniczenia... usług...

— Co mówicie o tém, dodała nagle, gdyby się wam postarano o miejsce lekarza przy... więzieniach...

— Przy więzieniach! zawołał Müller trochę nastraszon.

— Ale takie miejsce daje się tylko zaufanym...

— Lub zupełnie obcym, niemającym stosunków żadnych i nie obudzającym żadnego podejrzenia...

— Na tém stanowisku, zniżając głos mówiła Helena, możecie być użytecznym i... mnie... i następcy tronu i wielu ludziom, którzy mieć będą ogromny wpływ w przyszłości.

— Ale położenie teraźniejsze...

Miarkujesz, przerwała żywo generałowa, że na taką posadę nikt was podejrzany mianować nie ma prawa... więc będziecie poleceni ludziom u władzy... nominacja wyjdzie od cesarzowej... To jest przecie rękojmią bezpieczeństwa dla was, ale... mimo to będziecie wierni — nam... chcę mówić... poprawiła się Helena — tym którzy wam przezemnie swą wolę objawia.

— Nie trudno mi się domysleć komu, szepnął doktor

wzdychając — ale tu w Rosji to gra która o... głowę przyprawić może...

— Wiecie to najlepiej, odparła generałowa patrząc mu w oczy, że wielkie sprawy bez wielkich poświęceń nie idą...

— A więc mówmy szczerze — zawołał powstając doktor. — Wielkie sprawy! ale co mnie do tych spraw, które jak najmniej starego doktora Niemca obchodzą... co mnie do partji jednej lub drugiej, które chce i spodziewa się władzę osiągnąć... czém dla mnie Katarzyna i Pawel... ja jestem biedny cudzoziemiec, który życie sobie zarobić pragnę.

— I możecie być pewni, że sobie spokojną wysłużycie starość, słuchajcie mnie...

— Ale wy, pani moja, przerwał doktor, jakąż tu gracie rolę? ja was nierozumiem, generał jest protegowany przez Zubowa?

— Ja będę prezentowaną cesarzowej i będę nisko się klaniać Zubowom i Demidowym i Markowym i padnę na kolana przed N. Panią,

— A potem?

Helena uśmiechnęła się smutnie, spojrzała po za siebie aby się przekonać że mąż nie słucha i dodała ciągnąć dalej rozmowę.

— Dymitr Wasiljewicz jest bardzo dobrym człowiekiem, lepszym daleko niżelim w początku sądziła... słucha mnie...

Zarumieniła się mocno i ręce jój załamane opadły na kolana...

— A! dla wielkiej nadziei musiałam wszystko poświę-

cić! Nie! wy mnie zrozumieć nie możecie, ja wam powiedzieć tego nie potrafię..., ale słuchajcie mnie, doktorze... i ja coś mogę, i ja się nauczyła życia ludzi, przyszłość jest w Gatchynie a w Petersburgu dożywają reszty.

— No! cóż począć! westchnął Müller, ja nie mam nic do wyboru, muszę wam być posłusznym.

— Więc baczość! i słowo że to czynić będziecie co ja wam... to jest co wam podyktują ci którzy są ze mną. Zresztą od dzisiejszego dnia nie przestąpicie progu tego domu, jeśli będzie potrzeba, zobaczymy się gdzieindziej... wy mnie nieznacie, ja was, — niema między nami nic, prócz uroczystej przysięgi...

Możecie mnie — nas zdradzić, dodała cicho — ale bądźcie pewni że to by wam na korzyść nie wyszło...

Müller zanyślony stał milczący.

— Dacie mi adres waszego mieszkania dodała biorąc ołówek — reszta do nas należy. Dymitra znajdziecie na dole...

Pożegnany w ten sposób doktor wyszedł, a jenerałowa z żywym zajęciem usiadła pisać list... który w téj chwili został przez zaufanego sługę posłany.

XXXVIII.

Nie zdziwiła się wcale jeneralowa gdy w parę dni potém, dano znać jój i mężowi iż się ma przedstawić cesarzowej. Nie uczyniło to na nię tego wrażenia trwogi, jakie wywierało na innych. Dwór który widywała zdala tylko był jój doskonale znany, obyczaje nawet, ceremonjał slyszała opisywane tyle razy, iż się nie obawiała uchybić wielce surowo przestrzeganym formom. Była pewną iż N. Pani którój faworyt narzucił to przyjęcie, pod pozorem iż to dla Puzonowa miało być dowodem łaski upragnionęj i zdawna oczekiwanej — przyjmie ją zimno, dumnie i pogardliwie, że oczy całego dworu z ciekawością natrętną każdy krok jój śledzić będą, że strój, postawa, twarz, słowo, ulegną nielitościwej krytyce, ale cofać się było niepodobna. Z dwojga ich Dymitr Wasilewicz był daleko więcej strwożonym, a mniej pewnym iż Helena potrafi podołać zadaniu najtrudniejszemu w świecie — podobaniu się kobiecie starej, źle uprzedzonej i zgryźliwej.

Helenie wedle formy nakazano wdziać strój ruski i suknie kolorowe... mąż postarał się o klejnoty, bez których naówczas na dworze pokazać się nie było można. Przepych w nich był nadzwyczajny, i nietylko kobiety się w nie

stroili, mężczyźni w dnie galowe byli niemi okryci. Gwiazdy, szlify, szpady, kapelusze błyszczały od djamentów, przesadzano się w nich. Po Potemkinie zostały całe szafy pełne klejnotów, które, jak wiadomo, cesarzowa zabrawszy, domniemaną ich wartość zapłaciła rodzinie zmarłego. Skromność stroju byłaby źle widzianą, mogli ją złośliwi wziąć za rodzaj krytyki i protestu, a tego bądź co bądź należało uniknąć.

Gdy powóz zaszedł a jenerał zapukawszy do gabinetu żony, wszedł po nią, stanął osłupiały jęj majestatyczną pięknoscia.

Ta pięknosc była niemal nieszczęściem. Łatwo przewidywać mógł iż wszystkie kobiety rozgniewa, a samęj cesarzowej miłą nie będzie.

Jakkolwiek Katarzyna zachowała była ślady dawnego wdzięku, jakkolwiek malowała się i utrzymywała resztki piękności, porównanie z młodą i majestatycznie piękną kobietą... musiało na nięj przykre zrobić wrażenie. — Jenerał w tęg chwili zapragnął w duchu szczerze aby żona jego mogła się wydać mnięj świetnie... ale razem dumny był nieco z tego arystokratycznego wielce wdzięku jęj postaci. Instynktem to dziewczę, które część życia przebyło w nędzy, które zaledwie chwilowo z zasłony widziało nieco świata — umiało przybrać manjery niewiasty stworzonęj do rozkazywania.

Ubrana w suknię z materji niebieskieję z koronkami i węzłami czarnemi; z czółkiem błyszczącém od pereł i brylantów... Helena wyglądała na... księżnę jaką przynajmniej.

Wiele było na dworze prawdziwych mitr książęcych, które przy niej podobniejsze się stały do kucharek niż kiedykolwiek.

Twarz smutna nie zdradzała najmniejszego pomieszenia, blada była jak zwykle, ale etykieta nakazywała okryć się nieco różu, którego cesarzowa używała do zbytku .. Róż ten na marmurowém licu widocznie był pożyczony i dziwnie na niem wyglądał.

— Jedźmy, rzekła podając rękę generałowi, jedźmy, pilno mi odbyć tę prezentację, która ciąży na mnie... ale się czuję dość silną, by podolać wszystkiemu co spotkać mnie może.

XXXIX.

Cesarzowa dnia tego z Peterhofu przybyła do stolicy, prezentacja miała się odbywać w galerji ermitażu... Mnóstwo osób, pomiędzy temi znaczna liczba emigrantów francuzkich przedstawiać się miała. Część osób będących na liście dnia tego już w galerji ustawiona oczekiwała. Gdy jenerałowa weszła, oczy wszystkich zwróciły się na nią, postawa, chód, twarz, wyraz jéj wywołały zdumienie. Francuzi o ile dozwoliła etykieta, dowiadywali się kto to mógł być taki, wszyscy domyślili się że mimo ruskiego stroju nie była Rosjanką. Typ téj twarzy zdradzał pochodzenie Europejskie i krew cywilizowanego narodu.

Wyznaczono Helenie miejsce po starszeństwie, prawie na końcu długiego szeregu dam, które tego dnia wyjątkowo prezentowane być miały, gdyż zwykle carowa mężczyzn tylko przyjmowała. Helena stanęła z pokorą za innemi i potoczyła śmiałemi oczyma po tém zbiorowisku istot spłaszczonych, wymokłych, wyspanych trwogą despotyzmu i naniętością, którą starzy u nas ambitem zwali.

Pomiędzy mężczyznami piękność jenerałowej widoczny obudzała zapał. — Zubow, któremu nie wolno było przy-

bywać wcześniej, jeszcze się tu nie znajdował, miał wniknąć dopiero ze świtą carowej, a ta pracowała z senatorami.

Upłynęło pół godziny, Helena wytrwała spokojnie pod strzałami oczów skierowanemi na siebie, milcząca, chłodna, obojętna. Na ostatek szmer się dał słyszeć... wszyscy się wyprostowali, ustawili, milczenie zaległo galerję, drzwi otworzyły się na oścież i carowa ukazała się na progu w zielonym aksamitnym z sobolami przyodziewku ruskim krojem, z pod którego suknia z krótkim spływała ogonem... Na głowie miała brylantową koronę małą, włos rozpuszczony i upudrowany...

Widać ją było z po za szeregu dyguitarzy którzy poprzedzali Jęj Ces. Mość... Wzrostu niewielkiego, na korpach i przy dosyć już dobręj tuszy, z głową podniesioną, z postawą monarszą, wydawała się — prawie słuszną choć nią nie była... Tak samo wydaje się jeszcze w historii większą niż ją Bóg stworzył i ludzie ogłosili. Rysy niegdyś piękne, rozlane były, zgrubiałe...; blado niebieskie oko zimne, szkliste, wyrażało dumę i obojętność... ale umiało tak samo mówić dowcipem i słodyczą.

Zatrzymała się tak chwilę przed drzwiami w głębi sali przyleglęj, z której obejmowała oczyma audjencjonalną, a potem powoli, mierzonemi zaczęła się posuwać krokami — poprzedzał ją dwór świetny, w mundurach błyszczących, w gwiazdach i od złota cały... Szło naprzód dwunastu szambelanów, dwunastu kamerjunktów, potem czterech jenerałów adjutantów, oficerowie gwardji i dowódzca kawaler-gardów, (miejsce to niegdyś Potemkin zajmował)... Naostatku damy, frejliny, ochmistrzynie... Innych dni towarzy-

szyl zwykle W. Książę następca z żoną i jego dzieci, ale w tym dniu ich nie było.

Carowa przemówiła kilka słów do posła angielskiego i kilku dyplomatów, a potem posuwać się zaczęła wśród tego żywego szpaleru, który jakby wichrem zginany łamał się przed nią, giął, przykładał, padał..... Carowa białą swą rękę dawała do pocałowania... Do niektórych osób przemawiała krótkimi słowy, to po francuzku, to po niemiecku lub po rusku... Dnia tego czoło jęj było zasępione, usta zacięte, wyraz nieukontentowania rozlany po twarzy. —

Już zdala znać carowa postrzegła górującą nad innemi, poważną postać nieznanęj sobie kobiety — i nie domyśliła się jęj nazwiska, gdyż W. ochmistrzyni wyraźnie o nie spytała... Biew jęj ściągnęła się jeszcze bardziej usłyszawszy odpowiedź, przyspieszyła kroku zbywając kilka osób skiniem i — stanęła groźna przed Heleną, która wedle ceremonjału klęczała...

Nazwisko schwyciła Katarzyna i powtórzyła je wpatrując się długo w klęczącą... powoli, usiłując widocznie oczekiwaniem i surowością swą strach w nięj obudzić. Byłaby szczęśliwą pewnie gdyby generałowa zemdlala...

Ale się to nie stało, wejrzenie śmiałe Heleny spotkało wzrok złośliwy carowej... Bóg jeden wie co sobie dwie kobiety powiedziały, jakim uczuciem drgnęło serce Katarzyny — ale... ale dziwnym psychologicznym fenomenem carowa zamiast się pogniewać — udała łaskawą i wspianą łomyślną, uśmiechnęła się łagodnie...

Groźba nie skutkowała, chciała dowieść że miłosierną i dobrą być umie, dla obłąkanych istot...

— Miło mi że was tu widzę, odezwała się, miejsce wasze dawno tu było... staliście się Rosjanką i powinniście pamiętać o tém... Trzeba zapomnieć o Polsce.

Ostatnie słowa wymówiła cicho, z przyciskiem, ale z okrucieństwem... Helenie łzy zakręciły się w oczach... ale w tém ujrzała przed sobą białą rękę monarchini i dotknąwszy ją gorącemi wargami... nie wiedziała sama że na niej zostawiła łzę, z której carowa stan duszy jój odgadnąć mogła. Nim się zdobyła na odpowiedź... Katarzyna już posunęła się dalej... wszystko było skończone.

Gdy złamana uczuciem téj krótkiej chwili Helena powstała i podniosła się, oczy jój spotkały wlepiony w siebie wzrok mężczyzny stojącego nieopodal, ubranego z nadzwyczajnym przepychem... jaśniejącego od brylantów i złota... Ten piękny, barczysty antynous mongolski... był to ostatni faworyt carowej Platon Zubów.

XL.

Faworyt, czego szczęściem niespostrzegła Katarzyna, ale dwór cały uważał bardzo — patrzył i patrzył jakby zdziwiony na Helenę... która strwożona tą natrętnością wzrok odwróciła.

Zubów tracił idącego za nim Kazińskiego, pytając o nazwisko, zdziwił się i skinął na Puzonowa.

— Winszuję wam Dymitrze Wasiljewiczu — szepnął cicho — i nie dziwuję się teraz, żeście dla żony waszój tak szaleli... wszystkie nasze dworskie damy zaćmiła... wyglądała jak królowna...

Puzonów skłonił się milczący, nieszło mu to w smak.

— Widzicie, dodał Zubów, N. Pani, mimo uprzedzenia przyjęła ją łaskawie — spodziewam się żeście ze mnie kontenci?

— Wiekwiecznie wdzięczeń jestem W. Excellencji, szepnął Puzonów...

W tejże chwili mała, otyła, biała, wyróżzana Natalia Kyrłowna stojąca przy Helenie, szepnęła jój poufale mimo że jój nieznała.

— Wiecie, ten co na was tak patrzył to Platon Zu-

bów... o! o! ale wam tego nikt nie pozazdrości pewnie — bo carowa za godzinę o tém wiedzieć będzie.

— A ja, szepnęła uśmiechając się smutnie Helena — za godzinę powrócę do cichego domu mego i zamknę się w nim znowu.

— No... to jeszcze zobaczymy! szydersko odparła Natalia Kyrłowna — zobaczymy... To wiem że ja bym sobie nie życzyła być na miejscu waszém... gdybym męża kochała...

Wicie pewnie co z Wasylem Dolhorukim zrobił Potemkin, za to że mu się księżna... oparła...

Helena nie dosłuchała reszty, bo już się wszyscy rozjeżdżali, cesarzowa przeszła do swych pokojów... goście płynęli nazad do swych powozów... i kilka tylko grup dworaków zostało w galerji... a u drzwi przepyszne strażę kawalergardów jak posagi w zbrojowni stojące.

— Nu, rzekł ospowaty Marków do Kazińskiego — nu! generał miał słuszność że ją trzymał zamkniętą... głowy by się innym jak jemu pozawracać mogły i wara od Parysa!!

— Piękna — odparł zimno szambelan, no — ani słowa — ale czegoś straszna jak upiór... Wicie że ona była już raz zabita i że ją chowali gdy zmartwychwstała.

Mężczyzni jedni się zaczęli śmiać niedowierzająco, drudzy okazywali nadzwyczajną ciekawość, szczególnież kilku ówczesnych spirytystów, którym głowę Swedenborg i Martin zawracał, którzy marzyli, paplali o duchach, o widmach, o powracających duszach i o drugim świecie.

Wiadomo że w téj epoce najróżniejszych chorób umy-

słowych, utopij, niedowiarstwa, zabobonów i sceptyzmu, nawet w Rosji Martyniści byli dosyć liczni. Sławny Repnin, który chwilowo popadł w niełaskę (nim go znów cesarzowa do Grodna posłała po odebranie téj korony którą była dała Poniatowskiemu) jakiś czas także bawił się, bałamucił religijnemi marzeniami i Martynizmem. Wprawdzie na dworze carowej panował duch inny, i już po rozmiłowaniu w filozofji, w swobodzie, w filantropji i tolerancji, poczyniała obudzać się reakcja przeciw wszystkim doktrynom zagranicznym — jednakże i tu mistyków nie brakło. Należeli do nich wszyscy malkontenci lub zapomnieni...

Z powodu wspomnienia o śmierci jéj i zmartwychwstaniu, historia jenerałowej przechodziła z ust do ust, naturalnie z fantazyjnymi dodatkami...

Kaziński i Altesti przysięgali iż opowiadała jak czuła duszę swą lecącą na tamten świat w jasnym promieniu, który ją ciągnął ku słońcu, gdy jakaś siła straszliwa chwyciła ją i zrozpaczoną rzuciła nazad w ciemności... ku brudnej ziemi...

Mówiono że jenerałowa wiecznie jest tęskną po téj chwili polotu... w którym niewysłowionego szczęścia doznała.

Wrażenia jakie Puzonowa żona wywarła na dworze były wielce rozmaite, ale nikt nie okazywał się obojętnym, zajęła swą postacią, wyrazem... tajemniczością swą wszystkich. Mówiono tylko o niéj.

Jeden Platon Zubów milczał sam przez wyrachowanie, aby nie ściągnąć na siebie podejrzania że go zajęła... bo carowa starzejąc stawiała się coraz zazdrośniejszą i co prze-

baczała Orłowym, co tolerowała w Potemkinie, tegoby nie darowała Zubowowi.

Spytany o zdanie Platon odparł bardzo obojętnie, iż Polkę znajdował nie tak już młodą i weale nie tak piękną, jak ludzie powiadali.

Cesarzowa wejrzała nań bacznie, ten chłód wydał się jój podejrzanym...

XLI.

Nigdy może stolica północy ciekawszego nie przedstawiała obrazu nad tę chwilę panowania Katarzyny, w której jedni się obawali, drudzy wyczekiwali na zbliżający się kres długiego, świetnego ale ciężkiego wszechwładztwa faworytów, intryg pokątnych i zwycięstw drogo okupionych... Nigdy też ciszej nie było w Gataczynie i otoczeniu w. księcia Pawła, skazanego na bezczynność, życie milczenia, tłumionych uczuć i upokorzeń.

Paweł czuł, że był niecierpianym, że go podejrzewano, że się go lękano, że oko matki nieraz badało trwożliwie, czy w jego wejrzeniu nie znajdzie iskry zemsty za los ojcowski.

Ale w tém niebezpieczném położeniu przeżywszy lat czterdzieści w. książę nawykł do kajdan i dźwigał je z rezygnacją.

Zręczni dworacy, którzy się lękali, aby zbliżenie się syna do matki ich wziętości nie osłabiło, malowali go jako nieudolnego, a na pół obłąkanego człowieka — prześladowanie matki, despotyzm ten, mogły w istocie słabym zachwiać umysłem. — Paweł był najnieszczęśliwszą w świecie istotą... nie rozporządzał ani sobą, ani dziećmi swojemi,

wychowaniem ich kierowała babka, ona im wybierała nauczycieli, ona swatała żony, ona obmyślała im przyszłość — zniechęcając po trosze do ojca.

Uczucie matki nigdy się nie obudziło w téj kobiecie, nie poświadczyło się inaczej, chyba zazdrością jakąś. — Czuła w synu następcę swego, z pospiechem rada była wszystko co marzyła wykonać sama, aby mu nic wielkiego do spełnienia nie zostawić, a panowanie uczynić trudnem. Spieszyła z podbojami, nie dopuszczała mu odznaczyć się w niczem — od Pawła wymagała biernego posłuszeństwa i nieudolności może, aby jój nie potrafił zastąpić... aby bohaterska sława Katarzyny tém jaśniej promieniała.

Namniejsze współczucie okazane Pawłowi przez którego z posłów zagranicznych, bliższe z nim stosunki, podejrzenie o sympatję nawet, sprowadzało niełaskę, ciągnęło za sobą wygnanie ze dworu lub stolicy.

Katarzyna pamiętała, że w Rosji spiski się rodzą łatwo z despotyzmu, a los im często sprzyja.

Mała kupka ludzi, którzy w tych dniach ciężkiej niewoli dali dowody serca i przywiązania do w. księcia, była niewidoczną, rozproszoną i wiecznie zagrożoną prześladowaniem.

Ale pomimo szpiegów w Gatchynie, donosów codziennych, mimo martwego milczenia, były i dusze szlachetniejsze i przyjaciele niedoli, co mu z poświęceniem zupełnem służyli.

XLII.

Na Wasiljewskim Ostrowie wiatr jesienny szalał po ulicach mało uczęszczanych, w powiewie jego czuć już było zimę powracającą na długi spoczynek. Część ta miasta o wczesnej godzinie po zmierzchu już była prawie wyludniona. Oprócz kilku ognisk ruchu rozproszonych, reszta domostw zaparta była i ciemna. Niekiedy powóz z latarniami przesunął się w pędzie szybkim i zniknął na zakręcie ulicy. — W jednym tylko domu z po za okiennic i zasłon widać było rześiste oświecenie, ale i dokoła niego panowała cisza.

Gmach to był dosyć obszerny, choć niepokąźny i na zewnątrz nie strojny, ale przeszedłszy drzwi szczelnie zamknięte, dzielące go od ulicy — w sieni już znać było jakby przygotowania na jakieś przyjęcie. Młody, przystojny mężczyzna często przeze drzwi wyglądał, jakby niecierpliwił się i czekał na kogoś.

Naostatek zaturkotał powóz mały i niepokąźny, wysiadł z niego mężczyzna w płaszcz obwinięty i szybkim krokiem dopadł sieni, która się natychmiast otworzyła i zamknęła za nim a powóz dalej pójechał.

Tajemniczy gość przebiegł sień nie zrzucając płaszcza

i nieukazując twarzy, gospodarz wyszedł na jego przyjęcie z wielkimi oznakami uszanowania, i drzwi salonu się zamknęły.

Salon był rześisto oświecony, ale w nim także nie zatrzymał się przybyły, ręką dotknął dłoni przyjmującego i wszedł, jakby znał dobrze rozporządzenie domu, do gabinetu w głębi się znajdującego. Tu dopiero spadł z niego płaszcz, który spieszący za nim młody mężczyzna podniósł skwapliwie i zdjęta czapka odsłoniła rysy twarzy dziwne, charakterystyczne, raczej surowość i gwałtowność niż dobroć wyrażające.

Przybyły mógł mieć lat czterdzieści, ale znużenie wielkie malowało się na licu pofałdowanem, pościąganiem jakimś wysilkami duszy zbolalęj. Pod czołem wydatném świeciły małe oczy ciemne i wyraziste, nos drobny, wystające policzki, dosyć szerokie usta... zdradzały typ wschodni. — Po nad skroniami rozciągała się peruka wedle ówczesnej mody z tyłu zakończona harbeutlem z czarną wstążką. Ubrany był po cywilnemu, chociaż ruch i postawa raczej żołnierza oznajmywały.

Bystrém wejrzeniem objął pokój, do którego wszedł i rzucił się na stojącą kanapę, nie mówiąc słowa. Przed nim w postawie oczekującej, gospodarz, człowiek młodo jeszcze wyglądający, ubrany wytwornie i bogato, stał na rozkazy.

Gość jeszcze raz podał mu rękę... i westchnął.

— A! rzekł nareście jakby się własnego obawiał głosu, dobra i chwila spoczynku... gdy się człowiek wyrwie z niewoli! Józefie Kajetanowiczu, musiałem dziś widzieć się

z tobą. Nie chciałem, żebyś ty jechał do Gateczyna, bo by jutro wiedziano o tém tutaj... sam więc przybyłem do ciebie. — Słuchaj, mam do ciebie prośbę...

Gospodarz skłonił się i rzekł tylko:

— Rozkaz.

— Ja nikomu rozkazywać nie mam prawa, smutnie odpowiedział przybyły... nie pytaj mnie na co? nie wchódź w powody... Józefie Kajetanowiczu, ja potrzebuję... ja potrzebuję — pieniędzy, ogromnie wiele pieniędzy.

Oko gospodarza padło badawczo na twarz gościa, który pobladł, jakby milczeniem powiedzieć mu chciało —

— Strzeż się...

— Nie mów mi nic! nic! — dasz mi lub nie czego żądam?

— Wasza Wysokość wiesz — odrzekł gospodarz, iż oddam jój chętnie wszystko co mam... ale... mamże tyle ile potrzeba?

— To twoja rzecz, odparł przybyły — dwa kroć sto tysięcy rubli... dwa kroć sto tysięcy rubli!!

Ten, do którego mówił gość, pobladł i mimowolnie schwycił się za głowę.

— Nie sunma mnie przestrasza, zawołał, ale jój użytek...

To mówiąc, upadł na kolana złożył ręce i nie mówiąc słowa, o coś błagał... Zrozumiał go przybyły i uśmiechnął się gorzko, ironicznie.

— Nie lękaj się, nie lękaj, szepnął — ta ręka się nie podniesie do zbrodni, ani morderców będzie opłacać... Bóg za nią spełni, co się ma stać, gdy godzina wybije. —

Ale ja przyjaciół i szpiegów *jéj*, i usługi i milczenie i wszystko opłacać muszę.... a moi wierni mrą z głodu... ja tego nie ścierpię.

Dwakroć sto tysięcy rubli!!

— Będą! zawołał ten, którego nazwał przybyły Józefem Kajetanowiczem, być muszą! znajdę je, choćby...

Nie dokończył i powtórzył — Być muszą!

— Kiedy mam po nie przybyć? spytał gość.

— Ja je przywiozę sam!

— Nie można! jutroby Zubowy wiedzieli, na co wam potrzeba było pieniędzy, a ja byłbym — uwięziony.

— Wy... Wasza Wysokość?

— Jak najprostszy śmiertelny! dodał przybyły, i mógłbym zająć miejsce po innych. . a po mnie Aleksander i Konstanty, dla czegoż nie? alboż to u nas nowina?

Spuścił smutnie głowę na piersi, zaciął usta, oko mu błysło.

— Cierpliwości! czekać trzeba, musim i będziemy. — Ale jeśli Bóg sprawiedliwy kiedy dozwoli mi się wam wywdzięczyc, zobaczycie, iż i ja mam serce i umiem cenić cnotę, choć mnie ogłoszono... szaleńcem bez głowy i czucia!

Powóz zaturkotał przed domem, ale go minął... gość który się był już ruszył, usiadł znowu.

— Józefie Kajetanowiczu, rachuję na was... a to, co między nami jest, ma pozostać między dwoma nami i żywa dusza wiedzieć o tém nie będzie.

Józef skłonił głowę, rękę przyciskając do piersi.

— Nikt! słyszycie! nikt! nawet najbliższy...

— Nigdy! — żąda przysięgi W. Wysokość?

— Słowo uczciwego człowieka jest przysięgą, dość mi na niém.

Powóz zaturkotał znowu... tym razem gość wstał żywo, wziął czapkę, narzucił płaszcz i wybiegł w ulicę — a wkrótce potem znikł powóz, który go zabrał.

Odprowadziwszy go do drzwi, gospodarz powrócił do oświeconego salonu, w którym nie było nikogo i pogrążony w myślach chodził po nim długo, jak gdyby strapienie, niepewność, groźba jakaś nad nim ciążyła.

Walczył z sobą, ocierał pot z czoła, siadał, wstawał, nareście jakby silne przedsięwzięcie powziąwszy, z wolna wyszedł na wschody wiodące na górę.

XLIII.

Cisza panowała w domu, ale ta część do której się zbliżał, widocznie zamieszkaną była przez kobiety.... odgłos cichego nucenia i muzyki dolatywał go przeze drzwi, które powoli uchylił.

W salonie jedna tylko alabastrowa lampa zwieszona od sufitu, paliła się mdłym światełkiem. W mroku widać było przy małym klawikordzie piękną kobietę siedzącą i od niechcenia probującą pieśni, którą półgłosem przyśpiewywała. Oparta o jej krzesło, w czarnej sukni, słusznego wzrostu, stała druga równego z nią wieku niewiasta.... Była to jenerałowa Puzonów, a piękna pani, jej towarzysząca, Antonina Ilińska — z domu hr. Komorowska, żona szambelana carowej Józefa Augusta Ilińskiego.

Znać gościa nie spodziewał się zastać u żony Ilińskiego, bo wstrzymał się nieco u progę...

— A! przepraszam...

Helena posunęła się na przeciw niego, teraz dopiero ją poznał Iliński i swobodnie odetchnął.

— To wy?

— Cóżecie myśleli? zapytała żartobliwie szambela-

nowa — i jak można w Petersburgu nie poznać téj pani, która wśród tysiąca się odróżnia.

— Nietylko postawą jedną, dodał Iliński, ale wszystkiem co w sobie kryje ten piękny posąg żywy.

— Jesteś bałamut! zaśmiała się pani Antonina wstając od klawikordu i uderzając go wachlarzem po rękę! O! znamy się, znamy!! dodała i prosię mi się strzedz, bo...

— A! kochana Antonino! możesz doprawdy być spokojną — ale jakże nie oddać hołdu téj piękności tak rzadkiej tu nad Newą...

— Dziękuję, dziękuję! odparła żywo generałowa i nie mówmy już o tém. Któż z gości był u szambelana?

— A! tak! Generał .. generał Zarubowski.

Puzonowa uśmiechnęła się szydersko i spojrzała mu w oczy — przeszła koło niego niby przypadkiem i szepnęła mu do ucha....

— Z Gieczyna...

Iliński pobladł, zmieszał się widocznie i z trwogą począł się w nią wpatrywać. Ona jakby tego nie rozumiała, pokręciła się po salce, i zbliżyła do niego mówiąc błagającym głosem:

— Kochana hrabino, chciejże mi téż dopomódz! Szambelan... może mi zrobić największą w świecie łaskę... poproście go za mną, ale pięknie.

— O cóż?

— O unieszczenie gdziekolwiek mego starego wybawcy, doktora, który mi życie ocalił.

— Już za to samo wart najwyższej nagrody — rzekł Iliński.

— Nie! nie! za to raczej, iż wierzył we wdzięczność ludzką... Jest miejsce czy przy szpitalach czy przy więzieniach (na ostatnim wyrazie położyła przycisk silny).

— Przy więzieniach? powtórzył Iliński.

— To najlepszy człowiek w świecie.... był długo w Warszawie, zna język polski... ma sympatję dla nas... Lubi pieniądze trochę, ale niejestże to dogodnym wiedzieć, którą furtką do serca się jego wchodzi?

— Byleby ona dla wszystkich nie stała otworem.... przerwał senator.

— O! tak znowu nie jest... bojaźliwy, stary, dobry i mój przyjaciel.

— To za nim mówi najwięcej...

— I mogę się spodziewać tego? spytała generałowa.

— Gdyby to było w méj mocy — niezawodnie, rzekł Iliński — ale mówmy otwarcie. Więzienia są przepełnione ziomkami naszymi. Siedzą w nich Kościuszko, Niemcewicz, Potocki.... tylu innych; lekarz tych więzień nie otrzyma miejsca, jeśli go Polak przedstawiać będzie... a ten, coby przedstawiał, swojeby mógł utracić.

— To prawda, zawołała generałowa, ale przedstawi go może kto inny, a wy go jakoś niechęć poprzecie.... Służył on już dawniej przy wojskach rosyjskich...

A cicho dodała szambelanowi.

— Ręczę za niego... mam go w rękach, przez niego pomóż im... komunikować się z nimi będziemy mogli. — Szambelanie, w tém jest konieczność, to się stać musi.

Oczy jój zabłyśły.

— Tak, to się musi stać, choćbym miała ostatecznych użyć środków...

— Wy już znowu o téj nieszczęśliwój polityce waszój, która mnie trwogą przejmuje, mówić zaczynacie, przerwała pani domu.

— Tylko słowo.

— Ja was słuchać nie chcę! rzekła odstępując, a nuż by mnie wzięli na spytki, wydałabym wszystko, gdyby mi piąty palec ścisnęli.

— Szanowna pani, odezwał się Iliński, gdy żona powróciła do klawikordu i znowu przebierać po nim zaczęła, pani masz myśl jakąś i zamiar niebezpieczny.

— Niebezpieczeństwo jeśli jest, dotknie mnie tylko — rzekła jenerałowa.

— Mówcie szczerze, wy zamierzacie ich uwolnić, to jest rzecz niemożliwa, chimeryczna.... mówił Iliński, niepodobna.

— Nie ma nic niepodobnego, gdy jest silna wola i wielkie serce.

— Niestety! piękna pani — i dla największych serc niemożliwe są rzeczy. A któż wie, dodał, może opatrność gotuje sama to, co ofiarą zdobyć się nie da, a przyjdzie jak niebios łaska.

— Przyjmiemy łaskę, gdy przyjdzie, — ale nadzieja w Boga nie uwalnia nas od pracy.... Ja wracam do doktora...

Iliński potrząsnął głową.

— Nie mogę, rzekł, nie mogę, ale daję słowo, że ko-
goś w mém miejscu użyję.

Jenerałowa podała mu rękę, a szambelan ją miał pocałować, gdy pani Antonina zerwała się od klawikordu i uderzyła go po ramieniu wachlarzem.

— A! to ślicznie, łapię was na uczynku!

Helena rzuciła się jój na szyję, i pół śmiejąc się, pół płacząc, dwie przyjaciółki się uściślały.

— A teraz dobranoc — zawołała jenerałowa... zostawiam państwo samych, abyście z sobą zawarli zgodę... i jadę...

Tak dosyć wesoło rozstali się a Iliński odprowadziwszy Helenę, spiesznym krokiem powrócił na górę.

Zastał żonę zrzucającą z siebie powoli klejnoty i chusteczki koronkowe przed zwierciadłem.

— Antosiu! rzekł poważnie do niej, przysiąż mi na rany Chrystusa, że to co ci powiem zachowasz w tajemnicy...

Ona odwróciła się zdumiona, sądząc z razu że to był żart tylko, ale spostrzegła bladą twarz męża, zmienione rysy, niepokój którego już kryć niepotrzebował i zamilkła.

— Co się stało?

— Przysięgnij mi...

— Przysięgam...

— Na zbawienie, na krzyż...

— Na krzyż, na zbawienie...

— Nikomu...

— Nigdy! zaciekawiona zbliżając się rzekła szambelanowa, mów, mów śmiało.

Iliński poszedł po cichu drzwi obejrzeć...

— Słuchaj, cichym począł głosem, przed chwilą był tu, u mnie Paweł... Piotrowicz... następca tronu.

Pani Ilińska załamała dłonie.

— O! to nic, to nic...

— Spisek...

— Uchowaj Boże — Wiesz że wierzy w moje uczucie dla siebie — Paweł, nie wiem i nie chcę wiedzieć na co potrzebuje ogromnej summy pieniędzy. Zastawił bym dobra, czasu braknie, nie mam ich tyle ile mi potrzeba, oddasz mi swoje brylanty...

Ilińska załamała rękę...

— Ale w czémże się pokażę na dworze?

— Będziesz chorą... Antosiu! od tego zależy przyszłość nasza! Zastawiłbym duszę gdybym mógł... to najniezwyklejszy człowiek w świecie... Uczyń to dla mnie i dla niego...

— Czyżes wątpił o mnie? zapytała uśmiechając się szambelanowa spiesźnie szukając kluczków — nie dziwuj się że kobieta pożałowała błyskotek... ale ci ich nie poskąpię... niech idą... byle... byleś ty za poświęcenie swe nie pokutował, byle Zubowy się niedowiedzieli, cesarzowa nie domyśliła...

— Stanie się wola Boża... polski szlachcic, rzekł Iliński nie może odmówić następcy tronu rosyjskiego! któż wie za twe klejnoty kupujesz może lepszą przyszłość ojczyźnie...

Pani Ilińska nie rzekła już słowa... a w chwilę potem szambelan zszedł milczący na dół, niosąc pudełko pod suknię ukryte.

XLIV.

W kilka dni potém figurka niepoczesna, chociaż przyozdobiona kilku krzyżykami w pętlicy i jednym uwieszonym na szyi, wyczekiwała wieczorem późnym w przedpokoju Platona Zubowa. — Od czasów Potemkina i Orłowych, od czasów Mamonowa, na którego często cesarzowa łaskawie czekać raczyła, każdy z faworytów jój po troszę się miał za cara wszech Rosji a co najmniej za kandydata do jakiego tronu; wszystkim im kręciły się głowy w upojeniu i wprowadzając się do apartamentów pałacu, wstępowali myślą na tron autokratów. Każdego téż dwór, otoczenie, przepych był monarchiczny. Zubow nie odstąpił od tego zwyczaju i tradycji, bawił się on we wszechmocność i lekcewał co go otaczało. Cesarzowa słabszą dlań była jeszcze bo stawała się coraz starszą. Nie łatwo téż było otrzymać lada komu audjencją u carzyka, jeśli Markow, Altesti, Kaziński, jeden z braci Platona lub ktoś z jego dworu nie protegował.

Ów maleńki człowieczek z krzyżami znać był w położeniu przykrém domagającego się posłuchania w ważnej sprawie a niemogącego otrzymać go. Prawie sam w obszernéj sali, to siadał w krzeselku i podpierał głowę na

dłoni, to wstawał i chodził pokaszlując jakby znać dawał o sobie, to wyglądał przez okno w ciemniuteńką noc nadchodzącą, w której nic widać nie było, krom zdala iskrzących się jak gwiazdy światełek.

Z niecierpliwości ogryzał paznogie do krwi, włosy nastrzępiał, perukę i haarbeutel zsuwał i nasuwał; słowem tracił widocznie krew zimną.

Na kominie w téj sali pustej w której jednym końcu służba, w drugim jakichś zagadkowych para figur kryjących się po kątach wyczekiwała jak on... stał zegar alabastrowy z bronzami powoli wybijający kwadranse... Małeńki człeczek chodził do niego, przyglądał mu się, dobywał swojego z kieszeni zegarka, porównywał, kiwał głową i wzdychał — dochodziło do ósmej... noc była czarna już i smutna na dworze...

Nareście z jednych drzwi, które z sali do różnych pobocznych pokojów prowadziły, wyszedł mężczyzna ospowaty, błądy, i ziewając stanawszy wyciągać się począł... widocznie tylko co z drzemki przebudzony.

Oczekujący żywo ku niemu pospieszył i począł się kłaniać, ale ospowaty mimo jego krzyków, spojrzawszy nań bardzo z góry.

— Czego wy to chcecie znowu, Fryderyku Wilhelmo-wiczu — czego? wiecie dobrze iż wszystkie wasze donosy okazały się fałszywe, że J. Excellencja się na was gniewa i mocno gniewa... już nie przeprosicie.

P. Fryderyk Wilhelmo-wicz obruszył się strasznie (ale zawsze z wielkiem uszanowaniem).

— Okaże się w końcu, zawołał że ja lepiej od wszystkich

widziałem! Mam teraz końce i trzymam w ręku! ale się muszę widzieć z J. Excellencją.

Ospowaty ruszył ramionami.

— Nie można! zawołał twardo i stanowczo — nie można.

— No — to dobrze, odparł Fryderyk, nie można, nic można, tylko pamiętajcie, że jeśli się co złego stanie — nie moja wina...

Ruszył się jakby chciał odchodzić.

— Tak wszyscy giną przez nieopatrność — dodał — a mnie co do tego, wola wasza!

— Znowu jakieś bajki! dodał ospowaty.

— No! no! dobrze! bajki... jam wam mówił, że końce mam w rękach... trzymam je... jak sobie chcecie! nie można to nie można!

Szedł i odwrócił się.

— Przecież dłużej kwadransa bym Excelencji nic nudził... dodał żywo.

— Ej! chce się wam coś zarobić! rozśmiał się ospowaty... Nu — dobrze — to się potargujmy... Co dasz?

Mały człowieczek zawahał się, myślał.

— Cóż ja wam mogę dać?... Zresztą jeśli by mój trud był wynagrodzony, nie będę od tego...

— Połowę? he? spytał ospowaty... no? połowę, ale czy tylko ty na prawdę masz co powiedzieć ważnego, serjo...

Fryderyk ruszał ramionami i zżymał się.

— Mnie nie idzie o nagrodę, mnie idzie o bezpieczeństwo carskiej osoby, najjaśniejszej monarchini i tych którzy ją otaczają. Jeśli słuchać nie chcecie, radźcie sobie sami... i niech na was spada odpowiedzialność cała.

— Nu — połowę, powtórzył ospowaty...

Fryderyk Wilhelmowicz szepnął coś. czego dosłyszeć nie było można...

Nastąpiła zgoda.

— Wejdźcie tu do gabinetu, rzekł pośrednik, ja pójdę. jeśli J. Excellenceja nie gra w Makao, to przyjdzie może na chwilkę...

Mały człeczek wcisnął się żywo do gabinetu i zostawiony sam sobie, znown przechadzać się zaczął.

Był najwidoczniej poruszony, ale poruszony tak nadzwyczajnie jak człowiek bywa rzadko, niemal pijany. Trafia się to tym co w kopalniach złota natrafiają na złoto-dajną żyłę lub kilkunastofuntowy pepit, i tym co na gościńcu podniosą kilkadziesiąt karatowy diament.

Zapomniiał chwilami że miał perukę i dzieło kunsztmistrza fryzjera traktował tak brntalsko jakby własne jakie włosy.

— No — na ten raz, bąkał chodząc, jeśli nie zostanę najmniej prokuratorem a nawet oberprokuratorem, jeśli mi nie dadzą donacji na Białej Rusi i tabakiery... to wolę wszystko porzucić... Excellenceja! dzieci mówią — papa Excellenceja, żona mówi, duszeńka Excellenceja, słudzy wołają — ekwipaż Jego Excellenceji Fryderyka Wilhelmowicza... Cha! cha! dobra farsa... gdy przyjadę do Meklemburga do swoich... i będzie musiał stryj tytułować Excellenceją, który mnie kijem niegdyś okładał. Cha! cha! cha!

I począł żywiej i głośniej przechadzać się po pokoju niż u prawdziwej Excellenceji, — takiż Excellenceji przy-

puszczalnej wypadło. Ręce to wkładał do kieszeni to się głaskał pod brodę, to je kładł w usta zamysłony. Wśród tego szaln, rozkwitłych bujno nadziei nagle bocznemi drzwiami wszedł Zubow bez chustki, porozpinany, w szlafroku. tak jak grał z ambasadorem... i groźnemi zmierzył go oczyma. —

XLV.

Głowa Meduzy musiała niegdyś wywierać taki skutek jaki tu ukazanie się faworyta, nie prędzej zwija się ślimak dotknięty ręką dziecka jak się Fryderyk Wilhelmowicz ściągnął cały, złamał, spokoruiął i zmieszał śmiertelnie złapany na gorącym uczynku jakichś zakazanych fantazji.

Zubów patrzył nań jak na świętokradzcę.

— A! ty psie niemiecki! zawołał, ty pudlu! I porwał go za ucho — jak ty śmiesz tu, obok pokoju gdzie ja siedzę wyrabiać takie historje! Ty wiesz czém to pachnie? Czy myślisz że ja zważać będę że jesteś Ausländer... ja cię poślę do katorgi.

Niemiec rzucił się na kolana i złożył ręce.

-- Przebacz, W. Wysokość! przebacz nieszczęśliwemu któremu się w głowie pomiejszało... z ogromu ważności téj sprawy, z którą do W. Wysokości przyszedł... przebaczycie mi gdy się dowiecie co przynoszę...

— Trutniu! mów, a prędzej, nie mam czasu do stracenia... zawsześ dotąd kłamał...

— Z gorliwości miałem przywidzenia! zawołał wstając powoli przybyły, ale nie kłamałem. Dziś mam dowody...

Zbliżył się z wielkiem poszanowaniem i bardzo cicho szeptać zaczął.

— Pozawczoraj J. Ces. Wysokość W. Książę Paweł sekretnie wyszedłszy z ogrodu, udał się najętym powozem do miasta...

— Tak, do jakiejś kobiety pewnie! a co mnie obchodzi jego rozpusta...

— Nic, nie, nie, spisek jest... przekupiony przezemnie kamerlokaj widział wczoraj jak po audjencji W. Książę chował wielką sumę pieniędzy, którą niewiedzieć kto mu przywiózł, kamerlokaj powiada iż było tam pewnie do dwóch kroć sto tysięcy rubli... Z tych sto już dziś niema, rozdane, porozsyłane niewiedzieć dokąd i komu...

— I to poprzysiężesz? zapytał Zubow zamyślony.

— Na ewangelji! na krucyfiksie! zawołał Niemiec... to jest rzecz pewna... jak że żyjemy.

— Słuchaj, Fryderyk Wilhelmowicz, jeżeli to się okaże prawdą, możesz oddać przysługę monarchini, która od dawna milczącego syna tego podejrzewa... ale jeśli się to nie dowiedzie czy ty wiesz że głowę ważysz...

— Ważę! śmiało podchwycił Fryderyk — no! ważę! głowę! to głowę... Spisek się knuje...

— Ale któż do niego należy? spytał Zubów.

— Kto? kto? odparł stary kiwając głową, ja właśnie muszę to dośledzić, i wszelkich środków użyję abym doszedł jeśli otrzymam upoważnienie...

Dziś jeszcze pewności niema kto należy do roboty... ale wnosić się godzi... wnosić... że...

— Że kto?

— He! przerwał Fryderyk... Polacy! Polacy! tak, W. Wysokość... pełen ich jest Petersburg, dwór... kraj... a to intryganci pierwszej klasy. A któż był na téj audjencji po której pieniądze się znalazły... Oto ze wszystkich co tam byli, gołych Francuzów i głupich Rosjan... tylko jeden kamerher Iliński mógł je mieć i dać...

— Iliński! zawołał Zubów — a! no! czemuż go nie pilnujecie?

— Alboż mi przykazano? jak mi Wysokość polecisz... to się wszystko zrobi i porządnie...

— Wiesz co więcej? zapytał Zubów chmurno...

— A! W. Wysokość! jest że to mało? toć spisek namacać można! toć go czuć! W. Ks. Paweł żołnierzy ujmuje, Polacy u niego mili... po nocach jazdy... konszachty, knowania toć nie darmo!

— Ale czy ty wiesz, stara żabo niemiecka... ty... ty jakiś, zawołał Zubów, że ty rękę kładziesz w gniazdo osie, że ciebie djabli wzięć mogą?

— A kogo oni nie mogą wzięć! zawołał Fryderyk w zapale — ja wiem co robię i pewnie tego dla mizernéj pensji dożywotniéj ani dla krzyżyka nie robię, ale z miłości N. Monarchini i dla W. Wysokości.

Zubów spojrzał na schyłonego wpół.

— Popsułeś mi wieczór, ty kruku swoim krakaniem na trupy! popsułeś mi wieczór...

— No — miałem że milczeć i nie gadać?... odparł Niemiec.

— Tak, ale z tego wszystkiego nic wycisnąć, domysły tylko... chcąc poradzić i ten wiekuisty niepokój wyrwać

z korzeniem, należy dotrzeć do źródła, do rzeczy samej... należy ich śledzić nieprzeszkadzając — niech się płaczą, niech niezbite będą dowody spisku... naówczas!

Zatał ręce faworyt... któż wie czy i jemu jak Orłowom i Potemkinowi nie błysła przed oczyma carska korona.

— Co każe W. Wysokość?...

— Co ja każe? albo ja wiem jak się szpieguje i łapic... rób swe rzemiosło...

— Ale ja jestem biedny człowiek i nie mam po temu środków...

— No! rozumiem, z wami się każda sprawa tak kończy, zaczyna od pokłonu, a potem ręka wasza do kieszeni.

— Ale ja dla siebie nic nie żądam, przerwał Fryderyk. Zubów gorzko śmiać się zaczął.

— Jeśli ty nic nie żądasz, to sięgasz wysoko! ale pamiętaj stara wędlino meklemburska że możesz się dosuwać na szubienicy...

Mały Niemczyk drżał z niecierpliwości i gniewu razem, ale kłaniał się milczący.

— Jak się podoba (kak ugodno!) rzekł po cichu — jak się podoba... Ściele się do stóp Waszój Wysokości...

Zubów widząc że odchodzić myśli ujął go znowu za ucho...

— Stój... coś myślisz ze mną grać komedję? he? mało ty germańska... kuglarzu jakiś! robaku! patrzajcie go.

— Ale ja słucham rozkazów, W. Wysokość. — Zubów puścił ucho i począł się przechadzać gwałtownie ręce pochowawszy w kieszenie galowych spodni, które pod szlafrokiem miał jeszcze...

— Idź do Altestego, niech ci da wiele potrzeba, rób na swoją rękę, jak wiesz... co chcesz... Co dzień do mnie z raportem. Jeśli się okaże fałsz... znikniesz ze świata i kości się twoich Niemcy nie dopytają. Pamiętaj.

— A gdyby co ważnego wśród dnia zaszło i potrzeba mi było widzieć się z W. Wysokością... spytał przybyły.

— Cóż ty myślisz, co? krzyknął Zubów, że ja mogę taką sznję, którą cały świat zna za szpiegów, przyjmować raz wraz i afiszować stosunki z niemi! Ani mi się waży tu do mnie przychodzić... tém bardziej teraz... Raporta będziesz ustnie składał Markowowi.

Fryderyk Wilhelmowicz okrutnie się skrzywił.

— No, to już powiem, rzekł otwarcie nagle, że wolę łajanie W. Wysokości niż jego komplementa, i wolę ciągnięcie za ucho niż tam pogłaskanie... Marków...

— Ty wiesz że Marków mój przyjaciel? spytał Zubów.

— Słyszę — po moskiewsku rzekł Niemiec, nu — to wola wasza...

— Wolisz Altestego?

— Wolę... i jeśli można to proszę...

Zubów tym razem wziął go już za nos, który ścisnął aż Niemiec się cofnął...

— A! ty stary kartoflu jakiś meklemburski, ty... ty... będziesz się ze mną targował, będziesz sobie wybierał.

— Idź do djabła! zawołał... nagle — ale pamiętaj. No — raporta złożysz Altestemu... pal cię czart!

Niemiec trzymał się za pokrzywdzony nos i smutno poglądał.

Faworyt popatrzwszy nań nie mógł się wstrzymać od śmiechu i to wszystko naprawiło, — wpadł w humor lepszy.

— Fryderyk Wilhelmowicz, rzekł, ty jesteś najnie-
szczęśliwszy człowiek, tobie sędzono przychodzić do mnie,
kiedy ja potrzebuję targać za uszy i łajać... Nu — prze-
bacz... meklemburska kiełbaso... przebacz... Altesti ci
wyliczy dla ciebie sto dukatów bez rachunku...

— A na kosztą? żywo podchwycił Fryderyk.

— Nu! trzysta, będzie dosyć. Zdasz rachunek i po-
łowę ukradniesz...

Dobranoc...

To mówiąc Zubów klapnął go po peruce z góry tak
że pudrem mu obsypał całą twarz i suknię i śmiejąc się
z ocierającego gościa, który parską i kaszlał, zniknął
w przyległych pokojach...

Zdaje się że tylko chyba zwierciadło widziało pięść
ściśniętą, którą Meklemburczyk podniósł za odchodzącym,
ale opamiętał się rychło, bo wchodzący wnet ospowaty, za-
stał go porządkującego spleśzczoną perukę i oczyszczającego
frak zamączony.

— Nu! *Mołodiec!* zawołał klepiąc go po ramieniu...
pięćdziesiąt czerwonych dla mnie... a z tamtych to się
później porachujemy!!

XLVI.

Doktor Ernest Müller mianowany lekarzem wyższym, nad więzieniami i lazaretami, dostał piękniejszą posadę zaprawdę niżeli jój sobie mógł życzyć.

Jednakże kto by go był widział gdy mundur swojej klasy wkładał po raz pierwszy, mundur dający mu rangę generała, acz szyty złotem ogromnie i przepyszny — byłby dostrzegł łatwo smutku i niepokoju na twarzy. Krawiec nawet co suknię przymierzał, dziwił się wyrywającym z jego piersi westchnieniom i mówił w duchu — musi to być człek bardzo ambitny, kiedy mu i tego mało...

Jedna uwaga usprawiedliwiała w oczach krawca, obermedyka... oba byli Niemcy, szanowny Luis Julius Schmidt Hofliverant wiedział iż naówczas w Moskwie Niemcy mieli prawo do najwyższych godności.

Dwór był niemiecki, wojsko niemieckie, architekci co budowali pałace, krawcy co szyli suknie, szewcy co robili buty, nawet lokaje i posługacze ulubieni germańskiem pochodzeniem kwalifikować się musieli. — Wiele z tego szydzono, wiele sarkano na to, najgrawano się z tego — ale któż to Rosję wycywilizował i nauczył wszystkiego. począwszy od złej polityki aż do niedobrego stawiania okrętów??

Z Niemiec przychodziły rzeczy, ludzie, nazwiska i idee; one były inicjatorami a że edukację dobrze sobie płacić kazali i opiekę likwidowali umiejętnie — cóż dziwnego? Był to tak dobrze *ein Geschäft* jak każdy inny — skończył się tylko tém późnziej, że w wychowawcu obudził najzajadlejszą nienawiść do mentora.

Otóż p. Müller wzdychał — jakieśmy powiedzieli, a p. Schmidt wyrażał mu życzenia najszczerze aby mógł co najrychlej piękniejszy jeszcze i bogaciej haftowany szyć dlań mundur... tajnego radzcy.

Ale i to życzenie rodaka powitane zostało westchnieniem — mundur starannie zawinięto w płócienny futerał. Dr. Müller pożegnał p. hoflieferant'a Schmidta, wdział suknie codzienne i gdy nikogo nie było już, dobywszy z kieszeni kartki uważnie ją kiwając głową odczytywał.

Widocznie korespondencja ta wcale mu się nie podobala, przeczytawszy ruszył ramionami, chodził wielkimi krokami, zamyslił się, wziął wreszcie płaszcz, ujął kapelusz i wysunął się z domu... w kieszeni ciągle trzymając karteczkę...

Śnieg już zalegał ulice; mnóstwo owych tanich saneczek posługujących przez zimę, zjawiało się w Petersburgu, w jedną z nich wsiadł doktor i kazał się wieźć w taką jakąś linję Wafiljewskiego ostrowu, w taki kąt zapadły, że powożący potrzebował całego instynktu pierwotnego człowieka aby ją wyszukać...

Sanki stanęły przed lichym dosyć domkiem i natychmiast odprawione zostały. Müller sprawdził numer i dostawszy się do wnętrza domostwa zapukał do drzwi na

dole. Po chwili otworzyła mu kobieta podżyła i wprowadziła, spytawszy wprzód o nazwisko, do mieszkania... które się daleko wygodniejszym wydawało wewnątrz niżeli z fizjognomji zewnętrznej domyślać się było można.

Doktor znalazł się sam jeden w saloniku przyciemnionym i chodził po nim jeszcze niespokojny, gdy bocznemi drzwiami, z wielkiem jego zdziwieniem (odmalowało się ono na twarzy i cofnięciem aż do drzwi —) wszedł mężczyzna młody, przystojny, ale jak na mężczyznę dziwnie jakoś wyglądający. — Ubrany był z cudzoziemska nader skromnie, jakby chciał za rzemieślnika lub służącego uchodzić, bez pudru, w sukni prostej czarnej — i bez ozdób żadnych, których ówczesny strój tyle wymagał. Twarz tego młodzieńca rysów regularnych, piękna mimo energii wyrazu miała w sobie coś idealniejszego... a raczej otwarciój idealnego niż zwykły mieć mężczyźnię twarz.

Mimo przebrania znać było arystokratyczne pochodzenie w tój postaci pełnej wdzięku naiwnego lecz zarazem zakłopotanego o siebie... Chód, postawa... sposób trzymania rąk i głowy od razu zdradzały jakieś nieobycie się z tym stanem do którego pozornie przybywający należał.

Doktor Müller wpatrzywszy się pochwycił za głowę rozpaczliwie prawie, potém uderzył się w ręce i pół głosem zawołał.

— A! co wy robicie? co robicie? myślicie że to przebranie zda się na co? Jabył was o sto kroków poznał!!

Wchodzący potrząsł głową i tupnął nogą z żywą niecierpliwością.

— To moja rzecz! rzekł.

Müller głowę skłonił.

— Słuchaj, dodał zbliżając się — przychodzę do was z żądaniem, od którego nie odstąpię, które spełnić się musi. Waćpan potrzebujesz podręcznego felczera przy odwiedzaniu więźniów i weźmiesz mnie z sobą.

Na te słowa Müller odskoczył milczący, i zawołał bełkocząc po chwili.

— To być nie może!

— Dla czego?

— Bo ja zwiedzam więzienia i chorych więźniów tylko we dnie — a w dzień pierwszy lepszy żołdat was pozna...

— Naprzód dnie są krótkie i mgliste — powtóre ja przybiore taką postać, jakiej zażądacie.

Müller mówić nie dał więcéj, ruchem rąk gwałtownym starał się przekonać, że słuchać tego nie chce i spełnić żądania nie może.

— Powiedzcie, co braknie, jak trzeba się zamaskować, rzekł pierwszy — ale mi nawet nie mówcie, że tego nie zrobicie, bo to się stać musi w jakikolwiek sposób.

— Zapewne... poświęcając was i mnie! To marzenie! dziwactwo... to wprost rzecz niepodobna.

— Słuchaj doktorze, zawołał drugi po krótkim namyśle, daję ci do wyboru, albo żądanie moje spełnić, albo... albo...

— Albo co?

— Albo podać się do dymisji, bo ją wam dadzą i bez tego. Gdyś miał być mianowanym, byłeś przestrzeżony, że słuchać musisz.

— Tak! zapewne, ale nie byłem ostrzeżony, że pójdę głowę położyć na pieńku, aby mi ją ucięto... a to na pewno wychodzi. Więzienia są pilno strzeżone nie tylko przez warty, ale przez licznych szpiegów. Rozumiem wszystko, w czym jest najmniejsza nadzieja powodzenia... ale tu! — Proszę się przejrzeć w zwierciadle! na miłego Boga, dał doktor — ślepy chyba by nie postrzegł takiego przebrania...

— Jednakże ono mi nieraz posłużyło — odparł pierwszy... może coś zmienić należy w stroju i przyborach, ale tak jak jestem, bądź co bądź, ja się tam dostać muszę... Przebiorę się inaczej, usłucham, zmienię, poprawię, dysponuj, wymagaj, nie przeciw się zamiarowi, bo to napróżno, to się stać musi!

Doktor stał milczący.

— Zgubić się łatwo, rzekł... zgubim się niezawodnie. Jeśli wolą jest waszą ginąć... jak się podoba; ja przyznaję, najmniejszej do tego nie mam ochoty.

Ale do jakiegoż więzienia chcecie się dostać?

— Do jakiego? porywczo odparł pierwszy — ależ do pałacu Orłowa nad Moiką. Czyż ci to mówić jeszcze potrzeba? Do Kościuszki. Wszakże widziałeś go?

— Ja? spytał doktor... wpatrując się w pytającego z uwagą — ja?

— Wy! widzieliście go! powtórzył pierwszy.

— Widziałem, tak, kilka razy.

— I prawdą jest, że nieszczęśliwy rozpacza, że sobie wyrzuca los ojczyzny... że pragnął sobie życie odebrać?

że blizkim był niemal obłąkania? szybko począł pytać nieznajomy.

— Alboż ja wiem, co się w nim dzieje? odparł zimno lekarz, wiem co się z nim robi... a co myśli?... sądzę, że Bóg wie jeden. Prawdą jest, że go znalazłem pogrążonym, smutnym, milczącym, małomównym, że na niewiele pytań moich wcale prawie odpowiadać nie chciał... ale pracuje...

— Cóż on robi?

— Ma tokarnię... zabawia się toczeniem, rzekł doktor — to mu daje ruch, na którym mu zbywa i rozrywkę...

— Jak wygląda?

— Biednie, jak więzień, rzekł doktor.

— Doktorze, chwytając go za rękę powtórzył nieznajomy, doktorze, musisz mnie tam wprowadzić! raz, na chwilę, pod jakim chcesz pozorem... Od tego nie ustąpię. Jest rzeczą największej wagi — dwa słowa powiedzieć mu tylko.

— Ja mu je zaniosę.

— Nie, tobie by nie uwierzył... — Ja go widzieć muszę!...

— Ale pani generałowa — odezwał się Müller (czytelnicy dawno już się jój domyśleć musieli) zostaniesz nieochybnie poznana.

— Nie! nie! nie! Słuchaj, dodała przebrana, mam trochę klejnotów, sprzedam je; żądam za niebezpieczeństwo i strach co chcesz, a wprowadź mnie tam! — na dziesięć,

na pięć minut, na minutę! Doktorze... albo to uczynisz, lub miejsce stracisz, zapowiadam, wybieraj prędko...

Müller padł na krzesło.

— Poprowadzą na szubienicę! zawołał, kto wie, czy w téj chwili nie wiedzą już o waszej myśli, o mojej bytności tutaj, czy mnie nie podejrzewają? Zgubicie siebie, mnie, generała i Kościuszkę w dodatku, bo go na Sybir wywiozą lub do Petropawłowska przeniosą.

Strachy te wcale nie działały na Helenę, która stanowczo, cichym głosem dodała.

— Jutro tam będę, lub wy jutro straciecie miejsce...

— Ale na Boga! jeśli już do takiej przyprowadzicie mnie ostateczności, dajcież czas, ja muszę być gotowym na wszelki wypadek do ucieczki, wy także. Jeśli zostaniemy odkryci, możemy się wymknąć jeszcze.

— Jutro! powtórzyła generałowa... muszę go widzieć jutro... O której godzinie weźmiecie mnie? gdzie na was mam czekać?

— Nigdzie, odparł doktor, bo ja wolę stracić miejsce, niż głowę.

To mówiąc, uklonił się.

— Doktorze! zawołała przebrana kobieta — muszę to dodać jeszcze, że sprawa to nie moja, tycze się ona innych i że nie byłoby wam bezpiecznie dezertować... Ja wam wierzę, drudzy może nie zechcą.

Müller zbladły, oczy sobie zakrył... drżał cały.

— Potrzeba mi było, zawołał, szukać tu szczęścia, aby wpaść w taką zasadzkę...!! Jakto? więc mi się nawet wycofać nie wolno?

— Wycofać ci się wolno, odparła generałowa... ale w takim razie ja za następstwa nie odpowiadam. Chciałeś straciwszy to, coś zarobił, na starość się znowu podźwignąć, a prędko, wszedłeś tu, znając dobrze, że lada czém nie napełnia się kieszeń i nie dochodzi wielkich rzeczy... teraz tracisz głowę!

Po cóż było...

Müller pomieszany przerwał nagle —

— Dobrze! dobrze! wiem to wszystko, alem przypuszczać nie mógł nawet takiego żądania. Pałac nad Moiką stoi na widoku, odkryty, otoczony strażami, kręcą się koło niego szpiegi, w nocy nie dostąpi nikt... a w dzień...

— Ależ jest pora, która nie jest dniem ani nocą... przerwała generałowa. Zresztą nie wywiniesz mi się z tego, ażeby cię uspokoić, dodam... muszę naostatek, że oficer, który stać będzie na straży...

— Jak to? oficer jest przypuszczony do tajemnicy, krzyknął Müller.

Generałowa uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Oficer ma rozkazy tylko przepuścić tych, co przyjdą z tobą. Nie masz się czego lękać, bo on także dba o swe życie i bezpieczeństwo.

— Ale on właśnie wydać może, zawołał Müller.

— Wiesz co, doktorze, przerwała niecierpliwie kobieta, natura omyliła się, stwarzając ciebie mężczyzną a mnie kobietą — powinna była zrobić zamianę.

— Moja pani, rzekł doktor, pani masz w tém naniętność swą, zamiary, ideę, interesa, a ja żadnego.

— Przepraszam! — od tego wasza cała przyszłość zależy...

Jeszcze raz, doktorze, dodała, pamiętaj, że spierasz się na próżno. — Jeśli ty nie pojedziesz, wiesz co będzie? oto znajdzie się podobniuteńki do ciebie, drugi stary doktor, który wdzije twój mundur i mnie tam zaprowadzi. Może to spełnić nie tak ostrożnie jak ty, ciebie skompromitować, mnie zgubić — ale ja na nic nie zważam.

— Ale dla czegoż się to ma stać tak koniecznie i tak prędko? zapytał Müller.

— Dla tego, że w tém idzie o życie, spokój i przyszłość człowieka, który więcej wart, niż dziesięć takich jak ja bab i dziesięciu takich jak ty niedołęgów.

Teraz, dodała żywo, nie proszę, nie przekonywam, nie słucham nic — rozkazuję. Jutro przed wieczorem objeżdżając więzienia, przed kanałem Moiki, spotkasz mężczyznę w płaszczu, który nieść będzie w ręku pudełko z narzędziami chirurgicznymi, zabierzesz go do sani i pojedziesz z nim do pałacu Orłowa. Oficer spyta cię o towarzysza, powiesz mu, że to twój felczer... rzecz skończona — dobranoc!

Müller chciał jeszcze się targować, ale przebrana jenerałowa znikła mu z oczów... postać chwilę i w największym niepokoju powrócił do domu.

XLVII.

Tegoż dnia Fryderyk Wilhelmicz złożył pierwszy raport umocowanemu Zubowa, który natychmiast odniósł go swemu panu. Platon, który się wybierał na jakiś przegląd wojskowy, pozostał w palacu pod pozorem słabości. Nie ukazał się nawet wieczorem w ermitażu. Cesarzowa, która spostrzegła niebytność faworyta i o chorobie została uwiadomioną przez Markowa, skończyła grę nieco rychléj niż zazwyczaj, pożegnała gości swych, usunęła się do apartamentów i przeobiekłszy się w wieczorny neglig, dosyć niespokojna, otworzyła drzwi dzielące jéj pokoje od mieszkania Zubowa.

Drzwi te prowadziły wprost do jego sypialni... bardzo wytwornie umeblowanój. Znać faworyt spodziewał się tych odwiedzin, gdyż carowa zastała go z głową obwiązaną leżącego na sofce i pozującego na chorobę.

— Co tobie? zapytała zaraz w progu.

— Nie wiem, Kateńka, nie wiem, odparł bolejąco faworyt, choroba nie choroba, jakieś niezdrowie, znużenie, przesyt życia... Ludzie mnie nudzą, świat męczy, potrzebowałem odpocząć.

Carowa przystąpiła doń powoli kładnąc dłoń na jego

czole i wpatrując się w pięknego chłopca, który niezręcznie przymuszał się do melancholji z charakterem jego gwałtownym, szyderskim, zimnym nie harmonizującą.

— Oj! dzieci wy, dzieci! rzekła tacyście wy wszyscy! w pierwszych dniach szalejecie od szczęścia, powoli wam ono wystygła... blednieje, nudzi, żądacie coraz więcej, coraz więcej, aż nareszcie przyjdziecie do kresu, po za który przejść nie można i bijecie o mur głową.

Platon, co tobie?

— Albo ja wiem? rzekł kwaśno Zubów, Wasza Cesarska Mość znasz to jak widać lepiej, niż ja sam.

— Pewnie... ale nazywaj mnie Katienką, bo tu carowój nie ma i nie wywołuj carowój! Ona tu niepotrzebna, jój trzeba się lękać... ona jest straszna... Póty bezpiecznym jesteś, dopóki z Katienką... a z carową...

Zamilkła... wzrok jój był dziki i uśmiech dziki a straszny.

Platon mimowolnie podniósł się nieco z sofy.

— Dla czegożbym ja się miał lękać carowój? zapytał — ja przynajmniej nie zgrzeszyłem przeciwko niej ani myślą...

— Ani mową, ani uczynkiem, dokończyła śmiejąc się Katarzyna, ale czy pewno? czy pewno?

No, co tobie Platon? mów! ty masz mnie o coś prosić — o zgubę człowieka lub o nowy blask jaki... Żałować ci nie będę... Ludzi mamy dosyć, honorów jeszcze stanie... rozchmurze czoło.

Zubów podniósł na nią oczy czułe... wzrok jego byłby rozśmieszył starą babę, gdyby nie była jeszcze kobietą i nie

chciała się ludzić, że kochaną być może choćby dla blasku swego carstwa.

— Katienko! rzekł — jam cię nazwał carową nie bez myśli, bo ten smutek, który we mnie widzisz, carowa nie Katieńka obudziła.

— A co ona ci zawiniła? czy skrzywdziła ci braci? ojca? rodzinę?

— O! nie! nie!

— Co ci zawiniła? mów, powtórzyła Katarzyna.

— Jest nadto dobrą i... i nie widzi, że z jej dobroci żli ludzie korzystają.

— Zubów, zawołała Katarzyna niecierpliwie, ty wiesz, że ja zagadek nie lubię, że komedje piszę, ale grać z sobą nie daję... o co chodzi?

Głos miała gniewny i drżący.

Platon zsunął się z sofy na kolana, udał przestraszonego, objął ją rękami w pól, przycisnął do serca i począł mówić żywo.

— Przebaczenie! mnie o was idzie tylko! o was! pani moja! carowo moja, luba moja... ty u mnie jedna jesteś... w tobie życie.

Chcesz prawdy? weźmiesz po tém za nią głowę moję jeśli zechcesz, powiem ją. Na ciebie, pani moja, jest spisek... jam go odkrył.

Katarzyna drgnęła.

— Kto w spisku?

— Twój syn!

Była chwila milczenia długa jak wiek. Carowej brwi

się ścięgnęły, twarz drżała, zestarzona, zbrzydła, straszna, przerażająca.

— Mów! dokończyła zimno — wszystko... wszystko!

— Parę dni temu, mówił Zubów, doniesiono mi, że Paweł wykrada się nocami z Gatchyna i jeździ do miasta. Kazałem go śledzić — tak jest, ale dokąd jeździ, nikt jeszcze pochwycić nie mógł.

Potrzebował pieniędzy... dwa kroć sto tysięcy rubli lub więcej ktoś mu dostarczył. Mówią, że w spisku z nim są Polacy, którym sprzyja, i że jeden z nich dostarczył mu tę sumę.

To są wiadomości, dokończył Zubów, za które ja ręczyć mogę, jestem na tropie, alem nie chciał bez woli waszej nic poczynić. Rozkazujecie monarchini...

Katarzyna wolnym krokiem cofnęła się do krzesła i siadła w niem, sparła się na rękę, zadumała, nie odpowiadała nic.

— Słuchaj Zubów, rzekła — ja z tobą będę mówić otwarcie, bo ty możesz się mylić, siebie wplątać i mnie wciągnąć w... trudności... a gdy carowej trudności przychodzą, to je tylko krew rozwiązać może. Ja do ciebie przywykłam, tyś miły mi, Zubów, ale ja jestem carowa, i w moim państwie Zubowów znajduję... Jeśli się tobie śni więcej niż godzi, to źle — jeśli ty myślisz o wnukach i re-jencji, to mnie nie znasz. Mogę ci dać miliony, ale do tronu nie dam dostąpić. Jeśli ty Pawła chcesz zgubić dla tego, byś go zastąpił... mylisz się. Mnie wymawiają śmierć męża, ja nie mogę się splamić śmiercią dziecięcia... Nie Kocham Pawła, nienawidzę go, jak jego ojca niecierpiałam,

ale na mnie patrzy Europa... ja losy części świata trzymam w dłoni.

Rozrachuj się Zubów — rozrachuj dobrze.

— Ja nie mam nic do namysłu i rachuby, rzekł zimno faworyt, ja nie liczę na nic i nie żądam nic, prócz spokojności waszój i świetności panowania. Spisek ten istnieje, a wy uczyńcie z tém, co się wam podoba.

— Przysiędziesz mi na to? spytała carowa.

— Na wszystko święte, iż mówiłem prawdę, dokończył faworyt. Niewiem natury tych zachodów i pokątnych starań, ale że Paweł nocami się wykrada, że szczególnymi łaskami zaszczyca Polaków, jak Wielhorskiego i Ilińskiego, to pewna, że pieniędzy potrzebował i dostał, wiem to najpewniej.

— On ma przewróconą głowę! westchnęła Katarzyna, sam nie wie co robi — ale jeśli myśli że mnie obalić potrafi... o! myli się bardzo!

W tém wszystkiém więcej przekory i głupoty, niż może czego innego...

Potrzeba być ostrożnym, Zubów, kazać go śledzić... a nie przeszkadzać mu bynajmniej, niech brnie dalej, przędź rzecz na wierzch wynijdzie. Ja tymczasem Ilińskiego i Wielhorskiego łaskami i względami uspię, aby się ani domyśleć mogli, że ich posądzani.

Zamilkła — a potem mówiła jakby sama do siebie.

— Pawłowi dawno cięży nieczynność, za długie mu panowanie moje, a nie wie, że w słabych rękach tych wodzów utrzymać nie potrafi, że targać będzie nie wieść, i szarpać nie prowadzić.

Ja muszę dokończyć com zaczęła w Persji, w Polsce, w Turcji, ja będę żyć, dopóki państwa nie postawię na tak mocnych podstawach, aby go nie poruszyć nie zdołało...

I znowu zatopiła się w myślach.

— Tobie, Zubów, powierzam, dodała po chwili, bezpieczeństwa moje. Ty wiesz jak na żołnierzy działać potrzeba i na wszystko, co mnie otacza.

— Ja jestem spokojny, zawołał Platon, o dzisiaj, ale o jutro się boję. — Trzeba śledzić by w porę zapobiedz złemu.

— Wiesz co więcj? zapytała Katarzyna.

— Dotąd tylko tyle, ale rozesłałem ludzi pewnych, do Gieczyna... wszędzie, gdzie było potrzeba; ma stróża przy sobie Iliński i inni Polacy. Kroku teraz nie zrobią, żebym o nim nie był natychmiast zawiadomiony.

Katarzyna podała mu rękę do pocałowania, którą faworyt przyjął na klęczkach, rzucił się przed nią na kolana. Carowa teraz była tak melancholiczna, jak on przed chwilą, ale pieszczoty faworyta z wolna myśli czarne rozpraszały.

— Dobrze ci się udało — rzekła carowa po chwili z uśmiechem, grożąc mu palcem, ja miałam ci czynić wymówki, a muszę dziękować.

— Wymówki? za cò? spytał Platon.

— Prawda, szepnęła — wymówki były może niesprawiedliwe... jam stara a ty młody, nie dziw, że cię ku młodości ciągnie serce.

— Mnie? ku jakiej? spytał zdumiony Zubów.

— Ej! przypomnij sobie! mówiła śmiejąc się Katarzyna, — na ostatniem przyjęciu u dworu, jadłeś oczyma tę Polkę, jenerałową Puzonów.

Wszyscy to uważali — wszyscy... ja sama także... Zbliżyłeś się do męża... ale pamiętaj Platon... gdy jednego dnia uściśniesz obcą kobietę — drugiego cię tu nie będzie...

Ja nie zmuszam do kochania nikogo — ale dzielić się! ja! carowa! nie umiem... Kto moim jest, całym być musi... lub...

Umilkła — Zubów ruszył ramionami.

— A! Katienka, zawołał — czyż ty nie wiesz, że blask co cię otacza, rozum, życie — wszystko cię czyni najmłodszą z twego dworu... a dla mnie najpiękniejszą, najdroższą istotą... czyżbym ja mógł być tak niewdzięcznym, tak niegodziwym, ja, co ci winienem wszystko, bym zdradził ciebie...

— A pocóż tak patrzałeś na Puzonową?

— Wiecie, rzekł Zubów, mówią o niej, że ona raz była zabita i jest zmartwychwstałą, że nosi w sobie drugą duszę jakąś... Bóg wie co! Opowiadano mi dziwy, patrzałem jak na upiora!

Zubów żywo się przeżegnał niepostrzeżenie.

Carowa wstała z wolna z krzesła.

— Nie daję rozkazów policji, bo by jej chody najprędzej się nieczgrabnością zdradziły. Weź pieniędzy, ile będzie potrzeba z mojej szkatułki, każ śledzić... Codzień powinienam mieć raporta.

Kto wie?? Może uwięzieni Polacy, Potoccy, Kościu-

szo, ten bezczelny Niemcewicz są w spisku... postawić szpiegi przy więzieniach, lub wszystkich zamknąć w Petropawłowsku... Nie — to później!! nadto by ludzie widzieli!...

Teraz cicho... nie dać nic poznać po sobie, a... mieć oko!...

Na tém skończyła się rozmowa, a carowa zadumana weszła z Zubowem do swoich pokojów.

XLVIII.

Pałac Orłowa nad Moiką nie miał wcale pięknej powierzchni, gdy na świat przychodził; to co Segur zarzucał ceśarzowej Katarzynie, iż smaku w sztukach nie miała, można było w ogóle zadać Moskwie całej. Sztukę stanowiła jaskrawość, przepych, olbrzymie proporcje, a wcale nie ta harmonja form, która tworzy prawdziwe piękno. — Mocarz moskiewski i pan moskiewski pragnęli mieć gmachy, któreby ich siłę i bogactwo poświadczały... sprowadzano porfyrowe bryły i skały granitowe... sztuka ich do cyklopejskiej chciała być podobną, dziwić zwyciężoną trudnością a nie wyrażoną myślą. Pomimo to zamachy ówczesne na wielkość w Petersburgu rozbijały się o wiele trudności wykonania, bagniste grunta, kosztowność materiałów; i były karłami udającymi tylko olbrzymy.

Tak też wyglądał i smutny pałac Orłowów nad Moiką.

Od pierwszego domu z cegły wzniesionego z rozkazu Piotra w 1710. roku do 1796. roku, stolica budowana z musu, na gwałt rozrosła się i rozszerzyła, ale przepych, o który się dobijała, świecił tylko na głównych jéj ulicach, w reszcie ich z pruskiego muru domki na sposób niemiecki, były najpospolitsze; a na Wasilewskim ostrowie

pełno jeszcze było chat drewnianych i szałasów niegodnych wielkiej stolicy. Na cały Petersburg za Katarzyny oprócz marmurowego pałacu i Izaaka cerkwi nie było więcej budowli z kamienia. Pałac Orłowych obrócony na więzienie, wyglądał na nie, chociaż ta jego fizjognomja, któraby gdzieindziej rażąca była, tu gdzie miasto całe więzienie przypominało — mniej może uderzała. Straże chodziły do koła, okna na pół były pozasłaniane, pół pozabijane deskami i kratami, u głównych drzwi rodzaj obwachu żołnierskiego się znajdował. Więźniowie mieli widok na kanał... i na bagnety swych straży.

Nazajutrz z bijącym sercem doktor Müller opóźniwszy umyślnie przybycie do pałacu, zbliżał się doń, gdy sanki jego wstrzymano i nieproszony towarzysz zajął przy nim miejsce. Płaszcz wojskowego felczera, czapka na oczy spuszczone dosyć go dobrze maskowały, doktor wszakże drżał cały i niemy prawie zatrzymał się przed ciemnym gmachem. Ktoby mu się chciał był przypatrzeć uważnie, prędzej po nim poznał że się coś złego święciło, niż po tym podejrzanym towarzyszu. Ale straż postrzegłszy kapelusz z jeneralską oznaką i domyśliwszy się naczelnika, rozstała się czyniąc mu honory i Müller nie patrząc za siebie wszedł na korytarz... Czuł jednak po za sobą stąpanie... felczera, który go nieodstępował. Serce mu biło, w oczach latały płatki jasne... mylił się szukając drzwi, ale nareście dowlókł się do tych, których mu było potrzeba. Tu jeszcze chodził szyldwach jeden... W korytarzu cisza panowała grobowa... Drzwi się otworzyły, Müller wsunął się... za nim felcher znowu.

Temu którego niedawno naród cały zwał najwyższym wodzem swym, w którego ręce złożył był losy swoje, dano tu mieszkanie prostego niemal wojennego jeńca. Szczupłe, ponure... smutne... i niewygodne. Za największą łaskę dozwolono go tu przenieść i dopuścić, aby się pracą ręczną rozrywał... W izbie pierwszej, która poprzedzała główny pokój Kościuszki, na stołku prostym siedział żołnierz spełniający obowiązki posługacza (wiestowej) który się co dzień odmieniał, i czas pędził na śnie wynagradzając sobie przymusową bezsenność straży.

Obudziło go wejście doktora, stanął wyprostowany jak z drzewa, wstrzymując ostatki snu objawiającego się ziewaniem.

Müller wskazał go oczyma towarzyszowi i razem z nim natychmiast (pilno mu było przejść tę próbę ognistą), wszedł do pokoju Kościuszki.

Naczelny wódz o szarej godzinie przy niedawno zapalonej świeczce jednej, która stała na warsztacie tokarskim, spoczywał na prawdziwie żołnierskiem, a raczej mniszém łóżu, pokrytém grubą kołdrą więzienną. Na widok wchodzących podniósł się nieco na ręce, spojrział jakby zdziwiony... milczący, i stawać począł na nogi... Oczy jego jeszcze nie były dostrzegły towarzysza lekarza. — Müller drżał i mówić nie mógł, ale za niego i za wszystkich przytomność umysłu zachowała jenerałowa, która poczęła na-przód szeptać coś doktorowi. Müller się opierał, wahał, a w tém Kościuszko zwrócił oczy na felczera i cofając się o mało nie krzyknął z zadziwienia.

Wśród mroku celi i wspomnień swych mroku, rozpoznawał, choć zmienioną cierpieniem twarz, której zapomnieć nie mógł, nie chcąc wierzyć oczom własnym. — Felezer położył palec na ustach nakazując milczenie, a doktora opierającego się jeszcze, co rychlój za drzwi wyprowadził...

XLIX.

Wszystko to było tak niespodzianém i dziwném, iż Kościuszkowski nie wierzył prawie rzeczywistości.

Kobieta chciwie wpatrywała się w twarz jego... Na nim także niewola i palenie się myślami własnymi sprawiała niezmierną odmianę. Z twarzy téj znużonej opadła resztką młodości i gorączki, która ją ożywiała i opromieniała... była poważna, wychudła, blada, straszna cierpieniem i zorana myślami, oczy tylko świeciły jak dwie grobowe pochodnie.

— Tyżes to... moja panno Heleno? ty?

— Ja jestem — odparła żywo — mówcie cicho, cicho!! przyszedłam, bo powinnam była przynieść ci nadzieję...

— Nadzieję! uśmiechnął się wódz ironicznie i załamał ręce — nadzieję, gdy wszystko stracone! mnie, co ojczyznę zgubiłem.

Spuścił głowę, łzy mu się potoczyły z oczów.

— Ty? ojczyznę zgubiłeś? podchwyciła Helena. Na Boga, ciebie kraj cały i świat cały czci jako zbawcę narodu! Nie winienes, że twą ofiarę Bóg skruszył dla swych widoków... niedościgłych, że ci ludzie jęj może dokonać nie pozwolili! Dałeś ojczyźnie więcej niż życie pod Ma-

ciejowicami ofiarowane, spokój, imię, poświęcenie nawet bez nadziei skutku, wszystko.

— Ale któż był we mnie, aby mnie pojął, a skutek jest ten, że Polska zgubiona, zwyciężona, podarta... że po mnie mieć nie będziecie ani wojska, ani wodza... ani iskry otuchy.

— Nie mów tak, zawołała szybko generałowa... panowanie staréj nierządniczy ma się ku końcowi. Paweł wcale innemi chęciami jest ożywiony dla Polski. Czuje on błąd i zbrodnię, jaką popełniła matka, wszystko zwiastuje, że starać się ją będzie wynagrodzić...

Nie oddawajcie się rozpacz! Ja przyszedłam umyślnie tylko, aby wam przynieść tę gałąź oliwną, bośmy wiedzieli, że upadłeś na duchu... przyszedłam ci powiedzieć — żyj, abyś jeszcze służył ojczyźnie...

— Ja? zapytał Kościuszko trzęsąc głową — ja? Mylicie się. Ten, czyjemu poświęceniu i orężowi raz nie pobłogosławił Pan Bóg, nie powinien nigdy przebojem iść przeciwko przeznaczeniu. Ja padłem zabity na polu podzameckiem, ja żyję za karę, bym cierpiał tylko, bym wspominał tę godzinę expijacji i gryzł się nią. Ale nigdy! nigdy wodzem nie będę... gdybym był nawet żołnierzem, bo Bóg sam skruszył łaskę hetmańską w mém ręku.

— Uczynisz, co zechcesz i kraj każe — przerwała kobieta, ale żyć powinienes i mężnie czekać. Godziny jéj panowania policzone... syn wszystko przerobi, co ona zrobiła, umiłuje co znienawidziła, podniesie, co prześladowała. Kiedy godzina wielkiej odmiany uderzy, Bóg wie, ale wybije rychło i wybije głosząc wam swobodę.

— Mnie? swobodę? spytał Kościuszko... swobodę mnie, gdy ojczyzna w niewoli?

Westchnął i popatrzał na nią.

— Jaksie się ty tu dostała, pani moja, zapytał... jak?

— Nie mam dziś czasu opowiadać wam dziejów moich, lada chwila powróci doktor... mówmy o tobie, panie.

— Ale o mnie już wszystko powiedziane — rzekł Kościuszko.

— A o mnie mówić co nie ma.

— Co w Polsce się dzieje? co z Polską? zapytał.

— Jam dawno ją opuściła! rzekła Helena, ale wiem, że to wielka mogiła stradowana... co czeka nocy zmartwychwstania.

— Mówicie, że Paweł jest dla Polski dobrze usposobiony?

— Sam z siebie i przez tych, co go otaczają. Czuje on, że podbój dzikiego narodu a przywłaszczenie wyższego cywilizacją, są rzeczy całkiem odmienne.

Kościuszko chciwie słuchał, powoli ujął drżącą jej rękę i pocałował z uszanowaniem.

— Niech wam Bóg wynagrodzi ofiarę dla mnie, boć wiem coście uczynić musieli, aby się tu dostać do mnie z tą jałmużną słowa pociechy... niech Bóg nagrodzi, ja tylko łożę na dłoni waszej opłacić mogę tę łaskę.

— Twoja łoża! zawołała Helena... a! nie żał życia dać za nią... twoja łoża tak przynosi błogosławieństwo, jak krew męczenników.

Na te słowa doktor przerażony widocznie wszedł z o-

gromnym plastrem nasmarowanym w przedpokoju wedle rozkazu, a nie mogąc użyć go i nie wiedząc jak, złożył drżący na tokarni.

— Chodźmy! zawołał, na miłość Bożą chodźmy...

— Cóż pomyśli żołnierz, szepnęła generałowa, żeście tak szybko ów plaster mogli przyłożyć? To obudzi podejrzenie... chwilę... czekajcie...

Kościuszko zamilkł, doktor poruszał się ciągle ku drzwiom... z dala dochodziły w korytarzach chrzęst broni, stukanie karabinami i niespokojna latanina po pałacu; Müller stracił zupełnie głowę.

Hałas zbliżał się ku drzwiom wódza, gdy medyk nie mogąc już wytrzymać, rzucił się do drzwi. Helena ścisnęła rękę Kościuszki i wyszła żywo za nim.

L.

W istocie około gmachu jakieś wojskowe ruchy, prawdopodobnie obluz warty się odbywał, ale słyszeć było nawoływania, głośno wydawane rozkazy i hasła. Wyjść niewidzianym nie było podobna, czekać mogło grozić niebezpieczeństwem. Pierwszego spotkanego w korytarzu żołnierza zapytała generałowa po rusku: co to było?

— Nic, odparł obojętnie żołdat, niewiem, pewnie zdają wartę nowemu bataljonowi, bo dziś zmiana.

Zeszli ze wschodów nie hamowani, Müller pod osłoną kapelusza jeneralskiego, Helena dla czapki swój wojskowej i płaszcz. Na dole skupieni żołnierze rozstąpili się im, sanki stały pod gankiem, siedli, a Helena zawołała do woźnicy — poganiaj!

Odbierający straż bataljon i starszyna w chwili odjazdu sanek byli nieco opodał; dowodzący postrzegł wyjeżdżających dopiero gdy spory kawał odjechali. Nagle rozległ się krzyk.

— Stój! stój... wracaj! stój!

Rozkaz wydany bezskutecznie przez oficera, powtórzony przez sierżantów, przez żołnierzy, przez całą kupę, rozległ się przerażający, straszny, groźny. Woźnica, który powo-

ził, tak się uląkł wyższego tego przykazu, iż usiłował konie zatrzymać.

W téj chwili z tyłu zamiast — stój! poczęto wołać: goń! łapaj! łapaj! kupa żołnierzy puściła się w pogoń. — Ale i konie téż nastrąszone wrzawą, choć je usiłował powstrzymać woźnica najęty, leciały rozkiełznane.

Doktor mdlał w sankach, ale Helena zerwała się na nogi... nie było chwili do stracenia — potrąceniem jedném zrzuciła woźnicę z kozła, chwyciła lice i uderzyła po koniach. Dzikie a zziębłe konie tabuńskie poleciały piorunem. Helena skierowała je w pierwszą ulicę boczną, jaka się nastęczyła, potem raz i drugi w najprzeciwniejszych kierunkach, i w chwili gdy pogoń leciała na południe, jechała ze swemi sankami małemi ścieżynami ku północy... Krzyki, groźby i wołania zwolna cichły, ustawały, umilkły, konie téż zmordowane poczynaly zwalniać biegu, a Helena rozpoznawała, że się znalazła najniespodzianie na Wyboriskiem przedmieściu. Müller bezprzytomny trzymał się tylko oburącz sań, aby nie wypaść z nich; czuł się bądź co bądź zgubionym, choć nie wiedział co i jak się stać mogło. — Szczęściem kobieta miała za niego i siebie przytomność umysłu istot słabych nawykłych do walki z silniejszym od siebie losem.

Z brwią zmarszczoną, poważna, surowa, gniewna niemal, już obmyślała plan cały. Konie biegły zwolna, dając się kierować łatwo i zawiozły ich po krótkiej chwili do wrót tego domku, w którym się umawiała z doktorem. Na dany znak chłopak przybiegł wrota otworzyć i zabrał sanie. — Helena dała znak Müllerowi, aby wszedł za nią. Niemiec

jak skazany na śmierć powlókł się do pokoju, ale tu siły go opuszczyły — padł na kanapę prawie nieprzytomny.

— Nie ma wątpliwości, doktorze, zawołała, iż ktoś nas zdradził i że na ciebie padło podejrzenie. Mojem zdaniem należy ci uciekać nie powracając do domu. Moją rzeczą będzie ułatwić ci ucieczkę.

— Ale ja... ja... bo muszę powrócić do domu... tam mam wszystko! zawołał Müller.

— I dla ocalenia garści dukatów lub jakiego zegarka chcesz stawić życie? przerwała mu Helena — ja na to nie pozwolę. Może być, że oni podejrzewają cię o coś, a nie jeszcze nie wiedzą... ale... nie masz dosyć charakteru, ażebyś moskiewskie badania wytrzymał. — Zaczną cię... jeśli nie sicc, to grozić różgami, wydasz ojca i matkę... Podejdą cię nadzieją nagrody! Nie! nie! téj nocy musisz być na drodze ku Rydze i Europie...

— Bez grosza...

— Dam ci pieniądze... Nie lękaj się nic — konie, pasport rządowy, rozkaz rządowy, nazwisko, przewodnika mieć będziesz za godzinę... a na tym wypadku, ręczę ci, nie stracisz.

Müller niedowierzająco głową potrząsł i ręką skinął obojętnie.

— Bylebym raz wyszedł cało z pod szubienicy, dość mi będzie na tém.

Helena szepnęła kilka słów ludziom, zamknęła drzwi boczne, ścisnęła rękę doktora... i wysliznęła się pieszo ze dworku...

W parę godzin potém za carską podróżną kartąjechał gościńcem do Kurlandji radzca von Breit... podobniuteńki do doktora Müllera, — ale noc nie dozwalała twarzy jego widzieć nikomu, a nos chował w futro tak głęboko, iż go nawet pocztmajstrowie po drodze dojrzeć nie mogli...

LI.

Jenerał Puzonów pamiętnego dnia tego był w domu, podawszy się za chorego; i niepomalu się zdziwił, gdy dosyć późnym wieczorem służący mu oznajmił niespodziane odwiedziny ospowatego Markowa, prawej ręki Platona Zubowa i ulubieńca monarchini. Marków choć dobrze się znał z Puzonowem, teraz tak był wyrósł wysoko, iż nie łatwo komu czynił honor odwiedzenia.

Obawiano się tego człowieka — prawdziwego łowca dworskiego, który służył do wszystkiego, wszędzie upatrując tylko własnych korzyści.

Im Marków był niebezpieczniejszym i czynniejszym razem, tym każdy krok jego więcej nabierał znaczenia. — Wiedziano dobrze, iż bawić się nie miał czasu ani ochoty.

Puzonów wyszedł na jego spotkanie, a pomny tego, że podał się jako chory, ubrany był w szlafrok i począł się uniewinniać z tego a przepraszać. Marków nic nie odpowiedział, wszedł z nim do pokojów, ledwie wśród salonu zdjawszy czapkę. — Arogancją naśladował Zubowa.

— No, jak się masz? chory? spytał Puzonowa... hę? ty zawsze teraz chory, a powiedz prawdę, niedołęga... Ja jeden wróciłem z Polski cały... a wy wszyscy, coście tam

pojechali silni, pewni siebie, zdrowi, rozumni, popowracaliście nam do niepoznania. Repnin kochał się w tój tam księżnie... Igelström także, Stackelberg zwolniał, ujęli go, Kreczetników, Kochowski... nawet mądrego Sievers'a obalamucili... no! a na tobie Polskę znać! No! Polska to Polska! Bezkarne tamtędy nikt nie przeszedł... nikt... Ja ciebie nie poznaję, Puzonów.

— A no, bom zestarzał, rzekł generał.

— E! nie, odparł Marków, tobie ta miłość stała za chorobę a szczęście terazniejsze za niewolę.

Puzonów westchnął.

— Osobliwsza rzecz, dodał Marków, my ich zwyciężyliśmy, zgnetli, obrabowali, wzięli co chcieli, a oni na każdym z nas, co tam dłużej pobyl, przycisnęli jakby piętno swoje... Potemkin się do nich umizgał, Repnin ich nie raz bronił, Sievers płakał nad losem... tylko ja, to nie!! Ale mnie ciebie żal Puzonów, tyś był człowiek gorący, czynny, wytrwały, mógłś dobrze jeszcze służyć monarchini, a ot tak gnijesz. Ja bym tobie radził podać się do Persji... do brata Zubowa, on by zaraz ciebie pchnął i mógłbyś dostać cobyś chciał.

Puzonów ruszył ramionami.

— A mnie to na co? zdrowia nie mam.

— Bo tak gnijesz z dobrej woli w bezczynności... W Persji i pieniądze i krzyż i rangę wysoką miałbyś jak nic, patrz na innych.

Te namowy więcej podejrzenia niż ochoty obudziły w generale — odpowiadał półsłowami, ni to ni owo.

— Ja i Platon, my twoi dobrzy przyjaciele, wierz mi.

zawołał Marków — cóż ja w tém mógłbym mieć za interes? co mnie do tego? ale ja wam dobrze życzę.

— Jeśli mi życzycie dobrze, odparł Puzonów, to mi pomóżcie zostać tak w spokoju... ja nic nie pragnę.

— Ale monarchini potrzebuje takich ludzi jak wy, Dymitrze Wasiljewiczu, zawołał Marków. Rosja wielka, ale ludzi nie ma wielu; że świecą szukać dowódcy, na którego by się spuścić można. To téż monarchini na was zażalona, że jój czynnie służyć nie chcecie.

Puzonów spojrzał nań niedowierzająco.

— Alboż tu ludzi nie trzeba? rzekł.

— Tak, ale tu w stolicy i starzy wydołają, tam młodszych i czynnych kraj potrzebuje... jak wy! jak wy! dodał gość. — No! wola wasza! tylko pozwólcie powiedzieć szczerze, tym sposobem wy do niczego nie dojdziecie i wyjdziecie tylko na zasztatnego jenerała z połową pensji.

— A cóż robić? zapytał Puzonów.

— Co? podać się do armji perskiej, pobyć pół roku, rok i powrócić bogatym, z lentą przez plecy i dowództwem — ot co!!

Nagle wstał Marków śmiejąc się i zapytał.

— A wasza żona, Helena Janówna? gdzie?

— W domu, odparł spokojnie jenerał.

— Przecie ja ją zobaczę...

— Czemuż nie?

Puzonów zadzwonił na służącego.

— Pójdźcie do Heleny Janówny na górę i powiedzcie, że przyjdziemy do niej na herbatę.

Służący wyrzekł moskiewskie — Słucham, i zniknął.

Dwaj panowie mówili jeszcze o wojsku, o wojnie — o tém i owém, nie tykając dworu i spraw drażliwych.

Upłynęło pół godziny. Helena ledwie, miała czas przebrać się, obmyć twarz spaloną od zimna i gorączki razem, ale wyszła na zawołanie spokojna, jak gdyby się tego dnia wcale nie ruszała z domu.

Markowa знаła mało i nie lubiła go wcale, wiedziała wszakże, iż mu tego okazywać nie potrzeba. Obawiali się go wszyscy więcej może, aniżeli Zubowa, którego był za-usznikiem i pomocnikiem.

Marków przywitał ją z wyraźną ciekawością razem i chęcią przypodobania się; był słodki i nadskakujący. Helena przymuszona została przybrać pozór wesóły i żartobliwy, aby nie dać poznać po sobie co przebyła. Podejrzewała ona, że Marków, jeśli było posądzenie na nią jakie, mógł przybyć na zwiady i szpiegi, nie chciała się dać pochwycić tak łatwo.

— Wiecie, Heleno Janówno, rzekł, że od czasu jak byliście u dworu, o was tylko mówią, zajmują się wami... zrobiliście na wszystkich nadzwyczajne, prawdziwie niesłychane wrażenie.

— Ja? a to jakim sposobem? spytała Helena.

— No, najprzód piękność wasza, a potem historia życia, którą każdy inaczej rozpowiada.

Mąż, który nie lubił wspomnień przeszłości, przerwał.

— Zwyczajnie, kto nie ma co robić, ten nie wie co plecie.

— Teraz, dodał Marków, radziłyśmy znowu was widzieć... znów podziwiać.

— Ale ja nie mam ochoty na oczy ciekawe i języki złośliwe się narażać — odparła Helena.

Marków zmilkł, śmiejąc się.

— E! zawołał po chwilce, jak carowa powie słowo... będziecie musieli, a monarchinię męczą wszyscy, aby wam kazała bywać u dworu...

Puzonów aż pobladł, Helena spuściła oczy, Marków zręcznie odwrócił rozmowę. Niekiedy wśród niej oczyma badał i zdawał się rozpatrywać w jenerałowej, ale Helena zmuszała się do wesołości i obojętności.

Tak godzinę przesiedziawszy tu dostojny gość, pożegnał gospodynię i gospodarza i nareście odjechać raczył.

LII.

Konie go same powiozły do Ermitażu, gdzie się spodziewał zastać Zubowa, którego szukał. W istocie faworyt przechadzał się właśnie po zimowym ogrodzie, który stanowił naówczas jedną z wielkich osobliwości petersburskich.

Piękny zbiór obrazów nawet i słynna galerja kupiona u Houghtona, nie tyle dziwiły podróżnych, jak owo zwycięstwo odniesione nad klimatem, które dozwalało w trzydziesto stopniowy mróz monarchini lodów przechadzać się wśród palm, kaktusów, aloesów, zieleni i śpiewającego ptastwa. Nie wiemy, czy gdzie wprzód w Europie na taką skalę i z takim przepychem i zbytkiem urządzony był ogród zimowy jak ten który był ozdobą Ermitażu.

Przestrzeń nim zajęta dosyć znaczna, przedstawiała minjaturowy ogród, raj niby, poetyczny, w którym wieczna kwitła wiosna, a wolno ulatujące ptastwo napełniało go śpiewem wesołym. Pokręcone ulice, pozasadzone drzewa i krzewy, poustawiane kwiaty, gdyby nie spojrzenie na okna... ludzi mogły lepszym klimatem i szczęśliwszym krajem.

Carowa siadała tu dawniej filozofować z książką w ręku,

potém pisać kodexa, rozmyślać o polityce i wojować z rewolucją, której widmo ostatki dni jój napełniało trwogą.

Zaczynała się spostrzegać, że ci filozofowie, których kochała dla sławy jaką oni dać jój mogli, grozili pewném niebezpieczeństwem tronom i monarchom.

Tego dnia carowej nie było w zimowym ogrodzie. Zubów siedział w nim zadumany głęboko. Wiele rzeczy go niepokoiło... przeczucie zmian nadejść mogących, przeciw którym trzeba się było zawczasu obwarować; staranie o nowe zdobycze... a naostatek niewola osobista, w której się nieco nudził. — Nie serce, bo mu to wygniło wcześniej, ale zwierzęce chucie podniecały fantazję. Puścić im wodze było niebezpiecznie, wstrzymywać coraz trudniej. Wzdychał tedy on ulubieniec, któremu zazdrościli wszyscy.

Usłyszawszy skrzypienie butów na piasku uliczki, Zubów spojrzał namarszczony, kto go aż tutaj mógł ścigać, podniósł głowę i zobaczył Markowa, który go salutował po żołniersku.

— Co nowego? zapytał, nie wiecie co o doktorze Müllerze, który po bytności u Kościuszki miał zbiegnąć? Mówią, że był u niego z kimś drugim, śladu ich odszukać nie podobna! Ja carowej nawet się do tego nie przyznam! Wśród stolicy takie zuchwalstwo, takie targnięcie się... W tém coś jest! oni go chcieli uwolnić.

— O tém nic nie wiem, rzekł Marków, prócz że Kościuszkę nie niewie i mówi, że widział tylko doktora i felczera, którzy mu plaster na nogę przykładali.

Gołowin będący na straży, zaklina się, iż w towarzyszu doktora poznał kobietę przebraną.

— E! to głupiec! ryknął Zubów...

— Tymczasem jedyne posądzenie, jakie mieć było można, nie sprawdziło się.

— Ale Müller uciekł! zawołał faworyt... Otóż nasza siła! oto nasza służba! Pod bokiem i okiem dzieją się w stolicy takie kryminały, cóż to być musi na prowincji! Marków milczał.

— Czekajcie no, do jutra... kto wie, jak się to obróci. Doktor w ziemię wpaść nie mógł — na wszystkie trakty rozesłano sztafety, aby podróżnych choćby nawet z cesarską kartą zatrzymywać. Zobaczym jutro.

Zubów zżymał się.

— A jak carowa się dowie dziś?!

— Mówiny o czém inném, przerwał Marków, nic się nie stało, jednego Niemca djabli wzięli, nie wielka szkoda, z więzienia nikt nie uciekł... no? czegoż znowu się tak trapić — czego? Słuchaj Zubów, ja o tobie myślę...

Spojrzeni na siebie.

— Jeździłem opatrywać Puzonowę! no! nie tak straszna jak mówią! śmieje się, żartuje i wcale się srogą nie wydaje, ale trzeba Dymitra Wasiljewicza... na Kaukaz!!

Tylko nie ty! Carowa sama powinna to uczynić. — Żony z sobą nie zabierze... zostanie sama... no i reszta to już — na mnie!

Uderzył się po piersiach.

— Ja wam ręczę!

Zubowowi twarz się nieco rozjaśniła, ale palec położył na ustach i rzekł:

— Milczże! ściany mają uszy, a krzaki jeszcze większe... cicho.

Widziałeś się z Frydrykiem Wilhelnowiczem dzisiaj?

— Tylko co... był od niego raport.

— Jaki?

— Potwierdzający, rzekł Marków, ale sam mówisz, że krzaki uszy mają.

— Chodźmy ztąd! zawołał wstając Zubów i uszedłszy kilka kroków, otworzył drzwiczki skryte. Wązkim korytarzykiem przecisnęli się do pokoiów.

Tu faworyt obejrzał drzwi, obszedł parawany i poprzedziwszy Markowa do okna, szeptać zaczął.

— Nie ma się co namyslać, Marków... albo my zginiemy z ręki warjata, albo nam jego zgubić trzeba. — Masz odwagę? będziesz ze mną...

— Do końca i wiernie... rzekł Marków. — Co myślicie...

— Paweł wszystkich nas nienawidzi, począł Zubów, jeśli nie zgubi nas nazajutrz po wstąpieniu na tron, to rozproszy, jak psy rozpędzi po świecie i sromotą okryje... Komu tylko carowa sprzyjała, komu wierzyła, ten ofiarą padnie. Gwałtowny jest i nikomu nie przebaczy. Trzeba działać... a może do stracenia nie ma czasu. Carowa nie jest młodą... żyje wstrzemięźliwie, ale coraz kruchszy dzban, może się rozbić za lada trąceniem. Naówczas myśmy przepadli. Carowa nie zgodzi się nigdy na śmierć syna, ale można przekonać ją, że obłąkany i każe go zamknąć w klasztorze... w fortecy... Tak bywało u nas nie raz i nikt

się temu nie zdziwi. Gdy będzie w więzieniu! no! nie wytrzyma, zaboje, rozchoruje się, może umrzeć.

— No! tak! to bardzo łatwo! dodał Marków, a mury grube... i kto tam wie, co się za niemi dzieje.

— Tak, mówił dalej Zubów, dzieci młode, Aleksander najstarszy więcéj ma ochoty rozprawiać się z Laharpem, niż panować. Może być rejencja — może być rada rządząca...

— Wszystko, co zechcecie, rzekł Marków.

— Carowa już zawiądomiona o spisku... już się niepokoi. Raporta Fryderyka Wilhelmowicza trzeba dobrze pieprzyć i solić. A przytém tam bo i na prawdę coś jest.

— Inaczéj na cóż by mu tak nagle było potrzeba pieniędzy? dodał Marków.

— Ale póki nie będzie jakiegoś dowodu, że on spiskuje, nie możemy go przytrzymać.

— Na cóż lepszy dowód nad te pieniądze? szepnął Marków.

— Wszakże jednak dotrzeć należy do gruntu, schwycić na jakimś gorącym uczynku... a na to...

— A na to co? spytał Marków.

— Na to, mówił Zubów, jest jeden sposób... kryć się jak najpilniéj z tém, że mamy podejrzenie, dać mu teraz jak najwięcéj wolności... niech nabierze odwagi — niech brnie...

Carowa, mówił dalej, umyślnie posądzając Polaków, szczególnie Ilińskiego i Wielhorskiego, przyjmowała ich z nadzwyczajną łaskawością, aby się czuli bezpieczni... obu obsadziłem szpiegami.

Koło Pawła téż trzeba nie miłych mu pozdejmować zewsząd, folgować, puścić... niech idzie...

— Wy jesteście bardzo rozumni, rzekł Marków.

Zubów uśmiechnął się na to naiwne uznanie, którego wcale nie potrzebował, by zyskać przekonanie o swym rozumie...

— Przygotuję carowę do ostatecznego kroku... będę pracował nad tém. Muszę tego dokazać — inaczej my zgubieni. W kilka dni się to stać musi... nie dalej... ja na ciebie rachuję.

— Śmiało możecie... bądźcie pewni.

Zubów podał mu rękę.

— Co człowiek winien, że się bronić musi?..

I ruszywszy ramionami, spójrzał na towarzysza, który mu się tylko uśmiechnął.

Potém wdział paradny strój i wszedł na pokoje, bo wybiła godzina, w których zwykle do partji whista carowej był powoływany.

LIII.

W jednym z tych carskich pałaców Petersburga, które razem z miastem jak grzyby na tém trzęsawisku finlandickim powyrastały, obmyślane i starannie zastosowane do potrzeb przyszłych despotyzmu, nie daleko od obszernéj kordegardy, stanowiącéj jedną z części składowych każdego podobnego gmachu, znajdowała się nader starannie urządzona stancyjka. Znać budowniczy, który ją w planie narysował, wiedział dobrze o przyszlém jéj przeznaczeniu. Izdebka ta w grubych murach tak była umiejętnie zaoszczędzoną, iż nic na zewnątrz istnienia jéj nie zdradzało. Nie miała żadnych okien, a jedne tylko drzwi od pokoiku, przytykającego do oficerskiéj komnatki przy straży. I te nawet były zamaskowane szafą, a dopiero w głąb jéj wszedłszy, wtajemniczony pocisnąwszy sprężynę, mógł otworzyć wnijście, znalazł się w ciemnéj szyi i w końcu jéj drugimi okutymi drzwiczkami wchodził do téj ciemnicy zimnéj i wilgotnéj.

Najgłośniejszy krzyk w tym kącie nie mógł przebieć kilkołokciowych murów zewsząd go obejmujących. Sama izba tajemnicza obmyślana była tak, aby w niéj bezpiecznie jednego lub nawet kilku na przypadek więźniów pomieścić

można. Przy ścianach znajdowały się żelazne obręcze, które można było założyć na szyję każdego z nich i zapewnić się że z miejsca nie poruszy.

Zresztą nagą była izba i oprócz jednego siennika poplamionego zaschlą krwią czarną, nic się w niej nie znajdowało. Przy jednej ze ścian u drzwi paliła się kopcac lampka nie wiele dająca światła, po nad którą mur wilgotny długą czarną smugą się naznaczył... Dzban z wodą przewrócony leżał na ziemi. Chociaż loszek ten nagi nie miał na ścianach nawet staranniejszego tynku, uderzała w nim dosyć misternie ułożona drewniana posadzka, a w pośrodku niej tafla szczególnie jedna, która nie zupełnie do innych przystawała.

Na sienniku w téj izdebce od kilku już godzin skrepowany sznurami leżał mały człeczek z wyżółkłą twarzą, z wejrzeniem obłąkaném, niekiedy otwierały mu się powieki, zataczał do kola wzrokiem; potem zamykał je przelekły i westchnąwszy zdawał się gorączkowo usypiać.

Chłód lechu coraz go bardziej przejmował, drżał cały. Sznury poruszyć mu się nie dawały i wjadały coraz bardziej w ciało.

Sam nie wiedział już jak długo tak leżał, gdy szelest się dał słyszeć, potem chód cichy, drzwi uchyliły się i wszedł mały człowieczek w mundurze, futrze i czapce... Oczyma on i więzień zmierz yli się ciekawie.

Więźniem był doktor Ernest Müller, schwytyany na czwartéj stacji za Petersburgiem; — przybyłym znany nam już Fryderyk Wilhelmowicz, rodak jego, posługujący wier nie Zubowowi.

Radzca Fryderyk, którego mundur i orderzy wskazywały, że z urzędowego jakiegoś przedstawienia przychodził, zbliżył się do samego siennika, nałożył okulary na nos i pilno się zaczął wpatrywać w twarz zbladłą więźnia, który ku niemu przerażony wzrok podnosił.

— Tak! tak! nie mylę się, wyjąknął po chwili w języku niemieckim... to wy, kochany doktorze Müller! O! o! o! cóż się z wami stało?

Załamiał ręce.

— Co to jest? — Jakem się tylko dowiedział przez moje stosunki na dworze w największej tajemnicy, że kogoś z moich rodaków do téj skrzynki wpakowano, użyłem wszelkich środków, wszystkich sposobów, aby pod grozą najstraszniejszej odpowiedzialności, wkupić się tu na kilka minut i dowiedzieć, czy nie mogę mu w czém być pomocnym...

A! na miłego Boga... Herr Jese!! jak mogliście się w tém państwie narazić rządowi tak straszному. Doktorze? co się to stało?

— Alboż ja wiem... bąknął wzdychając Müller, który wpatrując się w rodaka sam jeszcze nie wiedział, czy ma mu dać wiarę, czy... dysymulować i kłamać.

Radzca udawał, że o niczem nie wie.

— Z kąd i za co was pochwycono? zapytał, może to nadużycie? jakże śmiano urzędnika wysokiego. Wszak byliście oberdoktorem nad więzieniami i szpitalami? jeśli się nie mylę.

— Bogdajbym nie był nim nigdy! jęknął Müller.

— Gdzież? kto? jak? was aresztował?

Doktor Müller milczał stękając... myślał jak skłamać i nie wiedział co zmyśleć, bo go pochwycono z pasportem fałszywym uciekającego na drodze do Kurlandji z cudzém nazwiskiem.

— Ja sam, rzekł wreszcie doktor, z całej téj nieszcześliwej historji mojej dziś sobie dobrze nie umiem zdać sprawy...

— Ale jakże to było?

— Jechałem zwiedzać więzienia w pałacu Orłowa nad Moiką. Byłem już nieopodal od niego, gdy felczer nieznajomy mi...

— Felczer nieznajomy! powtórzył kiwając głową radzca, no proszę...

— Nastreczył mi się, jakby od miejscowego doktora przysłany, aby mi towarzyszył.

— I wy temu uwierzyliście? spytał radzca, to była nieformalność.

— Ale ja form nieznałem, jęknął Müller.

— Jak to? służyliście przecie w Rosji — no, no, cóż dalej? co dalej?

— Zajechałem z nim do pałacu dla obejrzenia głównego więźnia, który miał cierpieć na reumatyzm z powodu wilgotnego pomieszczenia. Nasmarowaliśmy plaster dla obłożenia nogi.

— Osobliwsza rzecz, dodał chłodno radzca, bo plaster był na rękę.

— Na rękę? spytał Müller... ja go... ja go przyłożyłem na nodze.

— Cóż dalej... kochany panie Müller, mówił radzca,

stojąc ciągle nad nim i wlepiając weń ciekawy wzrok przez okulary, które nieustannie poprawiał.

— Jużeśmy operację tę ukończyli i mieliśmy wychodzić, mówił coraz słabszym głosem jaskając się Müller, gdy powstały jakieś krzyki... ów felczer rzucił mnie do sanek, zaciął konie, poczał pędzić, zawiózł na pocztę i sam nie wiem po co i z jakimi papierami z miasta mnie wyprawił, mówiąc, że to była misja rządowa i żebym papierów moich nie śmiał patrzeć, aż na miejscu stanę.

Müller skończył — nastała chwila głębokiego milczenia; radzca zażył tabaki.

— Proszę! proszę! osobliwsza historia — zawołał — nieszczęśliwa przygoda, a tém nieszczęśliwsza dla was, że choć przedemną zapewne mówicie prawdę, gdy ją powiecie innym, nikt jój uwierzyć nie zechce.

— Jak to? zapytał Müller cicho, dla czego?

— Ale, zlituj się — kochany rodaku (wy jesteście Sasem, ja rodem z Meklemburga, coście może i z mowy poznać mogli) — któżby mógł uwierzyć, żeby taki stary wróbel jak wy, dał się wziąć na plewę.

Hm! hm! dodał — poczynając się po woli przechadzać po izdebce. — Jesteście w bardzo przykrém położeniu... W Rosji z takimi rzeczami, które na konspirację zakrawają — nie żartują!! Ja bym wam radził jakoś się inaczej tłumaczyć.

— Ale kiedy tak było w istocie.

— Źle się stało! niegodziwie się stało! — powtórzył radzca, a potem nagle spytał.

— Wiele wy lat macie?

— Ale sześćdziesiąt już...

— Sześćdziesiąt! to źle, w tym wieku człowiek ani więzienia, ani głodu, ani różnych innych *okoliczności* (chrząknął) wytrzymać nie jest w stanie. A potrzeba żebyście wiedzieli, iż oni ceremonji nie robią.

— Ja jestem cudzoziemiec! rzekł Müller.

— Ale Saksonja za was wojny nie wyda, a elektor czy król... ani wiedzieć nawet nie będzie, co się z wami stanie...

Słuchajcie, doktorze Müller, ja bym wam może poradził co, postarał się, trzeba mi wszakże całą, szczerą powiedzieć prawdę.

— Wszakżeście ją słyszeli.

— Tak — ale widzicie, prawda bywa różna... gadajcie ze mną, jak z przyjacielem, bo inaczej to się na nic nie zda. — Trudno wierzyć, żeby wy, stary, wytrawny, rozsądny człowiek dał się wplątać w coś tak niedorzecznego...

Ja wam dobrze życzę — odkryjcie mi szczerze, kto was namówił do tego? z kim byliście u Kościuszki? kto był ten felczer?

— Ale ja go nie znam — rzekł Müller.

— A jakżeście mogli nieznajomego brać z sobą do więzienia? spytał radzca.

— Meldował mi się od doktora więziennego.

— To nie ma sensu! zawołał radzca — i to nie po formie. Ja bym wam radził inaczej to jakoś ułożyć.

— Jak to? jeśli tak było — rzekł doktor.

— Ale mów, komu chcesz — tak być nie mogło...

I zbliżywszy się znowu do siennika, począł po cichu.

— Co mnie tam do tego, jak było — ja przyszedłem narażając się sam, ratować ziomka, Niemca, człowieka, o którym słyszałem wiele dobrego... a z tego co mi mówicie, nic nie wyciągnę. W Rosji jedynym sposobem uniewinnienia siebie jest zwalić winę na jak największą liczbę osób... Napłatać trzeba nazwisk... nagadać dużo, okazać skruchę — a moglibyście jeszcze wyjść z tego cało. Inaczej albo zgnijecie w więzieniu, albo was wyślą do kopalni. Po co macie oszczędzać tych, którzy was zgubili... oszczędzajcie raczej własną skórę... Chcąc zataić winnych, sami tylko przycierpicie a ostatecznie prawdy z was dobędą.

LIV.

Müller patrzył dzikiemi oczyma na spokojnego rodaka, który zapewne przeciw wilgoci, nieustannie tabakę zażywał i nie okazując ani wzruszenia ani współczucia, o którym mówił, przechadzał się, jakby po salonie, mijając tylko starannie ową klapę w pośrodku, na którą zdaje się, że stąpić się lękał.

— Cóż ja powiem, kiedy nic nie wiem, — jęknął Müller.

— Ale ba! rzekł radzca, to są dzicy ludzie, wy im będziecie musieli powiedzieć to, czego nie wiecie... Oni mają tysiące sposobów, dodał po cichu.

— Sposobów? z trwogą powtórzył leżący więzień.

— A! tak! kochany ziomku! powtarzam, ludzie bez serca, a nauczani wymęczać z człowieka, co im potrzebne, jedyny sposób wmięszać innym, zaplatać sprawę, nasypać nazwisk, to ich może odciągnie od was...

— Ale cóż mi oni zrobić mogą? rzekł doktor.

— A! mój ty niewinny staruszk, zaśmiał się radzca, — rejestr byłby za długi..... Mogą morzyć gło-

dem, nękać więzieniem, chłodem, nędzą... no — a w ostatku...

Zniżył głos zbliżając się do siennika...

— Uważaliście krwawe plamy na tém posłaniu, na którym leżycie... to są ślady ostatnich badań nad politycznym więźniem, jak wy.

Müller obłąkanemi potoczył oczyma.

— Odbywa się to w sposób niezmiernie prosty i nader sztuczny, mówił ciągle po cichu radzca. Widzicie w posrodku izdebki tę klapę? Stawią was na nią, na dany znak posadzka w dół się spuszcza, na dole stoją oprawcy z pękami różg i smagają.

Müller odrętwiały milczał.

— To są właśnie te manipulacje barbarzyńskie, których ja bym pragnął wam oszczędzić, ciągnął dalej radzca. Mam stosunki, przyjaciół... bylebyście mi powiedzieli — rozumie się poufnie... jak to było... ja się postaram przemówić za wami, ale należy jakiegoś winowajcę wskazać... Tém, co mi mówiliście, oni się zadowalniać nie mogą...

Widoczna rzecz, że intryganci polscy... lub... nie wiem kto, niegodnie użyli was za narzędzie do dopięcia celów. Na co byście mieli zdrajców tych oszczędzać? — Co nas, poczciwych spokojnych Niemców, obchodzą te ich sprawy głupie!

Pochylił się nad Müllerem.

— Na miłość Bożą, doktorze, mówcie mi prawdę, czas mam wymierzony, lękam się, aby mnie tu nie od-

kryto, a potem — nie uchroni was nic od badania z pomocą... klapy tej.

I palcem wskazał na podłogę. Müller widocznie słabł, głosu mu brakło, ale jeszcze nie miał ani odwagi wydania generałowej, ani zupełnego zamilczenia i pozostania przy pierwszój relacji.

— Ja jestem Niemiec! nie będą przecie śmieli! zawołał wreszcie...

— Ale co bo u kaduka! przerwał mu radzca. Cesarzowa także jest Niemka, cała rodzina panująca niemiecka, nas tu pełno, my tu jak w domu, ale też z nami ceremonji nie robią, bądź pewny... Dobrze się nam dzieje — wszakże gdy do złego przyjdzie, na pochodzenie się nie oglądają... to darmo... Wybijcie to sobie z głowy. Byliście w służbie rosyjskiej.

To mówiąc powstał.

— No, jeśli mi poufnie nic do powiedzenia nie macie — radzca spojrział na zegarek — ja muszę ztąd uciekać. Powietrze w tej jamie nie zdrowe, jak nic można febry dostać lub nawet co gorszego.

Już się zawracał do odejścia, gdy Müller błagającym głosem zawołał.

— Ratujcie mnie! miejcie litość nademną!

— Ja przecie po to przyszedłem — zawołał Fryderyk Wilhelmowicz — ależ wyznajcie prawdę...

Doktor jęknął.

— Jest godzina pierwsza z północy, odezwał się radzca, czasu nie mam. Za godzinę, może prędzej, zejdzie tu ko-

misja i postawią was na klapie... jak chcecie. Dajcie mi tylko jedno nazwisko, a wszystko się może zmienić — pobiegnę i użyję moich wpływów.

Müller jeszcze się wahał, gdy do drzwi zapukano.

— Wołają mnie, muszę iść, zawołał spiesźnie radzca. Z tém niema żartów.

Müller jęknął... Niemiec pochylił się do jego ust.

— Mów! zawołał, bo zginiesz — masz sześćdziesiąt lat, nie wytrzymasz różeg ich, mniej nad pięćset niezwykli dawać... to ich doza najskromniejsza... Mów — lub odchodzę i rzucę cię na pastwę losu.

— Mów! powtórzył nagle.

Niewyraźne mruczenie nastąpiło po tém wezwaniu ostatniem, radzca kląkł przy więźniu, ucho przyłożył mu do ust, zdawał się chwycić niewyraźną mowę jego chciwie i łakomie, oczy mu błyskały złowrogo.

Spowiedź tajemnicza trwała kilka minut, poczem radzca wstał zamyślony, odstał krok i rzekł szukając tabakierki znacznie zmienionym głosem.

— Zobaczmy co się da zrobić... Hm! zobaczmy...

Spoważniał jakoś i niemyśląc już pocieszać więźnia, który błagał jeszcze, skierował ku drzwiom.

— Widzisz doktorze, rzekł zimno, jak zgubniem jest wdawać się w polityczne intrygi. Państwo was przyjmuje gościnnie, z zaufaniem, a wy zdradzacie je dla własnego źle zrozumianego interesu. Jeśli potém przyjdzie kara surowa... straszna — któż winien? wy sami, coście rękę ojcowską rządu do tego znaglili.

Nie sądźcie, panie Müller, żebym ja tu przyszedł z miłości dla was... byłem przysłany dla śledztwa, chciałem wam różg oszczędzić, to rzecz cała. Wrócę z pisarzem — namyślcie się, abyście mi nic nie taili.

To mówiąc poszedł do drzwi, które się same otworzyły i zniknął...

LV.

Było to w nocy z dnia 16. na 17. Listopada 1796. r. Chociaż pora spóźniona pozornym spoczynkiem osłoniła pałac carski, choć od ulicy okna były ciemne, a strażę jak widmo czarne mierzonymi krokami snuły się tylko u wrót strzegąc bezpieczeństwa monarchini — wewnątrz jeszcze nie myślano wcale o spoczynku.

Carowa, która zwykła była wcześniej odchodzić do swych pokojów i kłaść się przed północą, gdyż wstawała bardzo rano, dnia tego siedziała jeszcze pracując, potem przechadzając się zniecierpliwiona po swoim gabinecie. Depesze od wojsk z Persji, niefortunny przebieg spraw szwedzkich, w ostatku niepokój z powodu spraw syna, usnąć jęj nie dawały. Zubów, który jęj nie opuszczał, naglił koniecznie o podpis na ukazie skazującym Pawła na więzienie i zamknięcie wieczne w Schlüsselburgu.

Carowa skłaniała się, wahała... i na gotowym już papierze, jeszcze nazwiska swego położyć nie chciała ociągając się do jutra.

Zubów pochlebiał, straszył, prosił, wręście starał się skłonić jak najbardziej przekonywającymi argumentami. Ka-

tarzyna nie odmawiała, nie opierała się — ale trzy razy brała pióro do rąk i trzykroć je rzuciła nie podpisawszy.

Do mnóstwa nieprzyjemnych wrażeń dnia tego, które krew carowej zburzyły, przybywała wiadomość o niezrozumiałym wypadku w więzieniu Kościuszki, zuchwałej jakiejś próbie, której sam pomysł oburzał Katarzynę. Zubów umiał jeszcze zwiększyć rozmiary wypadku i odmalować go jako symptom nieposłuszeństwa w związku będący z zamiarami w. ks. Pawła.

Wieczorem przyszła wieść o pochwyceniu doktora Müllera; wysłano do niego Fryderyka Wilhelmowicza, a Zubów przykazał o skutku badania dać sobie wiedzieć, o którymkolwiek by godzinie coś stanowczego z więźnia wyciągnięto...

Już po północy, gdy jeszcze carowej do podpisu znać nie mógł, Zubów odwołany został do swych pokojów... W jednym z nich stał pot ocierając z czoła Meklemburczyk.

— No, co zrobiłeś? mów! zawołał gwałtownie. Masz winowajcę?

— Mam.

— A tym jest? przerwał faworyt.

— Jenerałowa Puzonów, rzekł Fryderyk.

— Kto? jenerałowa Puzonów?

— Tak, Wasza Wysokość — była ona jak się zdaje kochanką Kościuszki i zamierzała go uwolnić. Ona się przebrała za felczera i zmusiła doktora Müllera, mimo jego oporu, aby ją wziął z sobą. Cała sprawa jój dziełem... Ale jakim sposobem dostała pasporta, papiery...

Zubów stał i powtarzał pogardliwie.

— Jenerałowa Puzonów — słuchaj ty małpo stara — dodał żywo... natychmiast każ ją uwięzić. Ale miejże rozum, posadzić ją tak — wiesz, żebym ja mógł widzieć się z nią przy indagacji, a żeby nikt nie wiedział. To piękna kobieta! ale pokazuje się że głupia... i nim co będzie... rozumiesz...

Radzca zrazu nie rozumiał, domyślił się dopiero popatrzywszy na faworyta, który dodał szparko.

— Ale... milczeć! nikt w świecie o tém wiedzieć nie powinien, bo zginiesz. Natychmiast posłać ją uwięzić... i przywieść.

— A jenerała?

— Osobno — rozumie się... wszystkich ludzi... tam się coś działo może większego, niż romans z Kościuszką.

Zubów zatarł ręce.

— Wszystkich tedy mamy, zawołał, trzymamy w rękach sznurki — i lepiej być nie mogło.

Klepnął po ramieniu radzcę.

— Nu, Fryderyk Wilhelmowicz, jeśli wszystko pójdzie po myśli, to tobie się coś należeć będzie, ale z jenerałową mi się spraw jak należy. Nie męczyć jęj teraz... na śledztwo ją pójdę.

To rzekłszy faworyt odprawił swego pomocnika, a sam żywym krokiem postąpił ku drzwiom łączącym jego mieszkanie z pokojami carowej.

Pocisnął klamkę — drzwi były zaryglowane ze środka... Zapukał lekko raz i drugi — nie odpowiedziano mu. W takim razie wedle zwyczaju nie dozwolono było nale-

gać o wpuszczenie, zwłaszcza w tak spóźnionej godzinie. Faworyt był bardzo temu nie rad... pokręcił się u drzwi, ale cóż miał począć? zafrasowany odszedł.

Ukaz był niepodpisany! nazajutrz na nowo trzeba było szturm przypuszczać o spełnienie tego ważnego kroku. — Zubów chmurno się zamyślił... siedział długo tak, nim znużony słysząc bijącą trzecią godzinę ranną, jak stał nie legł na łóżku snem zmorzony.

— Jutro! szepnął zasypiając.

Ale czyż jest — jutro??

LVI.

Dnia 17. Listopada 1796. roku z rana, brzask dnia chmurnego dobywał się z łona nocy zimowej i w główniejszych ulicach Petersburga leniwo się jakoś rozpoczynał. Na pozór powszednie wracało życie, strażę stały jak wczoraj na swych miejscach, urzędnicy ciągnęli do biur, w pałacu monarchini widać było przesuwającą się służbę, nic nadzwyczajnego nie zmniejszało trybu zwykłego i ustanowionego porządku, a przecież oko badacza byłoby dostrzegło, na tych murach, w ludziach, co je zapełniali, jakby tajemnicę jakąś ukrywaną starannie, przerażającą... mającą nagle wybuchnąć i wrzawą a niepokojem pół świata tego napełnić. Kilka powozów szybko nadbiegło ku pałacowi, prędzej jeszcze się od niego oddaliło, służba to szła za pozwolnie, to biegła przelekniona... drzwi zatraskiwano starannie... Spotykający się z sobą szeptali bledzi, oglądając się, trwożąc... i nagle wśród rozmowy wpadając w zamyślenie głębokie.

W mieście około mieszkań głównych sterowników rządu, dostrzedz było można starannie ukrywane jakieś zajęcie... wychodzące i wchodzące osoby, wyprawianych posłańców... blade twarze w oknach, które się ukazywały i znikwały.

Godzina była wczesna, a od mieszkania kamerhera Ilińskiego wyjeżdżał powóz szczelnie zamknięty.

Woźnica miał ruszyć, gdy siedzący już w karecie Iliński otworzył okno, schwycił go za ramię i rzekł mu głosem słumionym.

— Do Gieczyna... co koń wyskoczy! choćby wszystkie popadać miały, a powóz poszedł w druzgi... ruszaj! czwałem!!

Woźnica odwrócił na chwilę głowę — ściągnął lice, podniósł nahajkę a cztery stepowe bieguny puściły się jak strzała.

Ranek był mglisty... dzień smutny... ludzie ociężałe brali się do życia...

Powóz mijał sanie, ludzi, domy, a ilekroć konie, z których para buchała, wolnieć nieco zaczynały w biegu, z powozu wychylała się głowa okryta peruką i głos niespokojny naglił —

— Ruszaj! czwałem...

Nareście okryte szronem drzewa parku Gieczyna ukazały się oczom podróżnego, który odetchnął swobodnie, widząc, że nikt go ani ścigał, ani prześcignął; powóz wpadł na szeroki gościniec wiodący do pałacu, a konie zziębnięte z trudnością przed wschodami ganku powstrzymać się dały. Jeden z nich padł nieżywy.

Iliński, który był bez służącego, sam otworzył karekę i wpadł szybkim krokiem do sieni, w której kilku służących, niemych, smutnych drzemało na ławach. Natychmiast kazał o sobie oznajmić marszałkowi dworu, który

wybiegł grzeczny, zimny, podejrzliwy, i spytał, czegoby sobie życzył.

— Natychmiast być przedstawionym, zawołał Iliński.

— Jak to? natychmiast? wielki ksiązę nie przyjmuje o téj godzinie.

— Być może, ale rzecz jest wyjątkowa, niecierpiąca zwłoki, najwyższej wagi. Czynię Waszą Excelencję odpowiedzialnym za skutki, jeśli natychmiast słów moich nie odniesiecie.

Marszałek się zmięszał, po twarzy Ilińskiego poznać mu było łatwo, że się coś nadzwyczajnego trafić musiało. Postąpił krok ku drzwiom.

— Nie mógłżebym wiedzieć?

Iliński potrząsł głową.

Marszałek zniknął, a kamerher nie czekając na powrót jego, wszedł do salonu.

Salon był smutny i pusty, okna wychodziły na ogród, na ścianie jednej wisiał piękny portret Piotra III., na drugiej Katarzyny.

Poznać było łatwo po sprzętach, iż się tu nigdy swobodnie nie zabawiano. Chłód jakiś wiał z tego urzędowego apartamentu.

Iliński stał u progu i czekać się zdawał z niezmierną niecierpliwością; każdy szelest go niepokoił, jakby lękał się, ażeby czyje przybycie nie uprzedziło jego przyjścia...

Po chwili tego wyczekiwania, kroki dały się słyszeć, drzwi otworzyły...

Wielki ksiązę Paweł już ubrany, w mundurze gwar-

dzi powoli wszedł na salę. Zmierzył okiem prawie groźném i obłąkaném Ilińskiego, który stał milczący, a na widok Pawła powoli przykląkł na jedno kolano.

— Niech ja pierwszy, jak się zdaje — zawołał drżącym głosem — powitam Waszą Cesarską Mość jako cara i pana wszechrosji.

Słyszając te wyrazy Paweł, cofnął się, drgnął, załamał ręce, głowę spuścił na piersi, przystąpił do klęczącego — i podnosząc go, rzucił mu się na szyję. Płakał... Ikanie mówić mu nie dawało, ale to wrażenie trwało krótko, oko jego zwróciło się na wizerunek ojca i oschło jakby cudem.

— Przyjacielu, rzekł, zwiastujesz mi smutek i ciężar, niech będzie woła Boża. Kiedy się to stało?..

— Dziś rano, rzekł Iliński, Najjaśniejsza Pani wstała zdrowa o zwykłej godzinie... śniadała... potem pracować zaczęła... potem wyszła... do... gabinetu, gdzie po pół godzinie znaleziono na ziemi — już prawie nie dającą znaków życia... Doktor Rogerson czynił co mógł, puszczał krew. W téj chwili zgon od dwóch godzin jest niewątpliwy... Najjaśniejszy Panie! przytomność wasza w stolicy natychmiast, bez zwłoki — jest konieczną.

Paweł podniósł rękę tylko i rzekł.

— Wiem o tém, wracaj nazad... postąpię jak powinność każe...

To mówiąc zadzwonił... Twarz jego nie wyrażała nic oprócz energicznej woli, smutek z niej prawie znikł.

Marszałek ukazał się w progu.

— Cały mój dwór zwołać i starszyznę wojskową.

Domawiał tych wyrazów Paweł, gdy na gościńcu słyszeć się dał turkot kilku powozów lecących czwałem jak przed chwilą Iliński. Kilka osób wpadło razem do przedpokoju. — Słysząc było szmér i wrzawę.

— Senatorze Iliński, rzekł cesarz wyrazem tym pierwszą za swego panowania podpisując nominację, wracaj do stolicy, będziesz mi tam potrzebnym.

W chwili gdy senator nowy wychodził, otwartemi drzwiami wcisnęli się tłumnie przybyli dygnitarze i klękli w progu cara powitać.

LVII.

Ale to, co się działo w Gieczynie, nie mogło dać wyobrażenia tego, co kilka godzin potém zawrzało w samej stolicy. Długie panowanie, które tysiącom ludzi dało stanowisko od woli jednej zależne, nie mogło spokojnie się skończyć, nie zagrażając tym, których stworzyło. Wido- cznym było dla wszystkich, że zmiana panującego wywrze wpływ nie tylko na sprawy państwa, ale na sprawców i kierowników. Co żyło, czuło się zagrożonem, a przynajmniej niepewnem... jedni już rozpaczali o sobie, drudzy myśleli jaką podłością okupić by się mogli. Wszyscy, których niedawno łączyła przyjaźń najszczerza a raczej wzajemna rachuba, poczynali się lękać o najbliższych, aby nie padli ich ofiarą, wszyscy co najsilniej stali łaską Katarzyny, rozumieli już dobrze, iż popadną w nienawiść, a spodziewać się mogą tylko prześladowania.

Wczorajsze wielkości i potęgi drżały, niemoc wczorajsza stawała się siłą.

Tymczasem stolica jak zelektryzowana nagle, gdy wieść jeszcze niepewna i urzędownie się nie potwierdzająca, ale coraz upartsza rozchodzić się poczęła wszędzie — postrze-

gła najprzód po wielkim ruchu wojskowym, iż w istocie coś się stać musiało.

We wszystkich koszarach wojsko pod bronią stało i w wielkich mundurach, dowodzący byli na miejscu, adjutanci przelatywali od jednego pułku do drugiego. Około południa ruch ten militarny i pałac zmarłej carowej otoczył.

Z załamanymi rękami, z głową zarzuconą na poręcz krzesła wczorajszy pan i władzca, Platon Zubów, jak osłupiały siedział. Może do wrażeń zgonu przyczyniały się i tajemnice téj nocy, bo po krótkim spoczynku owym nad ranem już faworyt zbudzony został przez radcę Fryderyka i z nim tajemnie udał się do więzienia jenerałowej Puzonów...

Co się tam stało — nikt nie wiedział, ale Platon powrócił o dniu prawie, tak przerażony i niespokojny, jak był teraz.

Około wczorajszego autokraty, który miał dwór pochlebców i tłumy dobijające się audjencji, nie było prawie nikogo — wszystko, co go wczoraj otaczało, znikło, rozproszyło się, pochowało. Od rodziny odebrał parę listów, to było wszystko.

Położenie zmieniło się w mgnieniu oka — ów półbożek wczorajszy wracał do trosk i losów prostego śmiertelnika. Służby nawet swój trudno mu się było dowołać — dworacy jedni ją samowolnie opuścili, drudzy namyślali się jak ratować i jakich użyć środków, aby z rozbicia się ocalić...

Wśród ostatnich niepospolitą grał rolę niewyspany, strudzony, zgnębiony radzca Fryderyk Wilhelmowicz, w którego wieść o śmierci jak piorun uderzyła.

Wyrachował on że naprzód wypadało mu zatrzeć ślady swjej działalności ostatniej i poleciał do kryjówki, w której był schowany doktor Müller.

Biedna ofiara ledwie żywa, jęczała na słomie, czując początki jakiś gorączki, gdy rodak wbiegł nawet drzwi nie zamykając za sobą.

Gdyby Müller był przytomniejszy, poznałby był łatwo, że się rzeczy zmienić musiały wielce, bo radzca sam wyglądał na skazanego.

Milcząc poskoczył rozwiązywać krępujące Doktora sznury...

— Dobroczyńco mój!

— Tak! tak! — przerwał radzca, i o dobrodziejstwie i o mnie racz zapomnieć, to mi będzie najprzyjemniejszym. Będiesz za chwilę wolnym, wyprowadzę cię sam, ale daj mi słowo — przysiąż, że o tém nic i nikomu nie powiesz...

Müller byłby ze strachu przysiągł, na coby mu kolwiek kazano, całował po rękach radzcę, który sznury targał, szarpał, rwał, dopóki zwolniwszy ręce więźniowi nie doszedł z jego pomocą do oswobodzenia z tych dolegających powijaczów. — Sam potem otrzepał mu futro, poprawił włosy i wyciągnął chwiejącego się na nogach przez kordegarde na kurytarz, a kurytarzem w uliczkę, w której go puścił szepecząc mu na ucho.

— Nic nie mów! o nic nie pytaj! a co najlepij by

było... wynaś się z kraju jak najrychlej — nic nie przeszkadza.

Müller ledwie się mógł na nogach utrzymać — iść głodnemu, choremu, osłabionemu nie było podobném, musiał wsiąść na sanki i kazać się wieść do domu.

Po drodze już doszło do jego uszów, że cesarzowa nie żyła — odetchnął swobodniej, zrozumiałwszy lepiej co się stało...

LVIII.

Dnia tego zbudził się smutny więzień osadzony w pałacu Orłowa, którego teraz z nową surowością strzedz zaczęto, ze smutnemi wrażeniami nocy.

Stan téj duszy pojmie tylko, kto życie całe bohatera zbadał z należném poszanowaniem, nie dla jenjusz, ale dla bohaterskiej czystości i świętości tego męża. Kościuszko był więcej niż jenjuszem może, był jednym z tych ludzi, co żyją w trosce pocziwój, aby się niczém nigdy nie zmazali; co w sobie noszą pojęcie godności człowieka podniesione do najwyższej potęgi.

Powszednie umysły, dla których drobnostkowe ułomności wyszukane na wielkiém arcydziele — są prawdziwą pociechą ich własnej słabości i niedołęztwa, mają co zarzucić człowiekowi; wysłedzą w nim nie jedną niemoc i nie jeden błąd, ale z końca w koniec tego życia nikt nie pokaże, aby on zapomniał o obowiązkach, o powinności cnoty, o swym niepokalanym majestacie człowieka.

Jako wódz niema ani piorunowego jenjusza bohaterów współczesnych, ani głębokiej nauki strategicznej, jako dyktator nie ma siły i zarozumiałości potrzebnej na tém sta-

nowisku — jako filozof więcej pragnie dobra, niż zna jego warunki — ale jako człowiek godzien jest być chlubą i gwiazdą narodu.

Tój duszy spartańskiej, przez żywot cały jedno pragnienie, jedna myśl przyświeca: być godnym imienia człowieka, nie zmazać się niczém, nie zadać sobie kłamu słowem ni czynem.

Dla tego instynkt narodu, mimo sceptycznych urągowań ludzi małych, wyniósł go tak wysoko — czuł w nim Washingtonską, więcej może, Sokratyczną wielkość. Żadna słabość jój wyszczerbić nie mogła, ze wszystkich prób życia, z najcięższej próby przeżycia się nawet, wyszedł Kościuszko zwycięsko. We wszystkich wielkich życia zadaniach, widzimy go nieobrachowującym niebezpieczeństwa lub korzyści — w krwawym pocie czoła myślącym nad tém, po której stronie jest prawda i cnota.

W więzieniu nad Nową, jedna go rzecz obchodzi, jedno mu truże godziny smutne — niepokój sumienia. Zda mu się, że zawinił przeciw ojczyźnie, że się gorącej miłości jój dał uwieść nie w porę, że nie dosyć pracował, aby powstrzymać niewczesny wybuch. Ale on go nie przygotował, tylko uleść mu był zmuszony.

Myśl ta winy względem ojczyzny trapi go aż do rozpaczy, aż do obłąkania i śmierci.

W takim usposobieniu ducha zastała go Helena, a słowa pociechy nie potrafiły rozbić nad niém tego ponurego sklepienia, które smutek długi roztoczył. Po całych dniach, przy pracy, którą się rozrywał bezmyślnie prawie,

Kościuszek marzył tylko — czy mu Polska jego winy przebaczy, czy przyszłość go zrozumie lub potępi.

Wstawszy z łoża, więzień ledwie rozpoczął zegarowym trybem regularny swój powszedni chleb spożywać — gdy w gmachu, który zajmował, na odwachu, nawet w ulicy, usłyszał jakby stłumioną jakąś wrzawę i niezwykłą krzątanie...

Była ona tém niezrozumialszą dlań, iż od bytności Heleny panowała tu surowość jak największa i cisza grobowa. W przedpokoju nawet na straży znajdujący się żołnierz, który się nigdy z miejsca nie ruszał nie posłany, uwolnił się na chwilę od posterunku i znikł.

Kościuszek dwa razy drzwi otwierał, chcąc się coś dowiedzieć lub domysleć, i nie zobaczył go. Dopiero nierychło żołniersko wróciło jakby wylękłe, poruszone i siadło na stołku wedle zwyczaju.

Kościuszek wyrzwał.

Nie nie mówiąc stróż mu palcem tylko pogroził.

— Co się to dzieje? zapytał wódz.

— Co się ma dziać? nic się nie dzieje! schowajcie głowę i siedźcie cicho...

Mówił tak, a nie mogąc wszakże oprzeć się własnemu wrażeniu, ręce załamał i głowę począł potrząsać...

— Co wam? powtórzył Kościuszek.

— Co mnie? to co i drugim!! szepnął żołnierz — bieda to i bieda...

Więzień przypomniał sobie, że najlepszym sposobem zdobycia z Moskale słowa lub czynu pokazać mu pieniądze, wysunął ćwierćrublówkę... Żołnierz, acz strapiiony, chciwie

ją porwał, zbliżył się oglądając, położył palec na ustach i szepnął...

— Matuszka nasza! ach! najmiłościwsza cesarzowa pani umrzeć raczyła téj nocy.

To powiedziawszy drzwi zamknął i na stołek powrócił udając najniewinniejszego.

LIX.

Można sobie wystawić, jakie wrażenie tych słów kilka wywarły na Kościuszkę... jakkolwiek zamknięte są więzienia i przez ich mury a kraty coś dochodzi.

Wiedział on, że po panującej nic się spodziewać nie mogli, że syn jój był inaczej i lepiej usposobiony dla Polski. — Serce mu uderzyło, złożył ręce i nie mogąc się już jąć niczego, pozostał tak w gorączkowém jakimś oczekiwaniu dzień cały.

Znając dzieje Rosji Kościuszko nie mógł nawet być pewnym, czy tron Katarzyny zajmie Paweł, którego lękała się większość ludzi zostających u steru państwa i mogła go z pomocą rewolucji pałacowej łatwo usunąć.

Przez cały ten dzień, ku wieczorowi coraz więcej ruchu panowało na ulicy i w więzieniu nawet, żołnierze dość załadowali matuszki, oficerowie żywo się zajmowali mającemi nastąpić wypadkami. Wreście późno już doszła więźnia wiadomość pocieszająca, że Paweł otoczony liczną świtą przybył z dworem swym wojskowym do pałacu, że ogłoszony został cesarzem i że pierwszy zausznik Zubowa, niegodziwy Marków, uzyskał rozkaz natychmiastowego opuszczenia dworu i stolicy.

Więcej się domyślano niż znano charakter Pawła, ale nie ulegało wątpliwości, iż przy szlachetnych popędach łagodnym i miękkim nie będzie. Drżało więc dziś wszystko, co wczoraj jeszcze rozkazywało zwyciężkie a nadewszystko starzy już dziś ludzie, których odgłos powszechny do zabójców Piotra liczył; Orlów i Barjałyński między innemi.

Zubowowi szepnięto, aby się wcześniej z apartamentów wynosił i nie ukazywał zbyt często. Inni dygnitarze a ulubieńcy Katarzyny sposobili się do przymusowej dymisji, ale dzień przeszedł nieodznaczywszy się niczem oprócz wypędzenia Markowa...

Kościuszko niewiedział nic o losie mężnej kobiety, która dla przyniesienia mu słowa pociechy wystawiła się na niebezpieczeństwo; spodziewał się teraz ją zobaczyć.

Ale ani tego dnia, ani nazajutrz, chociaż już widocznie straż o wiele zwolniały, nikt się do więzienia nie zgłosił. Żołnierz tylko, który przyniósł jedzenie, wskazał ruchem ręki na chleb i wysunął się. Więzień rozłamał bułkę na pozór całą i znalazł w niej kartkę nieznana ręką pisaną:

„Cesarzowa umarła, Paweł na tronie, za kilka dni będziecie wszyscy wolni. — Miejcie nadzieję dla ojczyzny — wasza swoboda niewątpliwa, jej losy mogą się poprawić.“

Kościuszko kartkę tę w myśli przypisywał Helenie, ale się mylił, pochodziła ona z innego źródła.

Nocy poprzedzającej nagły zgon cesarzowej, wysłany z rozkazem ujęcia i osadzenia jenerałowej w więzieniu radzca Fryderyk Wilhelmowicz nader szczęśliwie wywiązał się z po-

lecenia. Wziął on z sobą kilku policjantów, kilkunastu żołnierzy i dwa powozy. Pocichu zajechał przed dom i naprzód ostawił go wojskiem do koła. Sam ze dwoma tylko po cywilnemu ubranymi ludźmi zapukał na dół, kazał sobie otworzyć po cichu, oznajmując, że przychodzi z interesem pilnym od Zubowa. Wpuszczony natychmiast prosił Jenerała, ażeby się ubrał i pospieszał do faworyta, który potrzebował się z nim rozmówić natychmiast. Tym podstępem potrafił go bez najmniejszego podejrzenia i oporu wyprawić do jednego powozu i z żołnierzami wysłał do więzienia. Dopiero spełniwszy tę część misji swój udał się na górę, nie bez przyczyny spodziewając się tu daleko większych trudności. W istocie nierychło potrafił dobić się do jenerałowej, ale idąc na górę wojsko rozstawił na wschodach, drzwi poobwarowywał, ażeby mu się ofiara nie wymknęła...

Helena była już na pół ubrana, gdy do jój pokoju wszedł radzca, oznajmując, że ma polecenie carowej aresztowania jój i odprowadzenia do więzienia. Lice kobiety pobladło, ale nie straciła odwagi.

— A mój mąż? zapytała.

— Jenerał już aresztowany, rzekł radzca.

— Toście niesprawiedliwie popełnili, odpowiedziała mu — jeśli jest jaka wina, to na mnie samój, żadnej na nim, bo on o moich czynnościach nie wiedział wcale.

— Gdy się to wyjaśni, rzekł zwolna radzca, wypuszczą go.

Helena miała chęć jakby zabrać coś z sobą, ale oczy szpiega najmniejszy ruch jój śledziły.

— Dajże mi się pan odziać, zawołała, bo tak pójść nie mogę.

— Narzuć pani co ciepłego na siebie — w więzieniu strój niepotrzebny, odparł szydersko, ja was odstąpić nie mogę...

Jenerałowa rzuciła nań wejrzenie straszne, nie rzekła nic, odwróciła się do sługi i rozkazała sobie podać chustkę i płaszcz. W chwili gdy je kładła na siebie, radzca nie dojrzał, jak ze stołu zsunęło się coś co ona bardzo zrzęcznie za gors poprawiając ubrania rzuciła. Był to niewielki sztylet perski, który zabrała jako zabawkę u męża, nie spodziewając się wcale, by się kiedy mógł przydać.

Spokojniejsza potem zarzuciła na głowę zasłonę i wyszła z Niemcem, którego posługacze szeregiem stali na wschodach aż do powozu. Nie można było ani pomyśleć o ucieczce...

Kareta zamknięta, z Fryderykiem Wilhelmowiczem i jenerałową popędziła do więzienia, które stosując się do rozkazów Zubowa, radzca obmyślił w samym pałacu, gdzie na różnych miejscowościach tego rodzaju nie zbywało.

LX.

Od chwili gdy nad rankiem zamkniętą została w więzieniu jenerałowa, aż do wieczora dnia następującego, o losie jój nikt się dowiedzieć nie mógł. Razem z Markowem, daleko więcej nad niego mogący się obawiać, znikł Meklemburczyk, zaszywszy się w jakiś kąt, z którego nie rychło miał wyleźć; Zubów się wyniósł z pałacu, o jenerałowej wcale słyhać nie było. Nie było téż komu się o nią upomnieć, bo Puzonów dzień ten także przesiedział pod strażą, a że go znano jako przyjaciela Zubowych i Markowa, choć areшт nieco oczyszczał, zostawiono go w nim, nie wiedząc za co był areштowanym. On sam się z tego wytłumaczyć nie umiał.

Dopiero nazajutrz, gdy znaleziono w protokule więziennym, iż był wzięty z rozkazu Zubowa, wskutek ogólnego rozporządzenia natychmiast go wypuszczono.

Puzonów, który nie wiedział nic o losie żony, poleciał do domu i przeraził się dowiadując, co się stało... Rozpacz jego i oburzenie nie znało granic; chciał natychmiast lecieć do cesarza domagać sprawiedliwości, ale dnia tego było zapóźno.

Zapowiedziano już wówczas z rozkazu Pawła, iż miał

zażalenia i skargi codziennie od ludzi wszelkiego stanu przyjmować. Ale pierwsze chwile po zgonie carowej, Paweł tak był zajęty, iż dostąpić go na chwilę nie było podobna.

Przysposabiano naówczas ten pogrzeb, jedyny może w dziejach, który od razu charakter monarchy pokazał w całym świetle i trwogą napełnił serca tych, co mieli powodę się go lękać.

Wiadomém było powszechnie, że Aleksey Gregorowicz Orłów i książę Boriatyński, wielki marszałek dworu, należeli do zabójców Piotra III.

Oba oni żyli jeszcze — ostatniego sprowadzono z prowincji za rozkazem cesarza. Ta pamięć o nich przeraziła zabójców, lękających się i niemal pewnych śmierci — ale sroższa może nad samą śmierć czekała ich kara.

Dzień pogrzebu zostałznaczony...

W ceremonialnym pochodzie Paweł rozkazał zająć miejsce przy dobytj trumnie Piotra — dwom zabójcom jego...

Pogrzeb wyglądał na najstraszliwszą ręką ludzką spełnioną expiacją, na tragiczną karę żywych i umarłych. Paweł chciał, by zwłoki Katarzyny, która o spisku wiedziała, która doń tak dobrze należała, jak Orłowy — połączone były przy pogrzebie i w grobie jednym z ciałem zabitego Piotra III., dobytym z bocznej zakrystji kościoła św. Aleksandra Newskiego.

W dzień uroczystego obchodu, Paweł w czarnej grubj żałobie, bez żadnych oznak godności, szedł sam po zwłoki rodziców i pieszo odprowadzał je całą ogromną

tę przestrzeń dzielącą cerkiew Aleksandra od Piotra i Pawła we twierdzy. Tam obok wielkiego Piotra kazał on złożyć ciało ojca i matki.

Nie straszniejszego wymarzyć nie podobna nad kaźń tych dwóch starców, Orłowa i Borjatyńskiego, zmuszonych wolnymi krokami iść tuż za carską trumną tego, którego zabili.

Tysiące oczów patrzyło na nich... i czuli, jak wzrok każdego ich piętnował; przeszli tak przez piekło sromu i trwogi za życia. Orłów szedł bez czucia, martwy, błądzący, jakby go nie już zabołec nie mogło -- Borjatyński słabł, i gdyby nie sole, któremi cucił się co chwila, byłby upadł wśród téj krzyżowej drogi. Oko Pawła, który płakał idąc, nie schodziło ze skazanych.

Jakby na urągowisko, trumny zabitego i carowej połączone były emblematycznymi węzłami i napisem:

Rozłączeni za życia...

Śmiercią połączeni...

To wspomnienie udziału Katarzyny występku i dla niej było karą i z jęj trumny zdejmowało cały urok wielkości i sławy.

Syn... straszliwiej na ojcobójeź nieniołł pomścić się matce...

Ludzie widząc to, wnosili już naówcześnie, jakie się im nieubłagane obiecywało panowanie; ten co nie miał litości nad własną matką, acz występna ale umarła, nie mógł jęj uczuć dla innych.

Obchód ten napelnił trwogą całą stolicę... ulubieńcy carowej drżeli oczekując wyroków...

Orłów i Borjatyński, spodziewali się już sądu i więzienia, gdy oba odebrali rozkaz nazajutrz po pogrzebie oddalenia się ze stolicy i wygnania na wieś.

Paweł nie chciał być okrutnym, ale musiał być sprawiedliwym...

Inni także, którzy najwięcej nienawiści okazywali dla panującego... rozpędzeni zostali z pogardą, jakby niegodni zemsty i kary...

LXI.

Jak tylko przystęp do Pawła stał się możliwym, prosił o posłuchanie Puzonów. Przez ten czas, który ubiegł od śmierci Katarzyny, uwolniony, napróżno obiegał wszystkie więzienia, dowiadywał się, badał, śledził... nigdzie wiadomości o żonie znaleźć nie mógł. Trwoga jego rosła, chociaż zawsze zostawała iskierka nadziei, iż mogła być wywieziona ze stolicy, a Puzonów obiecywał sobie szukać jej choćby po Syberji fortecach najdalszych... i monasterach, w których kobiety za karę zamykano.

Na to jednak cesarskiego zezwolenia potrzeba mu było. Szczególną teraz łaską panującego zaszczytali się senatorowie Iliński i Wielhorski. Oba oni znali generałową, do pierwszego z nich pobiegl Puzonów, prosząc o pomoc. Nie było trudności najmniejszej w wyjednaniu posłuchania osobnego, chociaż żądających go nacisk codziennie stawał się większy.

Puzonów zastał Pawła w jego gabinecie, gdzie z trzema razemi sekretarzami pracował. Znaną jest jego przytomność umysłu nadzwyczajna, z którą w początkach panowania, chcąc wszystko sam przez się dokonywać, nieraz po trzy rezolucje i listy dyktował nieznużony...

Z gabinetu wyszedł cesarz na salę z jenerałem, który w najpokorniejszych wyrazach, swoją mu i żony historję opowiedział. Paweł słuchał z uwagą wielką.

Powodu wszakże uwięzienia, ani Puzonów, ani nikt wiedzieć nie mógł. Tajemnica ta tém bardziej podrażniła Pawła, a sam mimowolny domysł niepocziwój jakiś intrygi, do której niecna rozpusta pobudką być mogła, człowieka tak czystych obyczajów jak cesarz, oburzyła do wściekłości niemal. Chociaż się usiłował powstrzymywać, Puzonów dostrzegł, iż wrzał gniewem. Gniew ten tamował mu mowę. — Natychmiast napisać kazał rozkaz Puzonowi otwierający wszystkie więzienia...

Z otuchą w sercu jenerał puścił się najprzód po stolicy.

Rozmaitego rodzaju i kategorji turmy były bardzo liczne, ale nigdzie najmniejszego śladu o biednej kobiecie. Toż samo w monasterach, kazematach, szpitalach. Zaczynał się lękać, by jedna zbrodnia do drugiej nie dała powodu, aby gwałtu nie chciano zatrzeć śmiercią... ale ze słabą jeszcze nadzieją wybierał się na objazd monasterów pobliskich, gdy jednego dnia dano mu znać, iż jakiś urzędnik widzieć się z nim pragnie.

Rozgłoszono bowiem było, iż jenerał trzy tysiące rubli naznaczył nagrody temu, któryby mu dał wskazówkę do wyszukania żony.

Wpuszczono natychmiast małego niepocznego człowieka, nieznajomego wprowadzić jenerałowi osobiście, ale z fizjognomji gdzieś już mu się przypominającego.

Zarekomendował się jako dymisjonowany urzędnik do

poleceń szczególnych przy Markowie, radzca dworu Fryderyk Wilhelmowicz von

— Pan jenerał jest niespokojnym o los swój żony? spytał po chwili przybyły.

— Bardzo — odparł Puzonów, czybyście mogli mi dać jaką wskazówkę?

— O dalszym losie pani jenerałowej ja nie wiem, odezwał się nieśmiało radzca... ale byłem urzędnikiem, spełnić musiałem, co mi polecono... jam nic nie winien, panie jenerale... nieraz serce się wzruszało. — Cóż, kiedy urzędnik serca mieć nie powinien... Ja właśnie byłem tym, który aresztował panią jenerałową i co ją odwoził.

Jenerał przyskoczył do niego sądząc, że zbawcę znalazł, pochwycił go za barki.

— Człowiecze! mów! nie taj nic przedemną — dokąd ją odwiozłeś? Nagrodzę ci stokrotnie.

Twarz radzcy przedstawiała w tej chwili obraz ciekawy walczących z sobą uczuć strachu, chciwości, niepewności — ochoty dodania sobie odwagi i braku energii. Widocznie nie wiedział co począć... chciał coś zyskać a nie miał śmiałości wszystkiego wydać co wiedział. W sprawę wmięszany był Zubów, a faworyt choć upadły i zgnieciony, jeszcze był straszny.

— Dokąd ją zawiózłeś? powtórzył Puzonów.

— Ja tyle tylko wiem, że aresztowaną była z rozkazu Zubowa, a odwiezioną do pałacu carowej.

— Ale Zubów powiada, że o tém nie wie...

— Ja téż więcej... istotnie powiedzieć nie mogę.

— Więc mi nic nie przynosicie nowego, zawołał je-

nerał ręce łamiąc... powiedzcież proszę, jak się wam zda, wam, co znacie zwykły przebieg spraw tego rodzaju — co się z żoną moją stać mogło? Zabraliście ją ztąd dobrze po północy... nazajutrz rano cesarzowa życie skończyła... sprawy wszystkie były zatamowane, nie było komu wydawać rozkazów, ani się troszczyć losami więźniów. — Gdzież ona podziać się mogła?

Radzca milczący ramionami poruszył.

— Rzeczą niepojętą... wywieźć nie było czasu, wy odwieźliście ją?

— Do pałacu... nigdzie więcej.

— Oddaliście komu?

Radzca się zmieszał widocznie, przygotowanym nie był na tak szczegółowe badanie.

— To jest, rzekł, ja... odstawiłem wedle zwyczaju... to jest... przywiózłem i oddałem pod straż oficera gwardji.

— Kto był ten oficer?

— Ja nie wiem.

— Ale łącznie będzie dojść jaki pułk, bataljon i który oficer dnia tego i téj godziny znajdował się na warcie pałacowej.

Radzca postrzegł się, że niebezpieczném tłumaczeniem poplątał sprawę i wpaść mógł w podejrzenie, bo oko Puzonowa badało go, mieszał się coraz bardziej.

Jenerał surowo nań patrzył, uderzył go po ramieniu silnie.

— Mów mi całą prawdę, nie lękaj się nic... mów!

Radzca drżący spuścił głowę i głos.

— Nie gubcie mnie, rzekł, w każdym razie jam nic

nie winien — przy pałacu jest kilka więzień sekretnych... w jednym z nich z pewnością osadzono żonę waszą.

— Ale z głodu tam umrzeć mogła! krzyknął generał w rozpacz... wiedz mnie natychmiast.

Nie było się już co wahać.

— Dymitrze Wasiljewiczu, odparł posłuszny Niemiec, przysięgam wam, że ja o losie jój nie wiem, żem niewinien nic. Zrobiłem co mi przykazano, co potem się stało... Bóg wie.

LXII.

Ale jenerał spieszył nie chcąc nic słuchać — nagle, krzyczał o konie i rzucił radcę do karety, jak tylko zaszła. Czwałem rozkazał jechać... Oficerowi od straży na wstępie okazał rozkaz cesarski i wiedziony przez struchlałego Meklemburczyka, spuścił się z nim do lochów. Przeszedłszy labirynt różnych kurytarzy, drzwi i wschodów, jakby na umyślnie urządzonych w ten sposób, żeby obcy w nich trafić nigdzie nie mógł... doszli nareście do okutych drzwi, które Niemiec ręką ukazał. Klucza od nich nie miał nawet zarządzający pałacem, który się do nich przyłączył, ale przypomniał sobie, iż ma wytrychy do wszystkich zamków. Po oczekiwaniu śmiertelnie długim, chwili niepewności, którą jenerał spędził z głową o mur opartą, nadeszły klucze i światło.

Nie bez trudności otwarły się drzwi... Izba była ciemna, bez okna — z razu nic w niej dojrzeć nie podobna, naostatek w kącie ściany... ujrzał jenerał jakby przybitą do niej żonę swą, której ręka trzymała jeszcze sztylet ów perski tkwiący w piersiach głęboko...

Na rysach zsiniałych twarzy malowała się boleść, duma, wzgarda... czarna krew zaskrzepła, oblewała ciało

i suknię. Ręka jój druga zwiśla skostniała, zdawała się jeszcze odpychać kogoś od siebie...

Na widok ten straszliwy generał padł na kolana, radzca się cofnął, klucznik nawet przerażony, wybladły, przestraszył się jakiegś możliwój odpowiedzialności.

Że śmierć ta była samobójstwem, nie ulegało najmniejszój wątpliwości; — zadała sobie cios Helena z taką siłą i pragnieniem końca, że ból nawet dłoni co sztylet ścisłała nie rozwarł, zaskrzepła tak, obejmując go konwulsyjnie.

Zgon widocznie sięgał już dni wielu przedtém... i chłód tylko lochu uchował ciało od zepsucia... ale całe zczerniałe było i sine...

LXIII.

Świadek tego odkrycia, radzca, domyślił się może jeden dramatu zakończzonego krwawo... dla jenerała śmierć tłumaczyła się rozpaczą, obłąkaniem... Żal wielki nie dozwolił mu pomyśleć ani o zemście, ani o dochodzeniu téj sprawy zagadkowej, która poszła na sąd Boży.

Po długiej bezprzytomności zajął się Puzonów sam przygotowaniem do pogrzebu... nocą na wozie zakrytym wywieziono niepostrzeżenie zwłoki nieszczęśliwej ofiary do domu Puzonowa. Sam on chciał je zamknąć w trumnie i zachować sztylet, którym sobie życie odjęła... ale skostniała ręka nie chciała go opuścić... złożono więc zwłoki tak jak znalezione zostały i nazajutrz uroczystym uczczono pogrzebem na katolickim cmentarzu...

* * *

Gdy się to działo, cesarz Paweł na prośbę i porękę Ilińskiego uwalniał Kościuszkę; szedł sam do jego więzienia i uczcił bohatera nieszczęśliwego narodu, a w nim sam naród, który padł pod nielitościwymi ciosami dłoni jego matki... jak ojciec... Na twarzach wszystkich Polaków malowała się powracająca lepszych dni nadzieja...

Wkrótce potem otwały się więzienia Niemcewicz, Ignacego Potockiego, Kapostasa i innych ujętych w Warszawie... Kościuszkę tylko dał słowo, iż więcej przeciwko Rosji walczyć nie będzie... Dozwolono mu wyjechać za granicę. Wszyscy zresztą wybierali się Petersburg opuścić.

Z jakimże uczuciem spotkali się i rzucili sobie w objęcia dawni towarzysze broni, przyjaciele... a nawet nieznajomi jedną polączeni niedolą! Radość była nie do opisanania. Niemcewicz, który może najwięcej wycierpiał, teraz był najweselszym. Kościuszkę jeden, uczczony, obdarowany, ulaskawiony z takim rozgłosem, prawie był upokorzony i smutny. Ta łaska wkładała nań kajdany nowe, których nie potargać nie mogło. Czuł, że jego życie tą sceną uroczystą uwolnienia i słowa danego w obec całego świata — zostało zapieczętowane... myślał już o Ameryce i spoczynku.

Dla Polski spodziewali się inni wiele, on mało.

W tych to dniach pierwszych oswobodzenia, gdy się raz wieczorem zebrali się w mieszkaniu Potockiego, Kościuszkę, Niemcewicz i kilku innych, generał nie wymieniając ani nazwiska, ani osoby, opowiedział im o nadzwyczajnych odwiedzinach w pałacu nad Moiką. Nie taił on, że ta kobieta była mu znaną dawno i drogą, że dlań wiele cierpiała, że była za zabita rzucona na polu pod Maciejowicami.

Niemcewicz, acz rozczulony opowiadaniem romantycznym, które go do najwyższego stopnia wzruszyło, zachował swój żartobliwy humor i odezwał się ściskając Kościuszkę.

— Kochany nasz bohaterze... to twojego szczęścia trzeba, żeby na te lata, w takich wypadkach, mieć jeszcze takie przygody!

— Mego szczęścia! — podchwycił Kościuszko — patrzcie go! znalazł człowieka szczęśliwego...

— Zapewne, dodał Ursyn... stoję przy swoim, że na twój los pomieniałby się każdy, nawet pod tym względem. Księżna Lubomirska do dziś dnia cię kocha... a ta...

— Któż to mógł być? spytał przytomny Iliński, — wszystkie Polki w Petersburgu znam... o wszystkich przynajmniej wiem...

— A nie słyszeliście nic — o przygodzie mojej w więzieniu? zapytał Kościuszko.

Senator się zamyślił.

— Tak! tak! rzekł, posądzano i aresztowano z tego powodu Polkę, jenerałową Puzonów.

— Puzonów? — ależ to być ona musiała! aresztowano? — cóż się stało z nią...

Iliński po przytomnych spójrzał i zamilkł kończąc suchém...

— Ja nie wiem...

Nie chciał on osmucać Kościuszki opowiadaniem tragicznego końca, o którym po cichu wszyscy sobie szeptali w Petersburgu.

Stało się więc, że uwolniony wódz westchnąwszy nad nieznajomą swą, o której mu nic powiedzieć nie chciano, nie wiedząc o jej śmierci opuścił stolicę, i po wielu latach z ust podróżnego dowiedział się o tém w Szwajcarji.

Tak samo^o jak w Dołholysce na Podlasiu wzniósł na

rozdrożu rękoma swemi mały pomniczek, o którego znaczeniu nikt nie wiedział; tak potem na cmentarzu, wśród którego sercu jego monument wystawić miano — na wolnej téj helweckiej ziemi wymurował Kościuszko jakby grobowiec... pamięci nieszczęśliwej kobiety...

Na płycie szarego marmuru, wyłobił téż napis, który jeszcze przed kilkunastu ukazywano tam laty. Było to jedno słowo tylko

Bezimienný.

Dreżno. Styczeń — Marzec 1869.



Biblioteka Raczyńskich

JK 905



JK0905